KOŁODZIEJSKI: BÓJ O BAŁTYK. EKOLOGIA TO TYLKO PARAWAN

MACIEJEWSKI: OSTRO O HEJTERACH ATAKUJĄCYCH PROF. ROSZKOWSKIEGO

DODATEK W ROCZNICĘ BITWY WARSZAWSKIEJ 1920 ROKU

SIECI

BUDZISZ OSTRZEGA: ROSJA ZNÓW ZAATAKUJE. POLSKA TEŻ NA CELOWNIKU

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 33 (559) 2023
14–20 sierpnia 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

PREZYDENT DLA „SIECI"

MUSIMY PILNOWAĆ WYBORÓW

SZCZEGÓLNIE PRZED OPOZYCJĄ

PIERWSZA PO OGŁOSZENIU TERMINU GŁOSOWANIA ROZMOWA Z ANDRZEJEM DUDĄ O TYM, DLACZEGO POWRÓT DONALDA TUSKA DO WŁADZY BYŁBY GROŹNY DLA POLSKI. JAK ODPOWIEDZIEĆ NA PRÓBY NIEMIECKIEJ INGERENCJI W NASZĄ POLITYKĘ I O NAPIĘTYCH RELACJACH Z UKRAINĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
33
9 772544 269304

eprasa.pl 7f2490a7a5

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

Ostra jazda
– nieznana chluba polskiej kawalerii

Józef Haller
– niezłomny generał Błękitnej Armii

Afera na Okęciu
– przemytnicy z Legii Warszawa

Zamów e-prenumeratę SIECI i wSIECI HISTORII
50% taniej!

Wejdź na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

eprasa.pl 7f2490a7a5

Weber na Zachodzie, Wagner na Wschodzie. Niebezpieczne kleszcze

Sierpień i wrzesień to w polskiej tradycji miesiące tragiczne, o których trzeba pamiętać, by wyciągać z nich wnioski. To 23 sierpnia 1939 r. podpisano zdradziecki Pakt Ribbentrop–Mołotow, we wrześniu tego samego roku Polskę zmiotły z mapy Europy rosyjski i niemiecki totalitaryzm. A dziś?

Dziś widzimy nowy sojusz. Niemal w tym samym momencie na nasz kraj uderza (oczywiście politycznie) Manfred Weber, wódz Donalda Tuska i szef potężnej Europejskiej Partii Ludowej, a za wschodnią granicą czają się żołdacy finansowani i wspierani przez reżimy Putina oraz Łukaszenki. Te szczególne kleszcze są dla Polski bardzo groźne. Ich celem jest nie tylko polityczna agresja, lecz również ponowne wepchnięcie Polaków w biedę i bezrobocie. Tak, by znowu Niemcy mogli liczyć na tanią siłę roboczą.

RFN zapamiętała swoje upokorzenie na początku wojny na Ukrainie. Tam czekano, aż Kijów padnie. To zdecydowane decyzje premiera Jarosława Kaczyńskiego, a w ślad za nimi ofensywa dyplomatyczna prezydenta Andrzeja Dudy i premiera Mateusza Morawieckiego, zmieniły bieg dziejów, poruszyły sumienie świata oraz obnażyły politykę Merkel i Scholza. Oni liczyli na szybki koniec ukraińskiej niepodległości i powrót do energetycznego biznesu z Putinem. Tak się nie stało. Ale Niemcy są pamiętliwi, nie zapomnieli zniewagi i publicznego ujawnienia ich politycznych oraz biznesowych kombinacji z satrapą z Kremla. Swoją drogą, dobrze by było, aby i w Kijowie przypomniano sobie tamte dramatyczne dni i berlińską obojętność. Ta wojna się nie skończyła, Niemcy zdołają jeszcze sprzedać Ukraińców, jeśli ci znowu im uwierzą.

Weber to polityczny przyjaciel, a właściwie pryncypał, Donalda Tuska. Tu pojawia się kolejny podejrzany element polityki byłego premiera Polski. Dla niego wojna nie istnieje. Nie mówi o niej, a jeśli tak, to zawsze w kontekście mniej lub bardziej wyimaginowanych „błędów" obecnego obozu władzy rządzącego w naszym kraju. Więcej, Tusk nie pojawił się na Ukrainie od początku konfliktu, który bezpośrednio zagraża również Polsce. Dlaczego tam się nie udał? Czego się obawiał? Słusznie pytał o to Piotr Gursztyn w mediach społecznościowych. „[...] dlaczego przez ponad 500 dni agresji rosyjskiej D. Tusk ani razu nie pojechał na Ukrainę? Dlaczego przez ten czas nie spotkał się z nikim ważnym ze strony ukraińskiej? A znalazł czas, aby wesprzeć skrajnie proputinowskiego S. Berlusconiego" – napisał dziennikarz w odpowiedzi na szokujący wpis Donalda Tuska, który sugerował, że obecność „wagnerowców na Białorusi wspiera politycznie Prawo i Sprawiedliwość". Internauci pytali z kolei, czy Rosja „ma" coś na byłego premiera, czy nie pada on ofiarą szantażu. W kontekście sensacyjnych informacji, które ujawnił serial „Reset" TVP prof. Sławomira Cenckiewicza i redaktora Michała Rachonia, nie brzmi to niestety fantastycznie.

Kleszcze, o których dziś piszę, nie są oczywiście tożsame z niemiecko-radzieckim paktem zdrady z 1939 r., ale nasuwają najgorsze skojarzenia. Moment też nie jest przypadkowy. Wokół polskich wyborów, które odbędą się 15 października, toczy się międzynarodowa gra dyplomatyczna i polityczna. To będzie głosowanie dotyczące wyboru nie tylko dalszej drogi rozwoju i bezpieczeństwa Polski, lecz również dające odpowiedź, czy obce mocarstwa są w stanie kreować naszą rzeczywistość. A tu sojusz jest jasny, nawet jeśli nie jest on intencjonalny. Weber na Zachodzie i Wagner na Wschodzie. W tym samym momencie aktywni, w tym samym momencie wrogo nastawieni do rządu, który został wybrany w demokratycznej elekcji. Ale te dwa fronty mają swojego idola – jest nim Donald Tusk. To o nim w samych superlatywach wypowiada się Weber i to jego chwalił Łukaszenka, który „gości" dziś wagnerowców.

Październikowe wybory mogą przynieść kres marzeń o skonsumowaniu „paktu Weber–Prigożyn". Mogą, ale nie muszą. Wszystko zależy od nas, żelaznej dyscypliny obozu polskiego, mobilizacji i szczęścia. A to ostatnie sprzyja tylko lepszym.

Wojciech Biedroń

Autopromocja

eprasa.pl 7124908

SIECI spis treści

32 Z Markiem Grabowskim *rozmawia Goran Andrianić*

42 Nikt nie zrobił dla demografii więcej niż rząd PiS *Dorota Łosiewicz*

51--60 *Dodatek na rocznicę Bitwy Warszawskiej*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **TARAN WEBERA**
Krzysztof Feusette

9 **PIĘKNA KATASTROFA NA STARCIE**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **POMNIKI TO STRAŻNICY PAMIĘCI**
Jan Pietrzak

12 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

13 **WOJNA W ALFABECIE**
Bronisław Wildstein

14 **WALIZKA MICHAŁA KŁOSIŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **FRIDA W PODCHORĄŻÓWCE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **FAŁSZYWA GRA**
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 **Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ**
rozmawiają Marek Pyza i Marcin Wikło

KRAJ

28 **KŁOPOT Z KONFEDERACJĄ**
Stanisław Janecki

32 **Z MARKIEM GRABOWSKIM**
rozmawia Goran Andrianić

35 **BÓJ O BAŁTYK**
Konrad Kołodziejski

38 **WEBER KONTRA PiS: KWESTIA POLITYCZNEGO WROGA**
Jan Rokita

42 **NIKT NIE ZROBIŁ DLA DEMOGRAFII WIĘCEJ NIŻ RZĄD PiS**
Dorota Łosiewicz

46 **DRUGI TOM I DRUGI ATAK**
Jakub Augustyn Maciejewski

48 **ZAKAZANY TEMAT, CZYLI IMIGRACJA I PRZYMUSOWE PRZESIEDLENIA**
Dariusz Matuszak

BITWA WARSZAWSKA 1920 r.

52 **WOJNA CYWILIZACJI**
prof. Mirosław Szumiło

56 **GDYBY POLSKA NIE POKONAŁA BOLSZEWIKÓW**
z prof. Janem Rydlem
rozmawia Piotr Słabek

ŚWIAT

61 **KIEDY ROSJA BĘDZIE ZNÓW ZDOLNA RZUCIĆ WYZWANIE NATO**
Marek Budzisz

66 **POLSKA KOJARZY SIĘ TU Z SOLIDNOŚCIĄ I PRACOWITOŚCIĄ**
z ks. Piotrem Gąsiorkiem
rozmawia Małgorzata Wołczyk

OPINIE

69 **CZAS MINIONY – ZNIKAJĄCE BRYGADY**
Romuald Szeremietiew

72 **REWOLUCJA PRZECIW ZWYKŁYM LUDZIOM**
Maciej Walaszczyk

SIECI KULTURY

75 **TAK SZUMI DEWAJTIS**
Jolanta Gajda-Zadworna

78 **KATOLICKI NEW AGE**
Robert Tekieli

79 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

80 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

82 **ZAREMBA SŁUCHA RADIA**
Piotr Zaremba

KUCHNIA

84 **MOJE SMAKI: HANKA RYBKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

85 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

86 **A TO POLSKA WŁAŚNIE**
Alina Czerniakowska

87 **LINCZ PO POLSKU**
Wiktor Świetlik

87 **GRANICA**
Lech Makowiecki

88 **SZTAJNBASZEK W SPODNIACH**
Piotr Cywiński

88 **JONI MITCHELL: CUDOWNY POWRÓT**
Adam Ciesielski

89 **ODLATUJĄ BOCIANY...**
Leszek Długosz

90 **TECHNO-TRUCIZNA Z DRUGIEJ RĘKI**
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 40/0623/F

eprasa.pl 7f2490a7a5

PRZYSZŁOŚĆ JEST
Z MIEDZI

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com

KGHM
POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl 7f2490a7a5

Sygnalista nadaje

Na okładce tygodnika „Polityka” poorana bruzdami twarz tonącego ***Szymona Hołowni***, któremu woda podchodzi już pod nos, i dramatyczne pytanie: „Co z tym Hołownią? Czy Trzecia Droga przetrwa do wyborów?”. Niby troska, a czytamy jak wyrok. Hołownia brał uśmiechy i poklepywanie po plecach na serio, nie rozumiejąc, że przewidziano dla niego rolę pośrednika, który na końcu i tak przyprowadzi naiwnych Tuskowi do partii. Jak wszystkie Nowoczesne i PJN-y, które zdarzyły się wcześniej.

W „Newsweeku” wszystko właściwie po staremu. Kaczyński podobno boi się debaty z Tuskiem, a do tego zestaw traum polskich dorobkiewiczów. Jest mąż – niedobrze, brak męża – tragedia. Zwraca uwagę winieta z tęczową flagą. Miała być tylko na czerwiec, obchodzony przez lewicę światową jako „miesiąc dumy gejowskiej”, została chyba na stałe. W sumie rozumiemy. Każdy w życiu chce być z czegoś dumny. Jak na innych odcinkach nie poszło należycie, jak się na co dzień tańczy do niemieckich instrukcji, to się lubi, co się ma.

Potańczono i pośpiewano po niemiecku także podczas Jarmarku św. Dominika w Gdańsku zarządzanym przez panią prezydent ***Aleksandrę Dulkiewicz***. Niemiecki zespół ludowy wykonał tam m.in. utwór „Ein Heller und ein Batzen”, znany także jako „Hajli, Hajlo, Hajla”. Choć to piosenka biesiadna z XIX w., Polakom kojarzy się przede wszystkim z żołnierzami Wehrmachtu. Oczywiście szybko się okazało, że nic się nie stało. Po prostu, jak tłumaczą organizatorzy Jarmarku, „zespół wykonywał piosenkę w oryginalnej, ludowej wersji z XIX w. i nie miał świadomości jej jednoznacznie negatywnego skojarzenia w Polsce”. Wciąż nie rozumiemy, dlaczego za okładkę „Sieci” z gorzkim pytaniem, „czy Gdańsk chce do Niemiec?”, władze miasta ciągają nas po sądach.

Szukanie fajności i ślepe podążanie za modą w realnym życiu niesie poważne ryzyka. Tabloidy opisały wypadek Hanny Lis, która „połamała ręce i żebro oraz stłukła kolano”, bo „zaplątała się w za długie i za szerokie spodnie, które w dodatku przydeptała”. W efekcie wsiadająca do samochodu celebrytka runęła jak kłoda. Na szczęście zdołała ochronić twarz. Pech. Ale w sumie i tak więcej szczęścia niż nadal goszczący na łamach prasy kolorowej temat rozwodu Kazimierza Marcinkiewicza i pani Isabel. Tam rany nie zagoiły się do dzisiaj.

Kontynuując temat tygodników, donosimy o ciekawych sugestiach „Przeglądu”. Związane z Lewicą (choć zwalczające Czarzastego) pismo opisuje ze smutkiem, że na sprzedaż i do rozbiórki ma iść budynek przy ul. Rozbrat w Warszawie, gdzie kiedyś urzędowała lokalna PZPR, a następnie SLD. „Budynek nie należy do SLD, odkąd kupiła go grupa Radius, powiązana z rosyjskim kapitałem. Siedzibę sprzedał Grzegorz Napieralski, ówczesny przewodniczący SLD. Cena, jak na to miejsce, była skromna. Ale wystarczyło na milionowe wydatki w kampanii prezydenckiej Napieralskiego. A gdy kasa się rozpłynęła, Napieralski trafił do PO. I próbuje sił w lobbingu. Chwalą go Chińczycy i nie tylko oni” – czytamy. Ciekawe, bardzo ciekawe.

Z dobrą wolą chcieliśmy też coś zacytować ze związanego z Konfederacją pisma „Najwyższy Czas!”, ale to taki sen wariata, że naprawdę nic się nie nadawało. W ramach rekompensaty przywołujemy wypowiedzi Przemysława Wiplera, który podzielił się publicznie swoimi przemyśleniami na temat potencjalnych powyborczych koalicji. „Powiem coś, czego nie mówiłem wcześniej. Gdyby w ogóle z kimkolwiek rozważać koalicję, to uważam, że

eprasa.pl 7f2490a7a5

z różnych powodów sensowniej byłoby taktycznie dogadać się na głębokie zmiany w Polsce po tych ośmiu latach – na chwilę, na techniczne wyczyszczenie państwa – z obecną opozycją, bez lewicy" – wypalił. Czyli naprawa państwa ma polegać na oddaniu władzy Tuskowi? Ktoś jeszcze ma złudzenia, że konfederaci to tacy fajniejsi, nieskalani władzą pisowcy?

Niesłusznie narzekamy na tabloidy. Są mniej oszalałe niż zadufane w sobie imperium Adama Michnika. „Ukraińskie służby: Rosjanie planowali atak w trakcie wizyty Zełenskiego. Zatrzymano szpieżkę" – doniosła redakcja portalu Gazeta.pl. Czy jednak nie zabrakło tu czujności? Skąd wiadomo, że choć formalnie „szpieżka" jest kobietą, to nie czuje się mężczyzną? A może używa zaimków mnogich – przecież to też lewica dopuszcza. „Skoro nie wiemy, jakich szpieżka używa zaimków – to chyba powinno być: »osobę szpiegowską«" – słusznie zauważył z ironią wiceszef MSZ Paweł Jabłoński.

Szpieżka to nic przy wyczynach Jerzego Kryszaka na festiwalu Jerzego Owsiaka. Jedna z uczestniczek sprofanowała hymn Polski, przerabiając jego słowa. „Jeszcze Polka nie zginęła, póki my żyjemy. Co nam przemoc PiS-u wzięła, szablą odbierzemy! Marsz, marsz, kobiety. Nie po śmierć i nie po bzdety. Ale za wolnością, wolną wolą i godnością" – zapiała niezbyt czysto. Na występ pani Agnieszki satyryk zareagował cmoknięciem i słowami: „Ściskam cię, babeczko". A następnie... wygłosił szokującą tyradę. „Coś nieprawdopodobnego, że kobiety stały się jakąś podludzką istotą. Ja to widzę, słyszę, czytam, od Indii, po Afrykę, przez Polskę. Brak szacunku dla kobiet. Dla kobiet, które rodzą tych wojowników piep..., którzy potem wykorzystują kolejne matki, kolejne córki. Ja naprawdę czasami mam ochotę powiedzieć: nie rodźcie tych dzieci, niech sobie sami je, k..., urodzą!" – wykrzyczał Kryszak. Widzimy wyraźny brak logiki. Skoro nie ma dzieci, to problem sam się rozwiąże. Znikną rodziny, zniknie Polska, hymn będzie niepotrzebny. Wszystko zostanie w rękach migrantów z Azji i Afryki.

Także u Owsiaka dziennikarka TVN24 Katarzyna Kolenda-Zaleska opowiadała o swojej pracy. Przyznała, że są politycy, z którymi nie chce rozmawiać. „Nie zniżę się do tego, żeby zaprosić do studia posła Janusza Kowalskiego" – orzekła. „Pani Kasiu! Popieram! Proszę trzymać wysoko standardy w #WolneMedia i zapraszać dalej na rozmowy do #TVN Leszka Millera o demokracji, Leszka Balcerowicza o budowie silnej gospodarki. A może i Marka Dochnala o etyce w biznesie!" – odpowiedział w mediach społecznościowych wiceminister Janusz Kowalski. Mamy na sprawę inny pogląd. Są miejsca, których przyzwoici ludzie unikają. To proste. Przy takim podejściu do sprawy lista cenzorska w TVN nie ma żadnego znaczenia.

Jak widać, publiczne występy to ryzykowna sprawa, można chlapnąć niechcący słowo prawdy. I tak na wiecu PO w Legionowie posłanka Kinga Gajewska postanowiła zaprezentować swój „poetycki talent". Zapowiadając wystąpienie Donalda Tuska, porównała szefa PO do wiatru. „Ludzie są jak wiatr. Jedni przelatują przez życie i nic po nich nie zostaje. Drudzy dmą jak wichry, jak huragan, co te drzewa powala. Ale są tacy, co wieją w sam raz, tak żeby wszystko na czas mogło kwitnąć i owocować. Po tych ludziach zostanie piękno naszego świata, a my 15 października będziemy zbierali te owoce. Przed nami też ten, który wieje idealnie: Donald Tusk" – wyrecytowała. Tym wistem zyskała sympatię całej prawicy, która się zgodziła, że Tusk idealnie z Polski zwiał, a w przyszłości też zwieje.

No dobrze, a gdyby przebić bańkę okrągłych słów i wprost zapytać Polaków: „Czy twierdzenie, że »jeśli ***Donald Tusk*** zostanie ponownie premierem w Polsce, to będzie dbał o interesy brukselskiej biurokracji, zamiast troszczyć się o zwykłych Polaków«, jest według Ciebie prawdziwe czy fałszywe?". Zadanie, na zlecenie portalu wPolityce.pl, wykonała pracownia Social Changes. Zdaniem 49 proc. ankietowanych stwierdzenie jest prawdziwe. W opinii 51 proc. – fałszywe. W tym sondażu Tusk minimalnie wygrywa, ale wynik i tak jest dla niego druzgocący. Żaden puder telewizyjny tej prawdy nie przykryje.

Ludzie się bowiem nie zmieniają. Dlatego finał epopei senackiej ***Romana Giertycha*** jest tak smutny. Najpierw wystawiono go w ramach Paktu Senackiego, ale nikt się do tego wystawienia nie przyznał. Potem, gdy już politycy od Hołowni się wysypali, że to oni wystawili, wystawienie zniknęło. Teraz pan Giertych rozważa start samodzielny. Historyjka smaczna, ale warto odnotować opinię znajomego polityka opozycji, który pytany o powody tego zamieszania, odpowiedział: „Najważniejszy jest taki, że wszyscy się go boją. Użyć jako młota przeciw PiS? OK! Ale mieć tak brutalnego i cynicznego zawodnika przy boku? Każdy się boi, że zaraz sam stanie się ofiarą jakiejś intrygi". Słuszna obawa, ludzie się nie zmieniają.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, M. Czutko

eprasa.pl 7f2490a7a5

Taran Webera

KRZYSZTOF FEUSETTE

D: – Halo? Czy to herr Man...
M: – Nein! Herman to był Goering! Ja jestem Manfred!
D: – No właśnie chciałem powiedzieć: herr Manfred...
M: – Ja!
D: – Donald z tej strony. Ale nie Trump, he, he...
M: – Bahdzo śmieszne.
D: – No wiem. Czy można by zająć dosłownie ajn minuten, bitte?
M: – Ejn – ja, cwaj – najn. Podpadliście.
D: – Ja?
M: – Ja, ja. Ta wasza mowa o imigranten? Co to w ogóle miało być?
D: – No tak, jak żeśmy się umówili. Że ja będę teraz udawał pisowca, a wy mi za to nie potrącicie, w sensie politycznym.
M: – Skoczyła wam sondaż od tego?
D: – Na razie nie, ale sprawa jest rozwojowa. Jeszcze będzie to referendum...
M: – ...które żeście już podważyli, że będzie niewiążące. Ech, nie ma co ukrywać, że jesteście naszym wielkim zawodem. Umiecie kłamać, a nie potraficie udawać.
D: – Ja? Ja udaję wszędzie! Ja udaję w pracy, w domu, z wnukami i dziećmi, ja już tak udaję, że nie wiem, który jestem udawany, a który udany. Przy mnie Marlena Dietrich wysiada...
M: – A zaśpiewajcie coś?
D: – „Piszesz mi w liście, że kiedy pada, kiedy nasturcje na deszczu mokną...".
M: – No nie, coś naszego...
D: – Lajli, lajlo, lajla...
M: – Spocznijcie. Widzicie? Niby macie te swoje media: Tusk Vision Network, „Gazeta Wybiórcza", der Onet, „Newskwik", a jednak rozniosła się ta pseudoaferen z nasza ludowa przyśpiewka. Co to komu przeszkadza, że nasze żołnierze z Wehrmacht lubili sobie to śpiewać, kiedy mieli u was smutne święta, o których pisał der Onet? I co to zmienia, że to jest tradycyjnie zaśpiewane u was, skoro wyzwania Europy każą nam pytać was: was ist das „nas", skoro „nas" ist „was", a wszystkie Gdański są nasze?
D: – No ale jednak trzeba zrozumieć, że to się źle kojarzy. A jeszcze teraz ta rocznica powstania...
M: – Jakiego powstania?
D: – Warszawskiego.
M: – U Trzaskowskiego? A po co mu powstanie, skoro powstanie w Berlinie jeszcze większe lotnisko? Czasy się zmieniły. Albo będzie jednomyślność, albo nie będzie jej wcale. Na początek musi wejść zakaz weto, czyli auwidezejn każdy ciul, który nie jest z nami. Cwaj to jest to, co powiedziałem oficjalnie: macie spacyfikować ten rząd. Albo my was. Ursula i tak już oczy wypłakała, bo żeście mieli się uporać ajn, cwaj, drei. A tu, cytuję, „popahcie nie bahdzo"...
D: – Wy mnie tehaz... przedrzeźniacie?
M: – W jakim sensie?
D: – No z tym „r" jako „h". Bo jak tak czasem mówię, śmiałem się z tego publicznie. A to może być gehmańskie?
M: – Jak najbahdziej. Trzeba się przyzwyczaić, ale wy szybko łapiecie. Bardzo nam się podoba wasza akcja z „Rudym". Jak Kaczyński powiedział Polakom, żeby uważali na ryżego, to wyście zrobili z tego „rudego", a rudych jest w Polsce co niemiara. Do tego „Rudy" ma u was konotacje pozytywne, dzięki czołgowi.
D: – Oj, ale tego lepiej w kampanii nie przypominać.
M: – Czemu?
D: – Bo my tam do Niemców strzelamy. I Olgierda zabijacie...
M: – Hola, hola...
D: – Hajli, hajlo...
M: – Nie śpiewamy teraz. Co wy jesteście tacy narwani?
D: – Bo mnie to nie chce z głowy wyjść. Polskie ludowe w ogóle mnie nie biorą, nawet kaszubskiej bym nie zanucił, a tu mi noga sama chodzi. Ola Dulkiewicz to jest cudowna kobieta. Wiecie, że ona chciała w Gdańsku 1 września robić radosny pochód i tańce?
M: – Kryjcie się trochę z tym śpiewaniem, bo skutki są opłakane. Wystarczy, że „für Deutschland" po internecie krąży.
D: – Ale ja to tylko raz powiedziałem! Że dziękuję. Za wszystko. Że wasze, to znaczy frau Merkel – mein Gott, jak mi jej brakuje – rządy były błogosławieństwem dla Europy, Polski i Ukrainy. Może to ostatnie bym usunął. Ale teraz jak jest? Czy my wygramy?
M: – A czy gdybyście mieli wygrać, to musielibyśmy tak się angażować? Czy wy, jak szef EPP, musieliście ingerować w wyniki wyborów w kraju członkowskim? A my musimy, bo nam gospodarka siada, a wam rośnie. Proste nawet dla was, co? Tylko jak to wygląda ostatecznie? Że Niemcy narzucają innym swoja wola. I wiecie, co polnische ludzie powiedzą? Że Niemiec ma się za coś lepszego!
D: – Oj, tu się nie zgodzę. Hedaktoh Wieliński z „Gazeta Wybohcza", to znaczy, przephaszam, ja z was nie żahtuję, już bardziej z „Wyborczej", błaga od lat, żebyście tu zaprowadzili porządek.
M: – Ordnung?
D: – Ja!
M: – To znaczy co?
D: – No nie wiem... Szacunek dla prawa...
M: – Człowieku, u nas po sylwestrze w Kolonii było kilkaset zgłoszeń gwałtów, napaści i aktów przemocy wobec kobiet, przy basenach stoją policjanci pod bronią, przy żydowskich szkołach mamy komandosów, antysemityzm rośnie co roku o kilkanaście procent, a wiece neonazistów są chronione przez policję. O to chodzi?
D: – No nie. To znaczy tak. To znaczy nie... To ja już nie wiem, jak wy chcecie u nas, i to moimi rękami, swoją praworządność wprowadzać, skoro u was jest tak, jak jest...
M: – Gospodarka, Donaldzie. Osiem gwiazdek.
D: – Tak jest. To znaczy ja.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Piękna katastrofa na starcie

Do dziś się śmieję, przypominając sobie miny posłów Laska i Kierwińskiego słuchających ballady Kingi Gajewskiej o wietrze

Kampania wyborcza oficjalnie wystartowała. Politycy od miesięcy czekali na ten moment, tocząc prekampanię w oczekiwaniu, aż prezydent ogłosi termin wyborów. Donald Tusk przekonywał nawet, że ma świetne przecieki z Pałacu Prezydenckiego i termin wyborów będzie późniejszy niż ten, którego wszyscy oczekiwali, czyli 15 października. Okazało się, że jeśli coś mu przecieka, to chyba dach. Dalej było tylko gorzej.

Oto na starcie kampanii Manfred Weber, szef międzynarodówki Europejskiej Partii Ludowej, stwierdził w stacji ZDF: „W tych trzech zasadach się nie zachwiejemy. Kto to akceptuje, może być demokratycznym partnerem – konkurentem, politycznym konkurentem, ale demokratycznym partnerem. Wszyscy inni, którzy tego nie przestrzegają, jak niemiecka AfD, jak Le Pen we Francji albo PiS w Polsce, są naszymi przeciwnikami i będą przez nas zwalczani" – zagroził lider EPL. Weber postanowił najwyraźniej wkroczyć do polskiej kampanii, zaalarmowany niezbyt dobrymi sondażami PO oraz faktem, że jednak Trzecia Droga wystartuje samodzielnie, tworząc koalicję, a jedyna szansa Donalda Tuska na zwycięstwo, czyli mityczna jedna lista, o której wszyscy mówili, a nikt jej nigdy nie zobaczył, już nie powstanie.

Na tym nie koniec. Niemcy – próbując ugasić pożar, który wywołali – dolali benzyny do ognia. Rzecznik EPL poinformował w rozmowie z „Faktem", że Manfred Weber nie stanie do debaty z premierem Mateuszem Morawieckim, bo szef polskiego rządu powinien debatować z „naszym przedstawicielem w Polsce, którym jest Donald Tusk". W ten sposób powstał kolejny rozdział powieści „Nasz człowiek w Warszawie". W dużej części Polaków aż się zagotowało, bo wszyscy pamiętają, jak Niemcy próbowali wprowadzać u nas swoje porządki, i zdecydowana większość nie życzy sobie, by sąsiedzi układali nam rzeczywistość. Nie może być już też wątpliwości, kto stoi za PO i czyje interesy będzie ona wspierać oraz realizować. Dla Tuska byłoby lepiej, gdyby Weber dalej zajmował się przygotowywaniem antypolskich rezolucji, zamiast jawnie wykładać karty na stół. Nawet niemieckie media oceniły, że Weber pomógł kampanii wyborczej PiS, a Tusk musiał w duchu powtórzyć za kardynałem Richelieu: „Boże, strzeż mnie od przyjaciół, z wrogami poradzę sobie sam".

Jakby tego było mało, jeden z większych hejterów Platformy, Sławomir Nitras, postanowił się przeprosić z hejterem twitterowym. Poseł najpierw ogłosił, że przestał obserwować na Twitterze Adama Abramczyka (człowiek w mediach społecznościowych rzuca bluzgami na prawo i lewo, bije w PiS, media publiczne, a także w TVN za to, że za mało wspiera Tuska), bo zdarza mu się używać języka nienawiści, a posłowi to się nie podoba. „Mam chyba do tego prawo" – skomentował Nitras. Okazało się, że jednak nie ma prawa i po kilku dniach krytyki w mediach społecznościowych, a raczej po zmasowanym ataku Silnych Razem, polityk się złamał i przeprosił: „Przepraszam, panie Adamie. Przesadziłem. Jesteśmy przecież w jednej drużynie, także w sprawie symetryzmu" – oznajmił Nitras, przyznając tym samym, że politycy PO i zwykli hejterzy to jedna bajka. I to akurat dziwić nie może.

Nieszczęścia dopełniła wierszokletka Kinga Gajewska, która dała z siebie wszystko, recytując balladę o wietrze: „Ludzie są jak wiatr. Jedni przelatują przez życie i nic po nich nie zostaje. Drudzy dmą jak wichry, jak huragan, co te drzewa powala. Ale są tacy, co wieją w sam raz, tak żeby wszystko na czas mogło kwitnąć i owocować. Po tych ludziach zostanie piękno naszego świata, a my 15 października będziemy zbierali te owoce. Przed nami też ten, który wieje idealnie: Donald Tusk" – wyrzuciła z siebie Gajewska.

Do dziś się śmieję, przypominając sobie miny stojących za jej plecami posłów Laska i Kierwińskiego. Pani Gajewska z rozmachem przypomniała wszystkim, jak Tusk zwiał do Brukseli.

Piękna katastrofa na starcie kampanii. Serio, ktoś myślał nad tym od miesięcy? Jeśli tak będzie wyglądała kampania PO, to wyjdzie „Przeminęło z wiatrem".

Dorota Łosiewicz

Wielka Brytania

Cenzurowanie bibliotek

Biblioteki w Wielkiej Brytanii otrzymały wytyczne, według których powinny ukryć przed czytelnikami publikacje tzw. autorów Terf. „Zalecamy, aby uważać na te książki i ich nie promować" – czytamy w piśmie skierowanym do bibliotek, zalecającym jednocześnie eksponowanie prac promujących skrajnie lewicową ideologię transpłciową.

To element wojny, jaką lobby LGBT prowadzi z pisarkami feministkami sprzeciwiającymi się zrównywaniu w prawach kobiet z transpłciowymi mężczyznami. Zaś skrót „Terf" (trans-exclusionary radical feminist) ma być obraźliwym stygmatem wobec tych feministek, które nie zgadzają się z ideologią transpłciowości.

Wytyczne w formie „porad dla pracowników bibliotek publicznych" rozesłała londyńska „biblioteka LGBTIQ+" o nazwie Book 28 w Islington. Zgodnie z nimi publikacje autorek „Terf" powinny być ukryte przed wzrokiem czytelników w celu zapobieżenia ryzyku zetknięcia się osób LGBT z „transfobicznymi" książkami. A liczba ich egzemplarzy powinna zostać ograniczona. Lewicowi bibliotekarze, którzy napisali wytyczne, wzywali jednocześnie do aktywnego promowania publikacji o tematyce LGBT, a także do organizowania godzinnych występów drag queen i instalowania na terenie bibliotek toalet neutralnych pod względem płci.

Brzmi to oczywiście jak ponury żart, ale tego rodzaju praktyki są coraz powszechniejsze w Europie. Przykładowo już cztery lata temu publiczna biblioteka w szwedzkim Trelleborgu otrzymała certyfikat LGBT. Aby go zdobyć, personel przeszedł specjalne szkolenia prowadzone przez Federację na Rzecz Praw LGBT. Kosztowały 133 tys. koron, czyli około 52 tys. zł.

Chociaż w wytycznych nie wymieniono konkretnych autorów, od pewnego czasu kilka brytyjskich pisarek jest regularnie etykietowanych jako „Terf". Wśród nich m.in. J.K. Rowling (autorka serii o Harrym Potterze), Kathleen Stock i Helen Joyce. Szczególnie ta ostatnia zasłynęła jako krytyk tranzycji wśród dzieci i młodzieży, określając ją jako nieetyczną medycynę, znęcanie się nad dziećmi i globalny skandal, a osoby transseksualne jako oszustów i seksualnych drapieżników. Stała się też celem bezpośrednich ataków środowisk lewicowych. Joyce uznała wytyczne za głupie, naruszające wolność słowa i dyskryminujące ze względu na przekonania.

– Co dalej? Nakazać bibliotekom spalenie dzieł Kathleen Stock i Helen Joyce, ponieważ odważyły się zakwestionować dogmaty o transinkluzywności? – pyta Toby Young, założyciel Free Speech Union.

Maciej Walaszczyk

Przed decydującymi wyborami

Mołdawia

W listopadzie w Mołdawii odbędą się wybory samorządowe, które wyłonią niemal 900 merów i prawie 11 tys. radnych. Polityczne znaczenie tych wyborów znacznie przekracza kwestie lokalne, będą one bowiem ostatnią próbą przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi, podczas których rozstrzygnie się przyszłość obecnego prozachodniego kursu Mołdawii. Jeśliby bowiem siłom prorosyjskim, do których zaliczają się socjaldemokraci byłego prezydenta Igora Dodona oraz populiści z niedawno zdelegalizowanej partii Şor, udałoby się wystawić wspólnego kandydata, to wówczas sytuacja obecnej prezydent Mai Sandu byłaby bardzo trudna.

Obie strony przygotowują się już do decydującego starcia. Socjaldemokraci zaproponowali innym nurtom prorosyjskiej opozycji porozumienie. Trwają też zabiegi, aby do tego aliansu dołączyła Irina Włach, była baszkanka (przywódczyni) Gagauzji, autonomicznego regionu zamieszkanego przez rosyjskojęzyczną mniejszość pochodzenia tureckiego.

Wybory lokalne będą przebiegały w warunkach pogłębiającego się kryzysu, wywołanego zarówno spadającą produkcją przemysłową, jak i ograniczeniami wprowadzonymi przez Rosję dla mołdawskiego eksportu rolno-spożywczego. Na to nakłada się kryzys energetyczny związany z wojną na Ukrainie oraz z odmową zapłaty przez Kiszyniów za dostawy rosyjskiego gazu dla separatystycznego Naddniestrza. Dług przekroczył już 500 mln dol.

Rząd w Kiszyniowie, dążąc do dywersyfikacji źródeł zaopatrzenia w gaz ziemny, który jest podstawowym paliwem w systemie energetycznym kraju, musiał więc zaakceptować zakupy na warunkach rynkowych, co doprowadziło do sześciokrotnej podwyżki cen dla odbiorców indywidualnych. W efekcie zadłużenie Mołdawii w Europejskim Banku Rozwoju przekroczyło 460 mln euro (przy PKB wynoszącym ok. 13,5 mld), a pozyskane środki wystarczą jedynie na pokrycie 70 proc. zapotrzebowania w zbliżającym się sezonie grzewczym.

Wszystko to powoduje, że sytuacja w kraju staje się coraz bardziej napięta. Opozycja oskarża obóz prozachodni o próbę wprowadzenia cenzury w związku z faktem, że Centralna Komisja Wyborcza uzyskała uprawnienia do zatwierdzania publicznych wystąpień lokalnych władz i sił politycznych. Z kolei obóz władzy, obawiając się zaostrzenia sytuacji, przyspiesza integrację wojskową z NATO. Niepewna przyszłość Mołdawii jest teraz w rękach wyborców.

Marek Budzisz

Fot. Belist/Shutterstock.com, Shutterstock x3

eprasa.pl 7f2490a7a5

Chiny

Niemrawy powiew wolności

Hukou to system obowiązkowej rejestracji ludności w Chinach. Teraz władze w Pekinie chcą go zliberalizować, aby ułatwić legalną migrację wewnątrz kraju. Powodem tej decyzji są pogarszające się wyniki gospodarcze Państwa Środka.

System *hukou* wprowadzono w Chinach wkrótce po przejęciu władzy przez partię komunistyczną w 1949 r. Jego podstawowym zadaniem była kontrola ludności oraz zatrzymanie wewnętrznej migracji z prowincji do miast. Na podstawie *hukou* każdy obywatel Chin został dziedzicznie przypisany do określonego regionu zamieszkania, którego nie wolno mu było opuszczać na stałe, np. w poszukiwaniu pracy. Jeśli nie otrzymał pozwolenia na taki wyjazd, narażał się na różne – nie tylko prawne – konsekwencje. Pracując nielegalnie poza przypisanym mu regionem, nie miał np. prawa do opieki medycznej, edukacji, zakwaterowania ani do subsydiowanej żywności. *Hukou* używany był również jako narzędzie represji wobec wszelkiej maści dysydentów, którzy – krytykując reżim – ryzykowali przymusowe osiedlenie na głuchej prowincji.

System uderzał przede wszystkim w ubogą ludność wiejską, której odbierał szanse na poszukiwanie lepszego życia w mieście. Mimo to wielu chłopów podejmowało ryzyko i uciekało do dużych aglomeracji. Ten proces nasilił się w latach 80. ubiegłego stulecia, gdy w Chinach wprowadzono reformy gospodarcze i jak grzyby po deszczu zaczęły powstawać fabryki produkujące towary dla zachodnich korporacji. Potrzebowały one taniej siły roboczej, dlatego chętnie przyjmowały zdesperowanych uciekinierów z prowincji. Tacy pracownicy byli obywatelami drugiej kategorii. Istnieją relacje opisujące pracę w fatalnych warunkach, siedem dni w tygodniu, po 12 godzin na dobę, z zakwaterowaniem w barakach na terenie fabryki. Oczywiście bez opieki medycznej i jakichkolwiek przywilejów socjalnych.

Dzisiaj struktura ludności w Chinach jest już inna. Społeczeństwo jest starsze i bogatsze niż pod koniec XX w. Co więcej, gospodarka chińska zwolniła, odnotowując w ciągu pierwszego kwartału tego roku zaledwie 0,8-procentowy wzrost w stosunku do analogicznego okresu rok temu. Chcąc ją ponownie pobudzić, władze w Pekinie postanowiły zliberalizować *hukou* i ułatwić migrację ludności wiejskiej do miast, aby szerzej otworzyć miejski rynek pracy dla mieszkańców prowincji. Zgodnie z nowymi wytycznymi *hukou* miałby zostać w całości zniesiony w miastach liczących do 3 mln mieszkańców, a w większych – mocno złagodzony.

Jeszcze niedawno jednym z dogmatów zachodniego liberalizmu była teza, że bogacenie się społeczeństwa prowadzi do jego demokratyzacji. W Chinach to się nie sprawdziło. Co więcej, okazuje się, że może być odwrotnie, bo dopiero widmo kryzysu zmusiło reżim do złagodzenia surowych rygorów.

Konrad Kołodziejski

Austria

W obronie gotówki

Kanclerz Austrii Karl Nehammer chce konstytucyjnego zagwarantowania prawa do posługiwania się gotówką. Pomysł chadeckiego szefa rządu wywołał ostrą reakcję ze wszystkich stron sceny politycznej w Austrii.

„W samej Austrii co roku z bankomatów wypłacanych jest 47 mld euro, a średnio każdy Austriak nosi przy sobie 102 euro w gotówce. Dlatego jestem zdeterminowany, aby zapewnić konstytucyjną ochronę gotówki jako środka płatniczego" – napisał kanclerz i przypomniał, że aż „67 proc. płatności poniżej 20 euro w Austrii jest dokonywanych gotówką".

Nehammer poinformował też, że upoważni ministra finansów Magnusa Brunnera do realizacji planu konstytucyjnej ochrony płatności gotówkowych. W planie jest także zorganizowanie we wrześniu okrągłego stołu na ten temat z udziałem przedstawicieli rządu, sektora bankowego oraz prezesa banku narodowego.

Debata na temat przyszłości gotówki trwa w Austrii od wielu lat. Główni obrońcy papierowego pieniądza z Wolnościowej Partii Austrii (FPÖ) argumentują, że nadmierne korzystanie z systemu kart płatniczych umożliwia państwu monitoring obywateli. Podobne dyskusje toczą się również w innych krajach europejskich, ale to właśnie w Austrii po raz pierwszy partia rządząca postanowiła podjąć konkretne kroki w obronie gotówki.

Nehammer stojący na czele rządzącej Austriackiej Partii Ludowej musi jeszcze pokonać sprzeciw ze strony socjaldemokratycznej opozycji, która – choć deklaruje się jako lewica – stanęła po stronie wielkiego kapitału. Socjaldemokraci uważają bowiem, że konstytucyjna ochrona papierowego pieniądza może mieć niebezpieczne konsekwencje dla systemu bankowego. Co ciekawe, kanclerza atakują również populiści z FPÖ, których zdaniem polityk po prostu ukradł im ich pomysł.

Być może rzeczywiście tak jest, ale świadczy to jedynie o tym, że niektóre postulaty uznawane przez liberalną lewicę za skrajne powoli przebijają się do głównego nurtu. Dziś jest to obrona gotówki, ale niewykluczone, że w przyszłości podobnie będzie z kwestią imigracji czy ze sprzeciwem wobec wysokich kosztów Zielonego Ładu.

Goran Andrijanić

eprasa.pl 7f2490a7a5

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Pomniki to strażnicy pamięci

Jan Pietrzak

Ze wzruszeniem uczestniczyłem w odsłonięciu pomnika Bitwy Warszawskiej w Czesławicach obok Nałęczowa. Serdecznie gratuluję władzom samorządowym i Związkowi Piłsudczyków, którzy byli inicjatorami upamiętnienia dwóch żołnierzy Legionów, pochodzących z tej wsi. Przeprosiłem zgromadzonych, że w moim rodzinnym mieście, Warszawie, nie ma pomnika Bitwy Warszawskiej, co jest faktem wstydliwym i co uważam za osobistą porażkę, ponieważ przez kilka lat przekonywałem władze stolicy do takiej inwestycji. Niestety obecna ekipa ratusza jest odporna na polskie obowiązki. Nadchodzi czas, by to zmienić, by wreszcie po latach okupacji postawić pomniki polskiej chwały. Tak jak udało się w Czesławicach, Tomaszowie Lubelskim i we wsi Harta na Podkarpaciu w ubiegłych latach. W tych niedużych miejscowościach mieszkają Polacy, którzy uratowali honor obecnego pokolenia wobec bohaterów Niepodległości sprzed 100 lat.

Ale pamiętajmy również o tej obecnej, III Niepodległości wywalczonej przez Solidarność pod duchowym przywództwem św. Jana Pawła II. W Gdańsku stoi monument Poległych Stoczniowców, niezbędny symbol pamięci o zbrodni 1970 r. Ważne jest, że spadkobiercy poległych stoczniowców zwyciężyli! Czekamy więc na pomniki Zwycięskich Stoczniowców, Zwycięskiej Solidarności, która odmieniła oblicze polskiej ziemi. Jeśli teraz tego nie dopilnujemy, to za kolejne 20 lat okaże się, że Polska zawdzięcza wolność esbekom i wrogim agenturom. A przecież pamiętam tamte sierpniowe dni. Młodych dzielnych ludzi, pełnych odwagi i dumy ze swego kraju.

Zbyt dużo kłamstwa krąży nad Polską, by zostawić fundamentalne sprawy swojemu biegowi. Bez utrwalonej kulturowo i edukacyjnie pamięci historycznej panoszące się w naszym kraju wnuki Wehrmachtu będą śpiewać na Westerplatte hitlerowskie „Heili, Heilo!". Przyjaciele Putina będą wyć w pijanym widzie „Międzynarodówkę" w rocznicę postawienia pałacu Stalina na krwawiących gruzach Warszawy. Na straży polskiej ziemi i tożsamości mają stanąć posągi polskich bohaterów! A są ich miliony...

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Poprawmy konkordat

Dominik Zdort

Coraz częściej w mediach pojawiają się głosy nawołujące do rewizji lub nawet wypowiedzenia przez rząd RP konkordatu, umowy z 1993 r. między naszym państwem a Stolicą Apostolską. Konkordat to, jakby ktoś nie wiedział, a pewnie coraz więcej młodych ludzi nie wie, umowa między konkretnym krajem a państwem kościelnym, gwarantująca swobody religijne i uprawnienia obywateli wyznających religię katolicką.

Nie jestem bezkrytyczny wobec tego dokumentu: jest w polsko-watykańskiej umowie kilka punktów, które dziś można by zmienić, bo zmieniły się konteksty. Na przykład paragrafy związane z finansowaniem przez państwo instytucji edukacyjnych założonych kiedyś przez Kościół. Trzeba je wykreślić, aby odebrać argumenty antyklerykałom, a równocześnie dodać siły katolikom.

Wyższe uczelnie i szkoły nazywane katolickimi coraz częściej nic wspólnego z tradycyjną nauką Kościoła nie mają – wręcz przeciwnie, są rozsadnikiem antyklerykalizmu, protestantyzmu, ateizmu (jak ktoś nie wierzy, niech poczyta, co piszą ich absolwenci, włos się na głowie jeży), więc nie ma powodu, aby polskie państwo tę wrogą katolicyzmowi propagandę finansowały. Jak papież Franciszek chce, to niech płaci, to jego linia ideowa. Jak polski Episkopat uzna, że siedliska szatańskiej propagandy trzeba zlikwidować, to niech to zrobi, czym prędzej, tym lepiej.

Ale są też inne argumenty za modyfikacją konkordatu. Na przykład absurdalne przepisy zakazujące włączania do polskich diecezji terytoriów zagranicznych. Domyślam się, że ten akapit to skutek powojennego zamieszania, kiedy przez dłuższy czas kościelna administracja w Polsce na ziemiach zachodnich była tymczasowa. Ale dziś mamy sytuację, gdy zaraz może zostać tylko skrawek Ukrainy i Kościół będzie musiał jakoś nim zarządzać. Albo – to wcale nie jest absurdalne i niemożliwe – kolejny lewacki, a nawet i chadecki, niemiecki rząd wypowie swój konkordat i trzeba będzie wesprzeć katolików za naszą zachodnią granicą. W takich sytuacjach nasza umowa z Watykanem stanie się problemem.

Wrogowie konkordatu piszący na łamach najpotężniejszej polskiej gazety protestują przeciwko dofinansowaniu przez państwo ocieplania klasztorów, renowacji katolickich zabytków, krytykują nawet prawo Kościoła do odprawiania mszy w więzieniach, a nawet możliwość uczestnictwa w liturgii dzieci na obozach i koloniach.

Dziś to – mam nadzieję – mrzonki, ale jesienią... kto wie.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 7f2490a7a5

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wojna w alfabecie

W postępowym alfabecie – naturalnie. Czyli tym LGBTAQI+ – nie wiem, czy literek przed plusem nie jest już więcej, bo przecież ciągle wynajdujemy nowe płcie i orientacje, ale niech będzie na razie konserwatywnie. Dziwi mnie zresztą, że w szkole wciąż uczy się wstecznego i podszytego... no, wiecie czym, abecadła, które dawno już z ideologicznego pieca spadło, zamiast nowoczesnego, ale to nie temat tego felietonu. Naszym tematem jest wojna domowa, która wybuchła w postępowym alfabecie. Dalsze literki zbuntowały się przeciwko literkom czołowym.

W świecie, w którym głównym imperatywem jest równość, trudno zaakceptować, aby jedni byli ciągle na przodzie, a inni zepchnięci na pozycje dalsze. Rzecz jednak nie tylko w tym, że dalsze literki chciały zająć miejsce tych zasiedziałych na czołowych stanowiskach, one oskarżyły je o zdradę ideałów i największą zbrodnię, czyli fobię wobec dalszych literek prezentowaną. L i G pozwane zostały za nienawiść do T oraz kolejnych. Homoseksualizm zdiagnozowany został jako transfobiczny.

Poważniejsze zastanowienie musi rozpoznaniu temu przyznać rację.

Jeśli ktoś deklaruje się jako naturalny homoseksualista, a więc miłośnik własnej płci, to przecież akcentuje fundamentalne istnienie tejże, co jest policzkiem wymierzonym osobom trans. Podział ludzkości na płcie jest systemem wstecznym, który służy panowaniu patriarchatu, a płeć jak wszystko jest kategorią kulturową. Jak więc można deklarować się jako homoseksualista, skoro sex, czyli gender, jest pojęciem umownym? Czy kreowanie tożsamości homoseksualnej, wszystko jedno czy w wersji L czy G, nie ma już charakteru wykluczającego? Przecież gejem może być tylko mężczyzna. A jeśli chciałby kto inny?

Ba, odważmy się nazwać rzeczy po imieniu. L i G ujawniają po prostu zgubny esencjalizm, który jest źródłem zła zachodniej cywilizacji. Zakłada on, że rzeczy mają swoją naturę, co jest tradycyjnym podejściem uzasadnianym tym – śmiechu warte – iż inaczej nie bylibyśmy w stanie wyróżnić ich z potoku zdarzeń. Nastawienie takie zamyka człowieka w określonej charakterystyce i blokuje proces emancypacji. Przyjmuje przecież trwałość seksualnej orientacji, która, co więcej, wyznaczać ma tożsamość człowieka. A jeśli płeć jest konstruktem płynnym i kulturowo kreowanym, to jak orientacja płciowa miałaby być stałą charakterystyką osoby?

Brałem udział w międzynarodowej konferencji, której postępowi uczestnicy ze zdumieniem odkrywali, że zagrożenia dla tolerancji we współczesnej sztuce płyną również z ich obozu. O swoich doświadczeniach opowiadała znana tancerka, zdeklarowana feministka. Za transfobiczność pozbawiona została stanowiska szefowej trupy, którą faktycznie sama stworzyła; za zbrodnię tę odpowiadać ma również przed angielskim sądem. Wzruszające było jej zagubienie. Całe zawodowe życie walczyła o pełne równouprawnienie kobiet. Akcentowała, że płeć jest konstruktem kulturowym, nie powinna więc mieć żadnego wpływu na społeczne role, była za to chwalona oraz nagradzana i nagle... za to samo znalazła się pod pręgierzem postępowej opinii.

Pouczający charakter ma historia J.K. Rowling, autorki książek o Harrym Potterze, ikony feministycznego postępu. Nie zauważyła na czas, że konsekwencją idei, w których propagowanie się włączyła, jest zanegowanie tożsamości płciowej i ciągle trzymała się tradycyjnego podziału na ich dwa rodzaje. Kampania nienawiści oraz degradacji, której została poddana i która doprowadziła tę najpopularniejszą globalnie pisarkę do literackiego nieistnienia, może być analizowana jako wzorcowy model działania obozu tolerancji i pluralizmu.

Z tego typu presją boryka się coraz większa liczba mniej lub bardziej znanych działaczy frontu postępu – wszystko jedno czy w feministycznej, czy homoseksualnej odsłonie. Nie zrozumieli na czas, że inicjowali rewolucję, której konsekwencją będzie zanegowanie haseł, pod którymi maszerowała ona na początku.

Zakwestionowanie fundamentalnej natury płci, która jak wszystko w ludzkim świecie ma także kulturowy charakter, prowadzi do podważenia feministycznego projektu i kwestionować powinno roszczenia gejowskiego lobby. Wprawdzie każda rewolucyjna ideologia charakteryzuje się intelektualnymi sprzecznościami, które zagłusza zwykle fanfarami i wiecowymi wezwaniami, ale one trwają i w każdym momencie, w określonych warunkach mogą być użyte przez dawnych towarzyszy przeciw nieostrożnym aktywistom.

Grupa „trans" siłą rzeczy wysuwa się na czoło rewolucji emancypacji, która opiera się na wizji samostwarzającego się człowieka. A potężne ośrodki, którym daje ona władzę i wszelkie pochodne dobra, potrafią się rozprawiać z każdym niewygodnym z własnych szeregów. Wojna w alfabecie będzie trwać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

Walizka Michała Kłosińskiego

kustosza Domu Kopernika

Jesteśmy w roku jubileuszowym, związanym z 550. rocznicą urodzin najwybitniejszego polskiego uczonego Mikołaja Kopernika. Jest to niezwykle ważna data nie tylko dla nas w Toruniu, lecz także dla wielu innych miejsc w Polsce, m.in. Krakowa, Olsztyna, Warszawy czy Fromborka. Jednym słowem – podróży zawodowych mam znacznie więcej niż w latach poprzednich. Przygotowujemy wiele wystaw, a już we wrześniu „Misterium Słońca. Kopernik, syn Renesansu". To będzie duży pokaz włoskiej sztuki i kultury renesansowej, z którą Kopernik zetknął się podczas swoich studiów w Italii w latach 1497–1503. Na jej potrzeby przygotowujemy wiele użyczeń z zagranicznych muzeów, m.in. z weneckiej Gallerie dell'Accademia, która udostępni nam dwa wspaniałe obrazy. Wybieram się też do Szwecji, by obejrzeć dokumenty i książki pochodzące z dawnej biblioteki Kopernika, które wspaniałomyślnie wypożyczą na wystawę. Będzie to prawdziwy rarytas...Równolegle od lutego do końca roku trwa Światowy Kongres Kopernikański, który ma odsłony w poszczególnych polskich miastach kopernikańskich: Toruniu, Krakowie i Olsztynie. Uczeni, muzealnicy i konserwatorzy debatują nad różnymi aspektami badań kopernikańskich i nad tym, co jeszcze może być przedmiotem odkryć w tej dziedzinie w następnych latach.

DE REVOLUTIONIBUS ORBIUM COELESTIUM

Moim zdaniem najważniejsza naukowa książka świata autorstwa Kopernika. Jej pierwsze wydanie ukazało się w Norymberdze w 1543 r. w nakładzie ok. 500 egzemplarzy, w Polsce zachowało się 14 sztuk. Została doskonale przetłumaczona z łaciny na polski już w XIX w., w latach 70. XX w. przez Brożka i Oświęcimskiego.

NOTES

Do zapisywania myśli, które najdą. Na okładce bardzo ciekawa grafika autorstwa naszej koleżanki Pauliny Bromy.

eprasa.pl 7f2490a7a5

MUZYKA

Jeżeli jest gdzieś możliwość posłuchania muzyki, to puszczam koncerty brandenburskie Bacha, które mnie nie tylko uspokajają, lecz także bardzo mocno estetycznie podładowują.

LITERATURA

Bezapelacyjnie John le Carré, autor kryminałów. Niepowtarzalna atmosfera wyobcowanych trochę postaci z jego książek zawsze mnie fascynowała i dawała ciekawą perspektywę psychologicznego spojrzenia na człowieka.

T-SHIRT

Obowiązkowo z Kopernikiem stylizowanym na Supermana. Jestem przekonany, że amerykański bohater jednak nie potrafiłby zrobić tego, co uczynił nasz rodak, czyli zatrzymać Słońce.

SZTUKA RENESANSU

Przygotowania do wrześniowej wystawy „Misterium Słońca" w Ratuszu Staromiejskim w Toruniu wymagają dogłębnego ugruntowania wiedzy ze studiów na kierunku historii sztuki – klasyka Lindy i Petera Murrayów.

SKARPETKI

Na zmianę. W duchu kopernikańskim przygotowane na ten szczególny rok.

LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Wydaliśmy kilka książek dla młodego czytelnika poświęconych Mikołajowi Kopernikowi. Taką pozycją jest komiks autorstwa hiszpańskiego rysownika Jordi Bayardi, którego gościliśmy w Toruniu. A „Jak zły szeląg" z ilustracjami Marty Przeciszewskiej to opowieść o młodym Mikołaju, który odkrył fałszerstwo monet.

GRA MAINCRAFT

Gdy mam chwilę czasu i możliwość, to ją odpalam. Gra mnie bardzo wycisza i oczyszcza umysł. Mój syn też jest jej fanem.

MUZEALNY EKSPONAT

Orzeźwiające piwo z browaru w Bielkówku, przygotowane specjalnie z myślą o naszej okrągłej rocznicy. Nasza placówka zbiera tego rodzaju obiekty jako element kultu Kopernika, zresztą obecnie prezentujemy wystawę czasową „Pamięć bardzo rzeczowa" przygotowaną przez Alicję Lubowicką.

LORNETKA

Podstawowe wyposażenie amatora obserwatora nieba. W czasie letnich miesięcy, a szczególnie na Pojezierzu Brodnickim w terenie mniej rozświetlonym, świetnie widać Księżyc i najważniejsze gwiazdy.

TORBA

Torby szmacianki są modne od dłuższego czasu, a moja – jeżeli z emblematem – to wiadomo, z jakim.

Wysłuchał i zapisał
Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

OGNIEM NA WPROST

Niech i Moskale się boją

W podmoskiewskiej miejscowości Siergijew Posad doszło do potężnej eksplozji. Grzyb po wybuchu sięgnął wyżej niż 10-piętrowy wieżowiec. Lokalesy poinformowały o potężnej sile detonacji. Według ich relacji 2 km od epicentrum zatrzęsły się stropy w ich mieszkaniach. Jakiś gość przejeżdżał akurat samochodem wyposażonym w kamerę około 200 m od eksplozji. Zdmuchnęło mu przednią szybę, a sam wylądował w szpitalu z podejrzeniem wstrząśnienia mózgu. Generalnie liczba ofiar sięgnęła 60 osób, z czego jedna zmarła, a osiem jest zaginionych. Ruska propaganda twierdzi, że w Zagorskich Zakładach Optyczno-Mechanicznych wybuchły nagromadzona pirotechnika i składowisko rur. Zapewne jak zwykle w takich sytuacjach nieszczęście spowodował wyrzucony niedopałek papierosa. W rzeczywistości wokół miejsca eksplozji sfilmowano porozrzucane artyleryjskie pociski. Ale to pikuś. Rzekome rury okazały się bowiem magazynem rakiet Iskander. Oprócz tego, jak poinformowały kacapskie media, w zakładach opracowywano bombowiec nowej generacji – Envoy. Produkuje się tam również optykę do pojazdów bojowych. Co ciekawe, nie był to atak drona, tylko sabotaż. Tak czy inaczej w Moskwie i pod nią robi się coraz goręcej. Nie mam nic przeciwko temu, żeby Moskale zaczęli się bać, tak jak mieszkańcy terroryzowanych przez nich miast na Ukrainie.

Tymczasem Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU) pracuje także zdalnie. Dzwonią do cywilnych kacapów i tak im mieszają w głowach, że ci dostają dosłownie tzw. myleja. Jednemu emerytowi wmówili kredyt, przez który stracił mieszkanie, bo została na nim ustanowiona hipoteka. Kolejny telefon wyjaśnił dziadkowi, że nie ma problemu i wszystko odzyska, jeśli... pójdzie i podpali najbliższy wojenkomat (komisję poborową). Zdesperowany bankrut wziął koktajl Mołotowa i wykonał polecenie wierzyciela. Oczywiście został złapany na miejscu i osadzony w areszcie. Tam już tego było dla niego za wiele i „targnął się na linę", czyli popełnił samobójstwo przez powieszenie. W związku z tragicznym końcem emeryta, w ruskich mediach społecznościowych pojawiła się instrukcja, jak skutecznie puścić z dymem wojenkomat i nie dać się przy tym złapać. Na rysunku 3D widać cały plan biura z dokładnym opisem. Gdyby ową grafikę z opisem SBU wysłało wcześniej, to może emeryt by tak nie skończył. Ale gdyby babcia miała wąsy, to byłaby dziadkiem.

Teraz trochę o symbolice. W ramach donacji przekazaliśmy Tryzubom bojowe wozy piechoty Rosomak. To sobie chłopcy namalowali na jednej sztuce niemieckie krzyże z II wojny światowej. Czarne z białą obwódką, czyli tzw. Balkenkreuze (krzyże belkowe). Jak wiadomo, oficjalnym znakiem umieszczanym przez Ukraińców na pojazdach bojowych jest biały krzyż grecki w różnych formach. Dokładnie takiego samego używali Niemcy w kampanii wrześniowej 1939 r. Ponieważ stanowił idealny cel dla naszych armat przeciwpancernych, najpierw Panzerwaffe (niem. broń pancerna) zmieniła jego barwę z białego na żółtą, a potem zaczęła przykrywać go błotem, by w końcu zrezygnować i zastąpić go właśnie krzyżem belkowym. Trudno się przyczepić do krzyża greckiego wykorzystywanego jako główny symbol przez Siły Zbrojne Ukrainy. Znak ten jest także żywo wpisany w ukraiński patriotyzm. W lekko innej formie wywodzi się z herbu założyciela pierwszej kozackiej Siczy, Dymitra Wiśniowieckiego zwanego Bajdą, pieczętującego się herbem Korybut. Symbol ten widniał na chorągwi Siczy Zaporoskiej w postaci białego, równoramiennego krzyża, którego ramiona rozszerzają się na końcach. Jest to też symbolika związana z polskimi losami, ponieważ wojska zaporoskie biły się w polskich kampaniach pod chorągwiami z takim krzyżem, podobnie jak żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej Semena Petlury, którzy bronili finalnie Rzeczypospolitej przed bolszewickim pochodem. Dlatego nazywa się go Krzyżem Kozackim. Natomiast co do domorosłej malarskiej twórczości ukraińskich żołnierzy na naszych Rosomakach, która nam kojarzy się złowieszczo, to wygląda ona na oddolną inicjatywę, bynajmniej nie dowództwa, ponieważ Kijów nie zezwala na takie zachowania. Skąd to wiemy? To nie pierwsza burza medialna z Balkenkreuzem. W lutym 2023 r. dziennikarz Reutersa sfotografował dwa ukraińskie czołgi z namalowanymi symbolami przypominającymi ten krzyż. Jedna z czeskich gazet napisała do Sił Zbrojnych Ukrainy z zapytaniem, co to za symbolika. Dowództwo stwierdziło, że była to oddolna inicjatywa żołnierzy, i nakazało usunąć malowanie. Mam nadzieję, że i tym razem stanie się podobnie, o ile ktoś w Polsce oprócz mnie na to zareaguje. Poza tym po co karmić moskiewską propagandę nazistowską symboliką.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

Frida w Podchorążówce

Marta Kaczyńska-Zielińska

Wystawa w Łazienkach Królewskich „Kolor życia. Frida Kahlo" jest związana z 95. rocznicą nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską i Meksykiem. To pierwsza w Warszawie wystawa prac Magdaleny Carmen Friedy Kahlo y Calderón – malarki, której oryginalny wizerunek i twórczość stały się częścią światowej popkultury.

W Podchorążówce można oglądać trzy obrazy meksykańskiej artystki: „Tam wisi moja sukienka" (1933), „Kokosy" (1951) oraz „Martwa natura z arbuzami" (1953). W galerii Stara Kordegarda można usiąść przy stole łudząco przypominającym ten z jadalni Kahlo, położyć się w łóżku z baldachimem, zobaczyć gorset i but ortopedyczny, przebrać się w tehuańską suknię. Na dziedzińcu Podchorążówki plenerowa instalacja odtwarza fragmenty La Casa Azul – domu Fridy, stanowiącego nieodłączny element jej barwnego wizerunku. Na wystawie w Łazienkach zaprezentowano archiwalne zdjęcia malarki z okresu wczesnego dzieciństwa, rodziców oraz kadry przedstawiające jej małżeństwo. Oryginalną urodę i styl Kahlo można podziwiać na krótkim nagraniu filmowym autorstwa amerykańskiego fotografa Nickolasa Muraya, ukazującym głębokie oddanie artystki i czułość, z jaką odnosiła się do Diego Riviery.

Obraz „Tam wisi moja sukienka" to jedyny w dorobku Fridy symboliczny kolaż odzwierciedlający wrażenia malarki z jej kilkuletniego pobytu w USA. Krytycznie zasygnalizowany kapitalistyczny, konsumpcjonistyczny Nowy Jork zderza się w nim ze starożytną Europą i z wielowiekową historią Meksyku. Twórczość Kahlo znana jest przede wszystkim z jej charakterystycznych autoportretów (których powstało ponad 40) i określana jest mianem narcystycznej. Wizerunek meksykańskiej malarki widnieje na grafikach zdobiących ceramikę czy artykuły wyposażenia wnętrz. Mniej znane są martwe natury jej autorstwa. Pokazywane w Łazienkach Królewskich pełne symboliki „Kokosy" powstały w czasie, gdy artystka zaczęła się poruszać wyłącznie na wózku inwalidzkim. „Martwa natura z arbuzami" została namalowana pod koniec życia, gdy Frida była już bardzo cierpiąca, a jej możliwości twórcze były ograniczone.

Na wystawie przedstawiono szczegółowo biografię Kahlo. Dowiadujemy się o trudnym dzieciństwie naznaczonym chorobą polio, o ciężkim wypadku komunikacyjnym, w którym Frida została bardzo dotkliwie poturbowana i po którym do końca życia musiała się zmagać z bólem. Niepełnosprawność artystki i ograniczenia w możliwości poruszania się wyzwoliły jednak u malarki wenę twórczą i skłoniły do poświecenia się sztuce. Uzasadnione jest twierdzenie, że Kahlo nie tylko tworzyła, lecz sama była kreacją, barwnym ptakiem meksykańskiej bohemy, wyjątkowym zjawiskiem w skali świata.

Nie sposób jednak pominąć wątku zaangażowania politycznego Fridy, która była zagorzałą komunistką, przeżywającą fascynację stalinizmem (malowała m.in. portrety Stalina). W 1937 r. udostępniła swój dom bezwzględnemu bolszewikowi Lwowi Trockiemu. Trzeba również pamiętać, że rewolucja meksykańska była skrajnie antykatolickim ruchem, którego celem było zniszczenie chrześcijaństwa. Trumna Kahlo została owinięta we flagę z sierpem i młotem, a na pogrzebie odegrano „Międzynarodówkę".

Uwikłania intelektualistów i artystów w system komunistyczny były w XX w. powszechne. Być może część z nich ignorowała zło tej zbrodniczej machiny, łudząc się osiągnięciem ostatecznego celu, którym miała być idea humanizmu usprawiedliwiająca brutalność rewolucji oraz stawiająca dobro człowieka jako najwyższą wartość. Nie można jednak nigdy zapomnieć, że stworzona przez Marksa i Engelsa utopijna ideologia materializmu dialektycznego, uzupełniona przez bolszewicką doktrynę Lenina, uśmierciła więcej ludzi niż wszystkie wojny, które toczyły się od początków cywilizacji do końca XIX stulecia. Według Aleksandra Sołżenicyna w latach 1917–1956 Sowieci zabili 60 mln swoich obywateli. Opublikowana w latach 90. „Czarna księga komunizmu" wskazuje 94 mln pomordowanych.

Politycznie zaangażowana postawa Kahlo nie była odosobniona. Być może artystka nie była w stanie przewidzieć potwornych konsekwencji swoich ideowych wyborów, ale nie można jej usprawiedliwiać i trudno ją zrozumieć.

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

KRZYSZTOFA WOLFA

legendarnego działacza NSZZ „Solidarność" Huty Warszawa.
Po delegalizacji Związku aktywnego uczestnika podziemnego Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu Solidarności.
Współtwórcy warszawskich struktur Solidarności Walczącej.

Po wprowadzeniu stanu wojennego zajmował się drukiem konspiracyjnych czasopism. Wielokrotnie zatrzymywany i szykanowany za kolportaż ulotek i wydawnictw podziemnych.

Uhonorowany Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Solidarności Walczącej oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

Odszedł człowiek wielkiej odwagi, współtwórca naszej niepodległości, całym sercem oddany Polsce.

Cześć Jego pamięci!

Rodzinie i Bliskim składam wyrazy głębokiego współczucia

Mateusz Morawiecki
Prezes Rady Ministrów

Reklama | 6/0823/F

eprasa.pl 7f2490a7a5

Fałszywa gra

Samuel Pereira

Jeśli demokracja to prawo do głosu i uczestniczenia w życiu publicznym oraz wybory, to konieczna do ich podejmowania jest informacja. Dopiero gdy wiemy, co mamy do wyboru, to ten wybór staje się naprawdę nasz, a ta wiedza w przypadku spraw publicznych opiera się na informacji właśnie.

Podstawowym narzędziem zdobycia niezbędnej do świadomego uczestniczenia w wyborach wiedzy są programy wyborcze, ale przecież doskonale wiemy, że nie tylko to kieruje wyborcami przy urnach. Emocje to rzecz ważna również w polityce, ale nie mogą one górować nad racjonalną oceną rzeczywistości i tego, co politycy mówią, robią czy czego nie robią. Ważne w tej rozgrywce są też zasady, a podstawową z nich jest gra w otwarte karty. I to samemu, a nie z pomocą „starszego brata".

Tę ostatnią taktykę od lat stosuje obóz opozycyjny, uznając za coś nie tylko uprawnionego, lecz wręcz wskazanego, żeby szukać wsparcia za granicą. W tym zakleszczeniu w walce nie widzi jednego: to wyraz słabości. I jest on przez obywateli zauważany. Tu nie chodzi o kwestie moralne ani nawet kategorię zdrady, która może być najodpowiedniejszym słowem do opisania tego zjawiska. Po prostu w sytuacji, gdy wyborca ma do wyboru jedną opcję polityczną, która go przekonuje, albo drugą, która zamiast argumentów stosuje groźby – to ma pełne prawo czuć się niesprawiedliwie traktowany przez tę drugą. Do tego dochodzi aspekt historyczny i geopolityczny na tyle wyjątkowy, że niechęć do współczesnej targowicy tylko wzrasta.

Dla obozu władzy to sytuacja optymalna, bo linia podziału jest jasno wytyczona i prosta do opisania, ale dla państwa jako całości – niebezpieczna, bo zawsze będzie część obywateli uznająca, że to sytuacja naturalna. Będą tak myśleć, nawet widząc, że czegoś takiego nie ma nigdzie indziej w Europie Zachodniej, do której przecież tak bardzo aspirują. Pocieszeniem jest tu tylko czas, bo każde złe przyzwyczajenie prędzej czy później przemija, a przy każdych kolejnych przegranych wyborach rośnie szansa na opamiętanie. I tej optymistycznej myśli się trzymajmy.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Górale z różnych stron świata

Z Hanną Rybką, wokalistką z Podhala, dyrektor artystyczną 54. Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Andrzej Wiktor

Śpiewanie to pani życie?

Hanna Rybka: Odkąd pamiętam, muzyka rozbrzmiewała w moim rodzinnym domu. Potem były: szkoła muzyczna i skrzypce, szkoła ekonomiczna, Akademia Muzyczna w Katowicach. I tak do dziś żyję w świecie muzyki; w świecie piękna.

Związanym z góralską tradycją?

Przekazali nam ją dziadkowie i choć znaliśmy też szerszy repertuar, to góralskie brzmienia najmocniej grały i wciąż grają w mojej duszy, bo pochodzę ze Skalnego Podhala. Wychowałam się na tej ziemi i na jej muzyce.

Promuje ją pani także festiwalowo?

Zaszczytem jest dla mnie pełnienie funkcji dyrektora artystycznego jednego z najważniejszych i najbardziej prestiżowych kulturalnych wydarzeń, jakie odbywają się w Zakopanem. W tym roku szykujemy się do 54. edycji Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich. Dbamy o to, by zapraszane zespoły prezentowały kulturę górali z całego świata w wersji jak najbardziej autentycznej, najbliżej korzeni.

Poza grupami z Polski będziemy mieć gości m.in. z Gruzji, Bułgarii, Chorwacji, Macedonii, Węgier, Włoch, Turcji, Bośni i Hercegowiny oraz Meksyku. Od 18 do 24 sierpnia zapraszamy na moc wydarzeń – nie tylko artystycznych (koncertów, warsztatów, wystaw w plenerze i tych w zakopiańskich galeriach, muzeach oraz pracowniach artystów). Będzie można też poznać mistrzów w powożeniu i zobaczyć góralski orszak weselny. Szczegóły na: www.festiwale.zakopane.pl.

Czytaj też na str. 84.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Rysują ***Mr Donk & dr Fish***

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaIna

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR x2, W. WRZESIEŃ, LESTUDIO/SHUTTERSTOCK

pracownia **Social Changes** dla wPolityce.pl

nasz sondaż

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

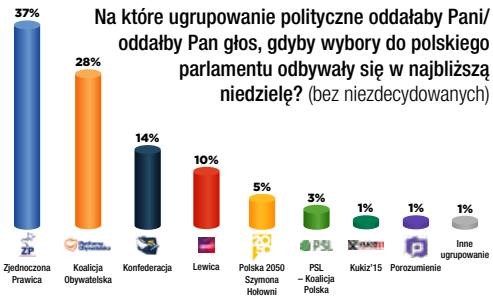

Z którym stwierdzaniem na temat aborcji Pani/Pan zgadza się bardziej?

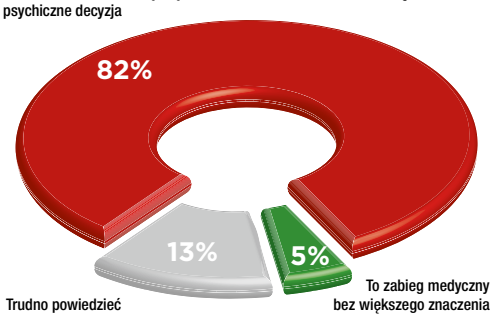

Z którym stwierdzaniem na temat Ukraińców w Polsce Pani/Pan zgadza się najbardziej?

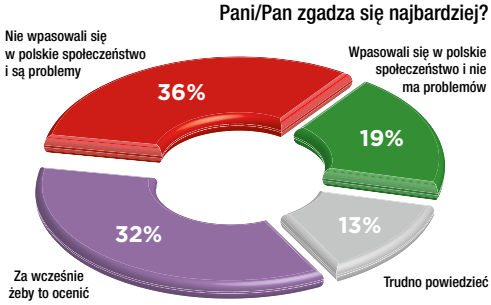

Czy według Pani/Pana tzw. Grupa Wagnera, która niedawno zaczęła prowadzenie działań na terytorium Białorusi, stanowi zagrożenie dla Polski?

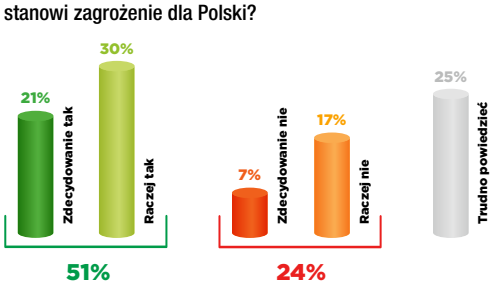

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1073.

Zakres czasowy badania 4–7 sierpnia 2023 r.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Jeżeli pilnować wyborów, to przed opozycją

Dlaczego powrót do władzy Donalda Tuska oznaczałby likwidację całych gałęzi państwa; o niedopuszczalnej ingerencji z zagranicy w polskie wybory; o naszych oczekiwaniach wobec Ukraińców; a także o planowanej reformie dowodzenia siłami zbrojnymi mówi prezydent **Andrzej Duda** w rozmowie z Markiem Pyzą i Marcinem Wikłą

Panie prezydencie, rozmawiamy dosłownie kilkanaście minut po ogłoszeniu przez pana terminu wyborów parlamentarnych. Startuje tym samym kampania wyborcza. Jakiego jej przebiegu pan by sobie życzył?

Andrzej Duda: Przede wszystkim chciałbym merytorycznej kampanii na programy, abyśmy uniknęli bezpodstawnych, niepotrzebnych oskarżeń, nie mówiąc oczywiście o wzniecaniu nienawiści, z czym niestety miewamy do czynienia. Nie życzyłbym sobie także, by w polskie wybory wtrącały się jakiekolwiek osoby z zagranicy. Chciałbym, aby ta nasza, wewnętrzna, polska sprawa, jaką są wybory, została załatwiona zgodnie z zasadami kultury politycznej, dobrego obyczaju i rozmowy o pomysłach, ale też o osiągnięciach. O rzeczywistych zasługach dla Polski.

Czy dobrze z pana słów odczytujemy, że kończąca się właśnie prekampania taka nie była?

Tak, mówię bowiem o rozgrzewającej się przez ostatnie miesiące scenie politycznej i różnych zjawiskach, które ostatnio obserwowaliśmy. Mam nadzieję, że w kampanii będzie więcej zdrowego rozsądku, refleksji i rzetelności – w słowach i w działaniach.

A dlaczego emocje zostały w tej prekampanii rozkręcone tak mocno, że czasem wymykały się spod kontroli?

Po części dlatego, że niektórzy uważają, iż należy właśnie grać na emocjach. Nie mają zahamowań. Nie patrzą, czy to będą pozytywne emocje, czy te złe, byle wywołać skok napięcia. Jak widać, są wciąż gotowi podjąć działania, których skutki trudno przewidzieć, bo nie będą przebierali ani w słowach, ani w czynach.

Ale kampania zawsze wywołuje emocje, one są nieodłącznym elementem tego czasu. Może nie należy od nich uciekać?

Ależ ja wcale do tego nie zachęcam, chodzi mi tylko o to, że merytoryczna dyskusja o programach również może oznaczać żywiołową wymianę zdań i podniesioną temperaturę. Powinniśmy się spierać o to, jak w Polsce powinno być, co jest dla naszej ojczyzny dobre, jak powinniśmy działać, by ona się rozwijała, i jak mamy umacniać naszą pozycję na arenie międzynarodowej. Wówczas emocje mają wymiar pozytywny.

Słychać głosy, że tegoroczna kampania jest najbardziej brutalna z dotychczasowych. Czy pan także tak to widzi?

Kampania dopiero się zaczyna, dajmy jej szansę. I dajmy szansę jej uczestnikom na to, aby nie uczynili jej brutalną. Uparcie wracam do tego, że ważne są programy, bo z nich można później polityków rozliczać. Z obelg i ubliżania sobie nawzajem – nie.

Czy 15 października wszystko sprowadzi się do starcia Polski Tuska z Polską Kaczyńskiego?

Pytanie jest nieco podchwytliwe, bo idąc tym tokiem, wykluczalibyśmy z dyskusji innych startujących. Dajmy szansę wszystkim, by zaistnieli w tym wyborczym wyścigu.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

Co zdecyduje, że wyborca postawi krzyżyk przy tym, a nie innym, nazwisku kandydata z konkretnej partii?

Mam przekonanie, że zdecydują mądrość i zdrowy rozsądek Polaków. Znamy dzieje swojej ojczyzny, szczególnie z ostatnich 30 lat. Wiemy, czego doświadczyliśmy za jednych rządów; wiemy, co dały nam inne rządy, umiemy porównywać.

Jest pan pewien, że pamiętamy, co działo się dekadę temu? Że Polacy nie dadzą się nabrać na kłamliwe opowieści?

Polacy są mądrzy. Pamiętajcie panowie, że ja sam brałem udział w kampanii w 2015 r., w której nie dawano mi prawie żadnych szans. Padły słynne już słowa o zakonnicy, którą na pasach musiałby przejechać ówczesny prezydent, by ze mną przegrać. A okazało się, że moi rodacy zdecydowali jednak o moim zwycięstwie. I to nie raz, w sumie były to cztery głosowania, dwa razy po dwie tury. Kluczem było prowadzenie poważnej kampanii, nieunikanie trudnych czasem debat i podejmowanie poważnych zobowiązań. Jestem przekonany, że Polacy pamiętają, jak wiele z nich – szczególnie ze strefy społecznej – zostało zrealizowanych wspólnie z rządem Zjednoczonej Prawicy.

A czego Polacy chcą dzisiaj? Myśli pan, że politycy to wiedzą?

Myślę, że Polacy przede wszystkim chcą porządnej Polski. Chcą żyć w kraju, który się rozwija, który im daje szanse, w którym są bezpieczni. Myślę tu o aspekcie militarnym, który dziś wybija się na pierwsze miejsce. Abyśmy mieli silną i liczną armię, żebyśmy byli stabilną częścią Sojuszu Północnoatlantyckiego i mieli mocne zobowiązania wynikające nie tylko z traktatów, lecz także z faktycznej obecności wojsk sojuszniczych na naszej ziemi. Bezpieczeństwo ekonomiczne i socjalne to również ważny element, chcemy mieć możliwość godnego życia na dobrym poziomie. Aby je zapewnić, politycy powinni dbać o miejsca pracy dla Polaków. W przeważającej części dziełem rozwijających się polskich przedsiębiorców jest tworzenie nowych miejsc pracy. To wszystko są części, które po złożeniu w całość dadzą nam sprawne i dobrze funkcjonujące państwo. Tego chcą Polacy.

Sztab wyborczy Zjednoczonej Prawicy zdecydował, że o kontynuacji swoich rządów będzie opowiadał w bardzo dosadny sposób. Ma być adekwatna reakcja na brudne zagrania opozycji i nazywanie rzeczy po imieniu. W ubiegłym tygodniu wicepremier Jarosław Kaczyński w „Sieci" mówił: „Tusk został wybrany do wykonywania brudnych zadań przez swoich sponsorów, ponieważ jest sprawdzonym w praktyce – powiem to wprost – zdrajcą i można mu zaufać, że znów wyprzeda Polskę bez żadnych wyrzutów sumienia". Czy taka kampania na ostro to dobry sposób, by trafić do wyborców?

Oczywiste jest to, że w aktywności politycznej, a szczególnie w kampanii wyborczej, należy rozliczać konkurentów z działań lub ich braku. W latach 2007–2014 byłem m.in. posłem, zarówno w polskim Sejmie, jak i w Parlamencie Europejskim, nie tylko więc z bliska obserwowałem życie polityczne, lecz także w nim uczestniczyłem. Pamiętam te burzliwe debaty, pamiętam decyzje, które były podejmowane przez ówczesny rząd Donalda Tuska, a potem Ewy Kopacz. Nie zgadzałem się z tym, jak traktowano wtedy Polaków. Niejednokrotnie występowałem w Sejmie, protestując choćby ws. oszustwa Amber Gold, do jakiego wtedy dopuszczono, przeciwko likwidacji polskich stoczni czy innych gałęzi polskiego przemysłu. Protestowałem i wspierałem działania blokujące możliwość sprzedaży elementów przemysłu chemicznego. Broniliśmy wtedy polskich firm przed sprzedażą m.in. podmiotom rosyjskim.

Ta kampania jest bardzo ważna, bo w istocie sprowadza się do pytania, jaka polityka będzie realizowana w Polsce przez kolejne lata. Czy będziemy mieli do czynienia z kontynuacją umacniania państwa w wielu obszarach, którą ja także realizowałem przez ostatnie osiem lat? A może będzie to polityka inna, która sprowadza się do myślenia na zasadzie „po co nam lotnisko, skoro jest lotnisko w Berlinie"?

To może wrócić, gdy wygrają przeciwnicy Zjednoczonej Prawicy?

Jeżeli weźmiemy pod uwagę dotychczasową działalność Donalda Tuska i jego ugrupowania, to myślę, że takie obawy są zasadne.

Czyli powinna to być poważna kampania o poważnych sprawach?

Ta kampania jest bardzo ważna, bo w istocie sprowadza się do pytania, jaka polityka będzie realizowana w Polsce przez kolejne lata. Czy będziemy mieli do czynienia z kontynuacją i tym trendem umacniania państwa w wielu obszarach, który ja także realizowałem przez ostatnie osiem lat? A może będzie to polityka inna, która sprowadza się do myślenia na zasadzie „po co nam lotnisko, skoro jest lotnisko w Berlinie"?

My z kolei wracamy do wizji Polski Tuska, który – chyba licząc na naprawdę krótką pamięć Polaków – opowiada niestworzone rzeczy:

eprasa.pl 7f2490a7a5

że Caracale to świetne śmigłowce, które by nam pomogły strącać białoruskich intruzów, albo o pieniądzach z OFE, że on je w zasadzie uratował. Jak tak można?

Jest taka książka „Nowe kłamstwa w miejsce starych" Anatolija Golicyna, majora KGB, który zbiegł na Zachód. To opowieść o sowieckiej strategii dezinformacji, która polega m.in. właśnie na odwracaniu faktów o 180 stopni i nadawaniu im nowego znaczenia.

Co będzie, jeśli Tusk wygra wybory? W kontekście współpracy z głową państwa on sam mówi, że „panu prezydentowi zmięknie rura"...

Pozwolą panowie, że nie będziemy schodzili na ten poziom dyskusji. Jako Prezydent Rzeczypospolitej zajmuję się poważnymi sprawami, w tym przede wszystkim bezpieczeństwem moich rodaków. Jak Polacy to oceniają, pokazały wybory w 2020 r., w których zagłosowało na mnie prawie 10,5 mln osób. A odpowiadając panu Tuskowi, chciałbym mu przypomnieć, że kampanię najpierw trzeba wygrać. Miał okazję w ostatnich wyborach prezydenckich, ale z jakichś powodów nawet nie spróbował.

Manfred Weber, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej, a więc w skali europejskiej przełożony Donalda Tuska, w telewizji ZDF mówi otwarcie, że dla niego PiS w Polsce jest wrogiem, który będzie przez EPL zwalczany. Jak pan odbiera takie słowa niemieckiego polityka na starcie kampanii wyborczej w naszym kraju?

To jest tak szokujące, że aż zapiera dech w piersiach. Jak ktoś z zagranicy może ośmielać się tak otwarcie ingerować w proces wyborczy w Polsce, w decyzje, które podejmują Polacy? Ale z drugiej strony przyjmuję to z pewnym uśmiechem, bo znam naturę Polaków i wiem, jak jesteśmy przekorni.

Opozycja szykuje wielką akcję pilnowania wyborów. Sugeruje, że coś niedobrego może się wydarzyć, a niektórzy nawet domagają się misji obserwacyjnej OBWE w Polsce. Czy ma pan jakieś obawy o uczciwość tych wyborów?

Gdy słucham tego, co ostatnimi czasy mówią politycy obecnej opozycji, a zwłaszcza jeden z nich, to myślę, że może dobrze, by ta misja była. Ponieważ twierdzenie, że wybory sprzed lat – wobec których nie było żadnych wątpliwości, a ich wynik został ogłoszony przez PKW i zatwierdzony przez Sąd Najwyższy – były sfałszowane, jest być może przygotowaniem do podważenia wyniku wyborów, które przed nami.

To jest tak szokujące, że aż zapiera dech w piersiach. Jak ktoś z zagranicy [Manfred Weber, przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej] może ośmielać się tak otwarcie ingerować w proces wyborczy w Polsce, w decyzje, które podejmują Polacy? Ale z drugiej strony przyjmuję to z pewnym uśmiechem, bo znam naturę Polaków i wiem, jak jesteśmy przekorni

Mówi pan o Donaldzie Tusku, dla którego „moralnym zwycięzcą" wyborów prezydenckich z 2020 r. jest Rafał Trzaskowski – jak usłyszeliśmy podczas jednego z wieców.

Jeśli misja OBWE pojawiłaby się w Polsce, to o wiele trudniejsze byłoby dokonywanie takich manipulacji. Bo czym innym, jeśli nie manipulacją, jest podważanie przez obecną opozycję wyników wyborów po kilku latach? Teraz nagle składają jakieś protesty?

To kolejny kampanijny trik?

Tak, to próba przygotowania polskiego społeczeństwa na to, że jeśli oni przegrają, to będą twierdzili, iż wybory zostały sfałszowane. Może więc paradoksalnie ta misja spowodowałaby, że nie uda im się zmanipulować opinii o polskich wyborach. To są dwie różne rzeczy: realny wynik i komunikat, który oni będą chcieli wysłać w świat. Znakomicie wiemy, że co innego się w Polsce dzieje, a co innego się mówi za granicą. Właśnie ci ludzie – obecna opozycja – biorą w tym udział. To oni oczerniają Polskę, chociażby w Parlamencie Europejskim. Ta polityczna gra jest bezwzględna, strona liberalno-lewicowa przez dekady umacniała swój stan posiadania w różnych instytucjach europejskich, z sądownictwem włącznie, i teraz mamy tego efekty.

Czy zorganizowanie wraz z wyborami referendum ws. nielegalnych migrantów jest dobrym pomysłem? Urzędnicy z Brukseli co prawda wzbraniają się przed zapisaniem tego w dokumentach, ale ustnie zapewniają nas, że przyjęcie Ukraińców zwolni nas z obowiązku udziału w relokacji lub z karnej opłaty za nieprzyjęcie imigrantów. Mamy w to wierzyć?

A ja bym wolał, żebyśmy mieli twardą wypowiedź polskiego społeczeństwa, podjętą demokratycznie w bezpośrednim głosowaniu, jakim jest referendum. Wyrażona w ten sposób wola Polaków jest swego rodzaju legitymacją dla rządzących, którzy mogą powiedzieć, że tę wolę realizują i koniec, jest po dyskusji. Już kilka lat temu, gdy po raz pierwszy pojawił się w Unii Europejskiej problem siłowej relokacji imigrantów, mówiłem, że Polacy powinni się na ten temat wypowiedzieć. Ja jako prezydent i polski rząd zawsze staliśmy na stanowisku, że możemy się zastanawiać nad przyjęciem

eprasa.pl 7f2490a7a5

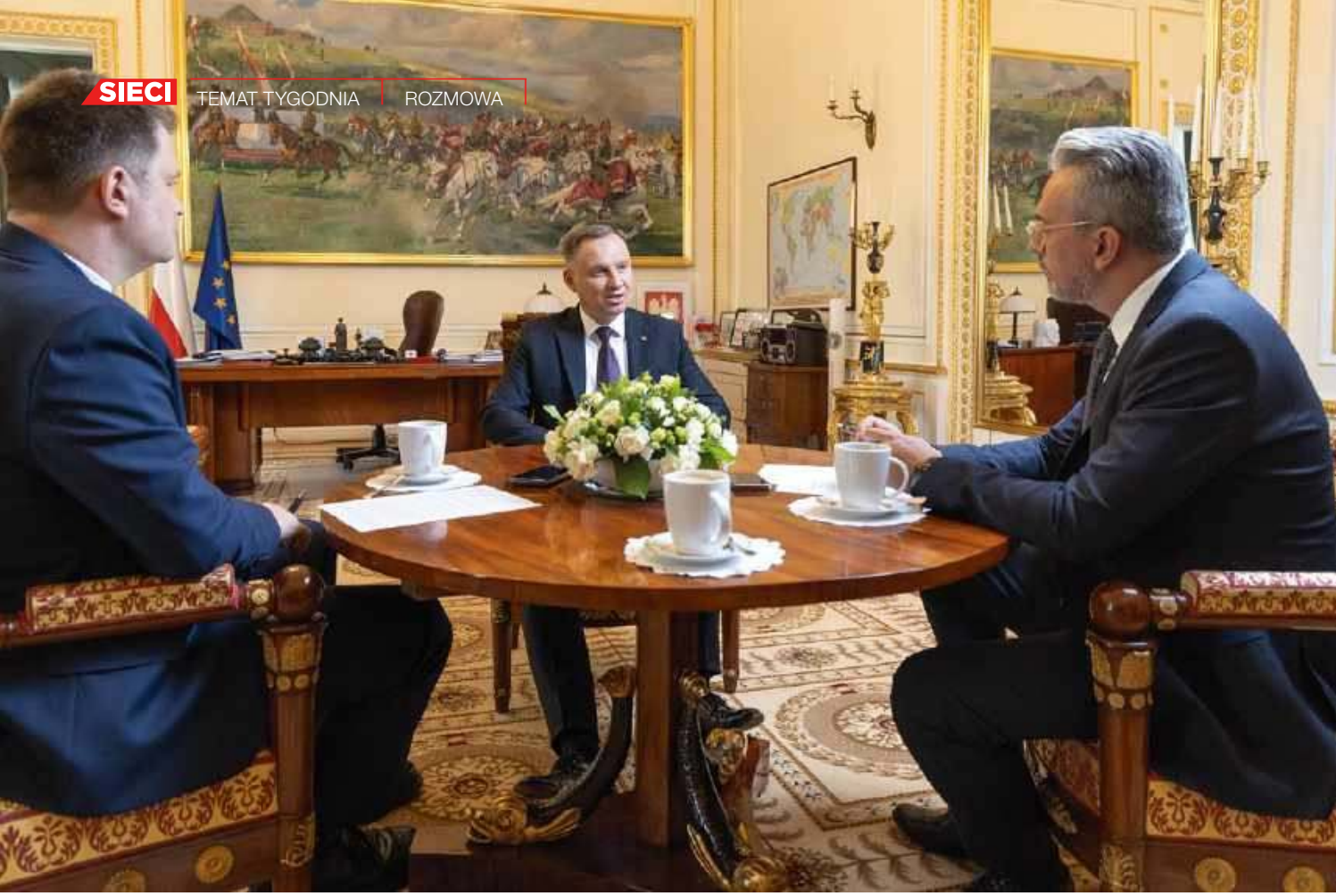

kogokolwiek, pod warunkiem że on będzie chciał przyjechać do Polski. Pytałem wówczas światowych przywódców, na jakich zasadach ma się odbyć ta siłowa relokacja. Jak my, będąc częścią Unii Europejskiej i mając otwarte granice, mamy ich tutaj zatrzymać? Mamy zamknąć ich za kolczastym drutem? Proszę zwrócić uwagę, że gdy przy naszej granicy stanęły setki tysięcy uchodźców wojennych z Ukrainy, nikt nawet przez chwilę się nie zawahał, czy ich przyjąć. Sytuacja ich do tego zmusiła, bo wybuchła wojna, ale oni samodzielnie wybrali Polskę jako miejsce ucieczki. Wiedzieli, że Polacy są narodem o otwartych sercach.

> Twierdzenie [opozycji], że wybory sprzed lat – wobec których nie było żadnych wątpliwości, a ich wynik został ogłoszony przez PKW i zatwierdzony przez Sąd Najwyższy – były sfałszowane, jest być może przygotowaniem do podważenia wyniku wyborów, które przed nami

Jaką rolę widzi pan dla siebie w czasie kampanii, gdy polityka i rzeczywistość wokół są tak rozchwiane?

Bardzo ściśle określoną rolę Polacy powierzyli mi, wybierając mnie na urząd prezydenta, kadencja potrwa jeszcze dwa lata. Mam zamiar konsekwentnie swoje zadania wykonywać. Rolą prezydenta jest przede wszystkim zachęcanie do udziału w wyborach, by Polacy brali odpowiedzialność za ojczyznę w swoje ręce. Ogromnie zależy mi na frekwencji, bo to jest podstawa siły dokonanego demokratycznego wyboru. Jeżeli władza jest wybrana przez znaczny procent uprawnionych do głosowania, to ma o wiele mocniejszą legitymację do podejmowania decyzji w imieniu społeczeństwa, czyli do sprawowania rządów.

Nieodłącznym elementem kampanii wyborczej są sondaże, które od dłuższego czasu są dosyć łaskawe dla Konfederacji. Skąd taka popularność osób, które niekiedy nawet nie ukrywają, że politykę traktują jak żart?

Przede wszystkim prawdziwy sondaż to są głosy wrzucone do urny wyborczej, a później policzone przez komisję. Wszystko, co się dzieje do tego momentu, powinno być traktowane z lekkim dystansem. Natomiast ugrupowania protestu zawsze cieszyły się w Polsce uznaniem pewnej części wyborców i teraz też tak jest.

Jak odbiera pan zapowiedzi polityków tej formacji, według których nie wejdą w koalicję z żadnym du-

eprasa.pl 7f2490a7a5

żym blokiem, lecz będą grać na rząd mniejszościowy, de facto na chaos w państwie, a w efekcie na przyspieszone wybory?

Nie jest dobrą sytuacją dla kraju, za którego granicą w tej chwili toczy się wojna, jeżeli nie ma stabilnej większości parlamentarnej i stabilnego rządu. Taki paraliż i niemożność sprawowania władzy rzeczywiście może skutkować kolejnymi wyborami, a to nie jest bezpieczne dla państwa. To je osłabia. Byłoby bardzo źle, gdyby tak się stało. Zwłaszcza w obliczu tego, co się dzieje na Wschodzie.

Spójrzmy zatem za naszą wschodnią granicę. Na Białorusi znajduje się kilka tysięcy wagnerowców. Powinniśmy się ich bać?

Z całą pewnością trzeba mieć na nich baczenie i zachowywać zdrowy rozsądek.

Co ma pan na myśli?

Nie wolno lekceważyć tych ludzi, ale nie wolno też podejmować pochopnych decyzji. Nie działać emocjonalnie, impulsywnie, lecz racjonalnie. Współdziałać z sojusznikami, strzec granicy, wzmacniać bezpieczeństwo Polski.

Wiemy, co tam się dzieje, kto jest w tej grupie najemników Putina?

Pamiętajmy, że to jest kilka tysięcy ludzi. Oczywiście w skrajnej sytuacji możemy się spodziewać z tamtej strony różnego rodzaju prowokacji. Zresztą już z wieloma mamy do czynienia. Ale zachowamy spokój, zdrowy rozsądek i głębokie wyrachowanie. Tak działamy od samego początku rosyjskiej agresji na Ukrainę i do tej pory nas to nie zawiodło.

Czy zatem rząd nie przesadza z przykładaniem wagi do Grupy Wagnera? Mamy sporo komunikatów w tej sprawie, skupianie uwagi opinii publicznej. Może wrogowi na tym właśnie zależy? Oni się karmią strachem.

Ostrożności nigdy za wiele. Sam ten temat podejmowałem niedawno na szczycie NATO w Wilnie. Mówiłem naszym sojusznikom: pamiętajcie, że spodziewamy się w najbliższym czasie przybycia na Białoruś już zapowiedzianych wagnerowców oraz rozmieszczenia tam rosyjskiej taktycznej broni nuklearnej. To realne działania zapowiedziane przez Putina, które wymagają realnej odpowiedzi w postaci wzmacniania potencjału bezpieczeństwa wschodniej flanki Sojuszu.

> Domagamy się możliwości prowadzenia prac poszukiwawczych. Aby można było zidentyfikować szczątki i je godnie pochować, a bliscy mogli zapalić znicz na rodzinnym grobie i się pomodlić. Od początku swojej prezydentury o to się staram. I tak to, co w tej sprawie udaje się uzyskać ze strony prezydenta Zełenskiego – także choćby przez jego obecność ostatnio w Łucku i oddanie hołdu ofiarom – to coś, na co wcześniej nie mogliśmy liczyć. Kiedyś, gdy składałem kwiaty na Wołyniu, byłem sam

Jakie są reakcje na takie słowa polskiego prezydenta, zwłaszcza przedstawicieli państw z cieplejszej części kontynentu?

Odpowiedzią są decyzje podejmowane w ostatnim czasie w NATO, czyli wzmacnianie polityki obrony i odstraszania oraz budowanie potencjału szybkiej odpowiedzi na ewentualną próbę agresji.

Opozycja domaga się zwołania Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Uważa pan, że to jest dobry moment, by poinformować polityków wszystkich opcji parlamentarnych, co się naprawdę dzieje za naszą granicą, czy te oficjalne komunikaty powinny wystarczyć?

Prezydent zwołuje Radę Bezpieczeństwa Narodowego wtedy, kiedy potrzebuje konsultacji, bo zgodnie z Konstytucją RBN jest ciałem doradczym prezydenta. Nie widzę w tej chwili potrzeby konsultacji z przedstawicielami sceny politycznej. Odbyłem takową po szczycie NATO, zrelacjonowałem, o czym dyskutowano, również w kuluarach, i wysłuchałem oceny. Problem wagnerowców na Białorusi też wówczas przedyskutowaliśmy.

Mówił pan o tej mądrej polityce w obliczu wojny. Tymczasem były minister spraw zagranicznych w rządzie Zjednoczonej Prawicy Jacek Czaputowicz mówi o polityce hien, szakali, szmalcownictwa wobec Ukraińców.

To była zadziwiająca wypowiedź. Może pan minister zapomniał o pewnych faktach z czasów, gdy sam był ministrem i znał procesy polityczne toczące się od wielu lat.

Premier zapowiedział, że – nawet wbrew decyzji KE – nie zgodzimy się na zniesienie blokady na przywóz ukraińskiego zboża do Polski po 15 września. Jest jakieś pęknięcie w naszych stosunkach z Kijowem?

Nie ma żadnego pęknięcia. Proszę rozróżnić dwie kwestie. Jest oczywiste, że konsekwentnie wspieramy Ukrainę w obronie przed rosyjską agresją. Czytałem np. analizy na temat naszych Rosomaków, które walczą na froncie prowadzone rękami ukraińskich żołnierzy. Skąd one się tam wzięły? To efekt decyzji ostatnio

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

podejmowanych przez polskie władze. Ale drugą sprawą jest – i to nasz najważniejszy obowiązek – pilnowanie interesów Rzeczypospolitej. A zatem obrona rynku wewnętrznego oraz rynku Unii Europejskiej, który się zaczyna u nas. W naszym interesie jest również uznanie prawdy historycznej w przestrzeni między państwami.

A na ile ta wypowiedź Marcina Przydacza, szefa pańskiego Biura Polityki Międzynarodowej, o braku docenienia przez Kijów polskiej pomocy, była stanowiskiem ministra, a na ile Pałacu Prezydenckiego, czyli pana?

Panu ministrowi nie chodziło o to, by nasi przyjaciele z Ukrainy codziennie mówili w mediach: „dziękuję, dziękuję, dziękuję". My to bardzo często słyszymy od zwykłych ludzi i ogromnie to doceniamy. Ale ze strony władz Ukrainy oczekujemy zrozumienia w pewnych kwestiach – także tego, że mamy swoje interesy i zobowiązania.

Jest to zrozumienie?

Bywa różnie. Pamiętajmy, że oni są w szczególnej sytuacji. Dlatego czasem trzeba im powiedzieć: rozumiemy, że walczycie, ale pamiętajcie, że my też obok żyjemy i też mamy swoje zobowiązania wobec polskiego społeczeństwa.

Czyli komuś w Kijowie puściły nerwy w chwili słabości?

Są różne gry interesów. Na Ukrainie też toczy się polityka, też jest wewnątrzpolityczna konkurencja. Nie zawsze wszystko widzimy.

I w tym kontekście interpretuje pan ostatnią wypowiedź doradcy prezydenta Zełenskiego Mychajła Podolaka, który zapowiedział, że do końca wojny będziemy się blisko przyjaźnić, a po wojnie zacznie się między nami konkurencja?

A czy mają panowie jakieś wątpliwości, że tak będzie? Ja ich nie mam i nigdy nie miałem. Każdy, kto ma pojęcie o polityce, zdaje sobie sprawę z tego, że konkurencja pomiędzy nawet najbardziej ze sobą zaprzyjaźnionymi państwami jest standardowym elementem. Kto będzie pierwszy w jakiejś organizacji, kto będzie miał gdzieś większe znaczenie, kto przyciągnie do siebie inwestora itd. Jesteśmy sąsiadami i mamy świetne relacje z wieloma partnerami, ale konkurujemy ze sobą na przykład w sprawie zagranicznych inwestycji. To normalne.

> Jesteśmy skoncentrowani przede wszystkim na bezpieczeństwie Polski, na dopilnowaniu tego, by wszystkie umowy dotyczące wzmacniania naszych sił zbrojnych zostały wypełnione. Mam też nadzieję na stworzenie nowego systemu dowodzenia naszą armią, który uwzględni wnioski z ostatnich bardzo intensywnych ćwiczeń. Będzie dostosowany do zwiększających się sił zbrojnych, zmian w NATO i nowych zagrożeń

Co pan pomyślał, gdy usłyszał, że Bartosz Cichocki – jedyny ambasador, który nie wyjechał z Kijowa po 24 lutego 2022 r. – został wezwany do ukraińskiego MSZ?

Pomyślałem, że grają niepotrzebne emocje.

Rozmawiał pan o tej sprawie z prezydentem Zełenskim?

Nie, ponieważ od razu zauważyłem, że nie kto inny, ale właśnie prezydent Zełenski starał się tę sprawę uspokoić, znakomicie ją przeczytał. Uznałem, że nie ma potrzeby, abym z Wołodymyrem teraz rozmawiał na ten temat. Omówimy to osobiście przy najbliższej okazji. Spotkanie bezpośrednie w cztery oczy to co innego niż rozmowa przez jakiekolwiek łącza.

Wróćmy do oczekiwań wobec Ukraińców. Co one oznaczają w polityce historycznej? Czego panu brakuje?

Fundamentalnym krokiem jest dla nas to, aby każda z ofiar miała swój grób. Dlatego domagamy się możliwości prowadzenia prac poszukiwawczych. Aby można było zidentyfikować szczątki i je godnie pochować, a bliscy mogli zapalić znicz na rodzinnym grobie i się pomodlić.

Mówi pan o tym od lat. Dlaczego to się nie dzieje?

Bo to jest trudny proces.

A jak długo będziemy musieli czekać, aż ten proces się dokona?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Od początku swojej prezydentury o to się staram. I tak to, co w tej sprawie udaje się uzyskać ze strony prezydenta Zełenskiego – także choćby przez jego obecność ostatnio w Łucku i oddanie hołdu ofiarom – to coś, na co wcześniej nie mogliśmy liczyć. A zabiegałem o to za każdym razem. Chciałbym, abyśmy docenili ten krok ukraińskiego prezydenta. Kiedyś, gdy składałem kwiaty na polu na Wołyniu przy pozostałościach zniszczonych polskich gospodarstw, byłem sam.

Zaczynają się rozmowy pokojowe. Polska też w nich uczestniczy. To poważne przedsięwzięcie, gdy końca wojny nie widać?

Interes Polski polega na tym, by być przy każdym stole, przy którym toczą się rozmowy na temat przyszłości Ukrainy. Ale jest to także interes Kijowa. Mamy takie, a nie inne, doświadczenia historyczne. Ponad naszymi głowami kiedyś podejmowano

eprasa.pl 7f2490a7a5

decyzje i przez dziesięciolecia z tego powodu cierpieliśmy. Doskonale to pamiętamy i jesteśmy dziś wyczuleni na to, by inni nie zostali oszukani.

W odbudowie Ukrainy też będziemy mieli udział?

Nie da się odbudować Ukrainy bez nas. To my mamy autostradę na Ukrainę, najbliższe lotnisko międzynarodowe, przez nasze terytorium biegną tory kolejowe, którymi dostarczana jest pomoc. Pytanie tylko, jak wielki będzie nasz udział. Mamy dobre doświadczenia choćby ostatnich lat, kiedy tempo budowy dróg w Polsce robi wrażenie na wszystkich, którzy do nas przyjeżdżają. O naszej infrastrukturze słyszymy teraz same superlatywy. Zdrowy rozsądek podpowiada, aby z tego doświadczenia korzystać.

Nie ma pan wrażenia, że nie wszystkim państwom zależy na tym, aby zakończyć tę wojnę jak najszybciej? Ukraina dostaje po kilkanaście czołgów, a potencjał np. Stanów Zjednoczonych jest o wiele większy, dysponują tysiącami takich maszyn.

Proszę o to pytać w Waszyngtonie.

My daliśmy tyle, ile możemy?

Naprawdę bardzo dużo. Przekazaliśmy ponad 300 czołgów, a nie jesteśmy mocarstwem. Niektórym krajom nawet się nie śniło, że mogłyby dysponować taką ilością uzbrojenia. To były poważne decyzje i cieszymy się, że dziś przyjeżdżają do nas czołgi nowej generacji: Abramsy z USA czy K2 z Korei Południowej.

Za nami 6 sierpnia, czyli zamknięcie ósmego roku pana prezydentury. Co jest priorytetem w pańskim planie na ostatnie dwa lata kadencji?

Sądzę, że wyraźnie widać, na czym jesteśmy skoncentrowani. Przede wszystkim to bezpieczeństwo Polski, a więc dopilnowanie tego, by zostały wypełnione wszystkie umowy dotyczące wzmacniania naszych sił zbrojnych. Mam też nadzieję na stworzenie nowego systemu dowodzenia naszą armią, który uwzględni wnioski z ostatnich bardzo intensywnych ćwiczeń. Nigdy po '89 roku nie prowadzono ich na taką skalę. Ale też będzie dostosowany do zwiększających się sił zbrojnych, zmian w NATO i nowych zagrożeń. Wiemy, co wymaga poprawek, gdzie należy usprawnić procesy decyzyjne itd. Jeśli chodzi o bezpieczeństwo energetyczne, to na pewno budowa elektrowni atomowych, kolejnego gazoportu – tym razem pływającego w Gdańsku, ale też rozwój portów w Szczecinie–Świnoujściu i Gdyni. Bardzo liczę na to, że w tych dwóch latach postąpi sprawa budowy czwartego portu RP w Elblągu. Przekopaliśmy Mierzeję Wiślaną po to, by go udrożnić i rozwijać. Dziś można się tylko z politowaniem uśmiechnąć nad wszystkimi, którzy szydzili z tej inwestycji. Bardzo jestem ciekawy, w jaki sposób nasze jednostki morskie dostawałyby się na Zalew Wiślany, gdyby nie ten przekop. Dziś przecież pracuje tam nasza Straż Graniczna, są tam nasze poduszkowce, łodzie, jednostki wojskowe. Jak miałoby to dziś funkcjonować bez tego kanału?

> Nie da się odbudować Ukrainy bez nas. To my mamy autostradę na Ukrainę, najbliższe lotnisko międzynarodowe, przez nasze terytorium biegną tory kolejowe, którymi dostarczana jest pomoc. Pytanie tylko, jak wielki będzie nasz udział

Co poza bezpieczeństwem?

Mam nadzieję, że budowa dróg będzie się toczyła tak jak w tej chwili. To idzie niezwykle sprawnie i budzi podziw. Jesteśmy nawet proszeni przez sąsiadów o podpowiedzi w zakresie realizacji procesów infrastrukturalnych. Patrząc w daleką przyszłość Polski, jest fundamentalnie ważna budowa Centralnego Portu Komunikacyjnego. Państwo o powierzchni 312 tys. km^2, które jest przyczółkiem Zachodu w kierunku wschodnim, początkiem wspólnoty europejskiej, powinno mieć u siebie takie wielkie międzynarodowe lotnisko przesiadkowo-przeładunkowe. Możemy stać się centrum logistycznym, są tym zainteresowani partnerzy m.in. z Azji, w tym Koreańczycy, którzy dalej chcą u nas inwestować i uczestniczą w budowie CPK.

A w odniesieniu do codziennego życia Polaków? Inflacja co prawda spada, ale wysokie ceny już z nami zostaną.

Czasy są trudne, dlatego cieszę się, że sytuacja rodzin wychowujących dzieci jest dobrze rozumiana przez rząd, że zdecydowano się na ogromną podwyżkę świadczenia 500+ do 800 zł, a więc o ponad 60 proc. To z całą pewnością konsumuje inflację od 2016 r. Jest to więc nie tylko wyrównanie straty inflacyjnej, lecz realna podwyżka. Oprócz tego musimy cały czas stymulować rozwój. Tu sytuacja wygląda dobrze, chociażby na tle Europy Zachodniej. I tę realizację polskiego interesu trzeba kontynuować. Na szczęście mamy władze, które działają propaństwowo i prorodzinnie.

Widzi pan już kandydata na swojego następcę?

Na pewno znam takie osoby, które w moim najgłębszym przekonaniu umiałyby dbać o interesy Polski tak, jak powinien to robić prezydent Rzeczypospolitej. Z drugiej strony proszę też pamiętać, że gdyby w 2013 r. ktoś panom powiedział, że Andrzej Duda będzie kandydatem w najbliższych wyborach prezydenckich i je wygra, to myślę, że byliby panowie zaskoczeni. Mój osobisty przykład nakazuje, by być ostrożnym wobec wszelkich spekulacji na dwa lata przed wyborami prezydenckimi.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Kłopot z Konfederacją

Od wyborów w 2019 r. Konfederacja zyskała 10 punktów procentowych poparcia, choć nie musi to być trwała zdobycz. Może jednak znacząco zmienić scenę polityczną, jeśli odniesie sukces

STANISŁAW JANECKI

Rozkład sił politycznych latem 2023 r. wyglądałby prawie tak samo jak w 2019 r., gdyby nie Konfederacja. Wówczas liczyło się pięć ugrupowań (Prawo i Sprawiedliwość, Koalicja Obywatelska, Polskie Stronnictwo Ludowe oraz Konfederacja Wolność i Niepodległość) i wszystkie one wprowadziły swoich przedstawicieli do Sejmu. W sierpniu 2023 r., na trochę ponad dwa miesiące przed wyborami (ogłoszonymi przez prezydenta na 15 października 2023 r.), znowu będzie się liczyć pięć ugrupowań: PiS, KO, Konfederacja, Lewica i Trzecia Droga (Polska 2050 oraz Koalicja Polska z PSL-owskim rdzeniem). Można powiedzieć, że niewiele się zmieniło, mimo iż powstał nowy twór, czyli z Polska 2050 Szymona Hołowni. Ale jest inaczej, bo mamy nowy model Konfederacji ze Sławomirem Mentzenem za kierownicą.

Największym przegranym na krótko przed wyborami jest Donald Tusk, który nie zrealizował swego głównego zadania, czyli startu opozycji z jednej listy, ale też nie udało mu się zrealizować trzech innych celów: zniszczyć Polski 2050, zwasalizować Polskiego Stronnictwa Ludowego i wpływać na poparcie dla Konfederacji. Tusk nie może więc zameldować swoim mocodawcom, że zadanie zostało wykonane, bo nie zostało. A on sam jest w gorszej sytuacji niż wtedy, gdy został do Polski wysłany ze specjalną misją. I nie pomoże Tuskowi odsiecz obiecana przez przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej Manfreda Webera, próbującego ratować szefa PO zapewnieniem, że „PiS jest naszym wrogiem i będzie przez nas zwalczany". Żeby nie było wrażenia, że chodzi wyłącznie o PiS, gdyż tylko w Polsce są wkrótce wybory, Weber dodał partii Jarosława Kaczyńskiego towarzystwo niemieckiej AfD oraz Marine Le Pen, liderki Zjednoczenia Narodowego. Akurat te ugrupowania łączy z PiS tyle, ile Donalda Tuska z Martinem Lutherem Kingiem – obaj organizowali marsze.

Weber już w czerwcu 2023 r. stwierdził: „Jesteśmy jedyną siłą, która może zastąpić PiS w Polsce i poprowadzić kraj z powrotem do Europy". Nie sprecyzował przy tym, czy my to EPL, Niemcy, Komisja Europejska, Parlament Europejski, Bruksela (jako autonomiczna republika eurokratów). Z punktu widzenia Manfreda Webera czy szerzej Brukseli,

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 7f2490a7a5

Konfederacja na razie jest niebytem, ale tak być nie musi. Inne opozycyjne partie poza PO nie są ważne, bo Weber (prawdopodobnie za Tuskiem) zalicza je do zasobów swego poprzednika w EPL (w dużym stopniu wbrew rzeczywistości). Niewiadomą jest tylko Konfederacja – jeśli utrzyma poparcie na poziomie ok. 15 proc. (mniejsze poparcie dla partii Mentzena znacznie ją dewaluuje).

KORDON SANITARNY

Konfederacja istniała w 2019 r. w innej formie, ale nigdy nie wyszła poza polityczną egzotykę, a myślowo poza odpowiednik kolażu w sztuce, z dużą skłonnością do *horror vacui*. W efekcie w 2019 r. nie było po prawej stronie siły politycznej, która w znaczącej skali byłaby konkurencją dla Zjednoczonej Prawicy (ZP). Obecnie Konfederacja robi chyba więcej, żeby wyborcy dali się przekonać, iż nie jest rezerwą dla Prawa i Sprawiedliwości, bardziej dba o prezentację własnego programowego oblicza. Liderzy Konfederacji wręcz panicznie boją się jakichkolwiek skojarzeń z PiS.

Nieprzypadkowo Przemysław Wipler, wracający do polityki z Konfederacją, zrobił znaczącą wrzutkę: „Gdyby w ogóle z kimkolwiek rozważyć koalicję, to uważam, że z różnych powodów sensowniej byłoby taktycznie dogadać się – na głębokie zmiany w Polsce po tych ośmiu latach, na techniczne wyczyszczenie państwa – z obecną opozycją. Ale bez Lewicy". Po chwili trochę się wystraszył własnych słów i zaprzeczył, by była to realna polityczna propozycja, a tylko taktyka. I asekurował się, że „nie będzie »czegoś takiego«, bo jasno i klarownie mówimy, że nie będzie z nikim koalicji, bo uważamy, że byłoby to złe dla Polski, a także dla nas, zarówno krótko, jak i długoterminowo".

Asekuracja była zbędna, bowiem celem wrzutki Wiplera było utwierdzenie wyborców, że Konfederacja nie jest i nie będzie żadnym tajnym sojusznikiem PiS, żadnym młodszym bratem PiS ani magazynem części zamiennych dla PiS. Wipler, ale też liderzy Konfederacji ze Sławomirem Mentzenem na czele, robią wszystko, żeby nie zostać zagonionymi do tej samej owczarni czy stajni z PiS. Obowiązuje w Konfederacji zasada zakazu zbliżania się do PiS na niebezpieczną odległość. Wszystko po to, żeby wyborcy nie pomyśleli sobie, iż oba ugrupowania coś łączy czy może łączyć w przyszłości. Mamy wręcz do czynienia z kordonem sanitarnym, którym Konfederacja otoczyła samą siebie.

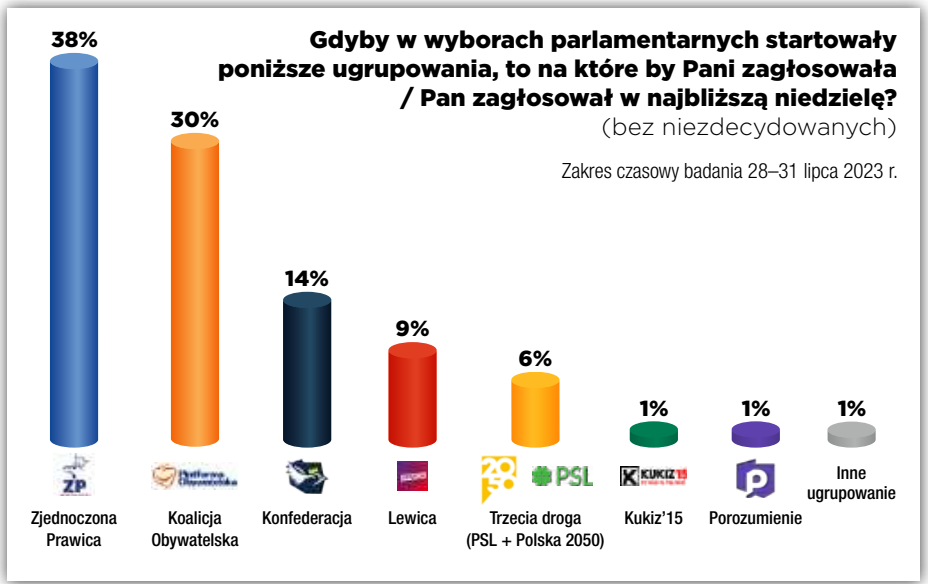

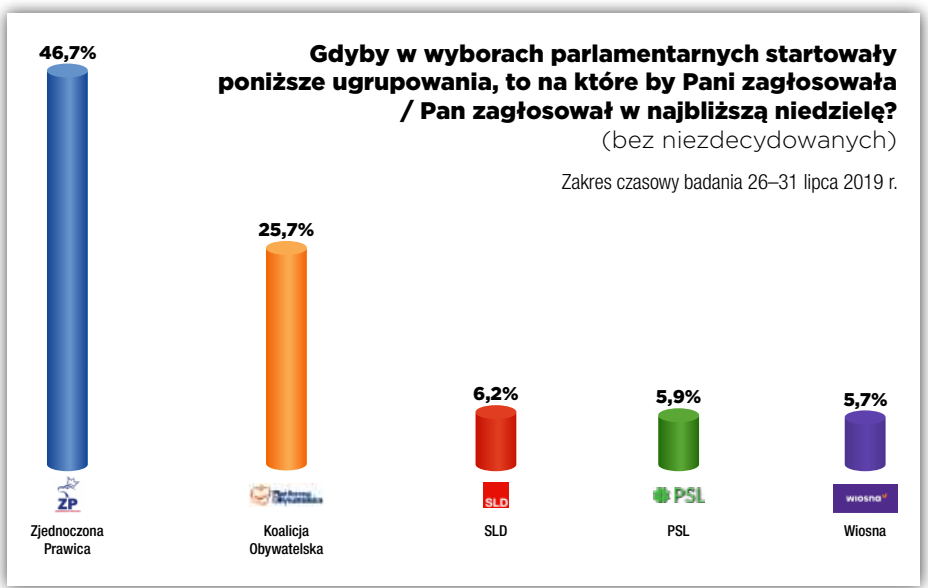

JAK BYŁO, JAK JEST

W badaniu pracowni Social Changes dla wPolityce.pl (28–31 lipca 2023 r., nie licząc niezdecydowanych) do Sejmu weszłyby: Zjednoczona Prawica (38 proc. poparcia – wzrost o 1 pp. w porównaniu z poprzednim badaniem i o 4 pp. w ciągu ostatnich trzech tygodni), KO (30 proc. – spadek o 1 pp.), Konfederacja (14 proc. – bez zmian), Lewica (9 proc.) oraz Trzecia Droga (PSL i Polska 2050) – 6 proc.

W badaniu Social Changes dla wPolityce.pl zrealizowanym 26–31 lipca 2019 r. ZP cieszyła się poparciem na poziomie 46,7 proc. Drugie miejsce zajmowała PO – 25,7 proc. Poza tym wedle tego sondażu w Sejmie znalazłyby się: SLD (6,2 proc. poparcia), PSL (5,9 proc.) oraz Wiosna (5,7 proc.). Gdy badanie uwzględniało wariant, w którym opozycja tworzyłaby trzy bloki: PSL razem z Kukiz'15, Koalicję Obywatelską (wspólna lista PO z Nowoczesną, Inicjatywą Polska i Zielonymi) oraz

eprasa.pl 7f2490a7a5

blok lewicowy (SLD, Wiosna i Partia Razem), to Zjednoczona Prawica miałaby 45,9 proc. poparcia, Koalicja Obywatelska – 29,9 proc., Lewica – 11 proc., koalicja PSL i Kukiz'15 – 9,2 proc. głosów.

W sondażu IBRiS dla „Dziennika Gazety Prawnej" i RMF FM (28–29 czerwca 2019 r.) założono, że antypisowska opozycja wystartuje w dwóch blokach: centrowo-ludowym – PO z PSL oraz lewicowym – zjednoczona lewica. I wtedy opozycja miałaby 40,6 proc. poparcia, zaś PiS (Zjednoczona Prawica) – 42,4 proc. Ten scenariusz się jednak nie zrealizował. W sondażu Estymatora dla portalu DoRzeczy.pl (18–19 lipca 2019 r.) Prawo i Sprawiedliwość uzyskało poparcie na poziomie 45,3 proc., Platforma Obywatelska – 28,9 proc., a PSL – 5,2 proc. Poniżej progu wyborczego znalazły się: Kukiz'15 (4,8 proc.), SLD (4,5 proc.), Wiosna (3,8 proc.), Korwin (2,9 proc.). W wariancie uwzględniającym koalicje: Zjednoczona Prawica dostałaby 47,1 proc. głosów, Koalicja Obywatelska – 29,2 proc., Lewica – 9,5 proc., Koalicja Polska – 5,4 proc., a Kukiz'15 sprzymierzony z Bezpartyjnymi Samorządowcami – 5,2 proc. Pod progiem wyborczym znalazła się Konfederacja z poparciem na poziomie 3,3 proc.

W lipcu i sierpniu 2019 r. liczni politycy opozycji apelowali, żeby poszła ona razem do wyborów, bo „rozdrabnianie doprowadzi do jedynowładztwa PiS w Polsce" (słowa szefa sztabu wyborczego PO Krzysztofa Brejzy). „Każdy mądry polityk wie, że trzeba budować jeden silny blok demokratyczny" – mówił lider SLD Włodzimierz Czarzasty. Tylko politycy PSL, podobnie jak w 2023 r., obawiali się, że będąc w koalicji z lewicą zniechęcą swój elektorat.

W sondażu Kantar dla „Faktów" TVN (12–13 sierpnia 2019 r.) 44 proc. respondentów deklarowało głosowanie na listę PiS, na Koalicję Obywatelską – 27 proc., a na blok Lewicy – 11 proc. Do Sejmu dostałaby się także Konfederacja – 5 proc. głosów. Poza Sejmem znalazłaby się wspólna lista PSL i Kukiz'15 (4 proc.).

W badaniu Estymatora dla portalu DoRzeczy.pl (21–22 sierpnia 2019 r.) PiS zdobyłoby 44,9 proc. poparcia, na Koalicję Obywatelską głosowałoby 30,4 proc., na Lewicę (SLD, Wiosna, Razem) – 9,8 proc., na Koalicję Polską (PSL i Kukiz ,15) – 6,8 proc. Do Sejmu nie weszłyby wtedy Konfederacja (3,8 proc. poparcia) i Bezpartyjni Samorządowcy (2,3 proc.).

We wrześniu 2019 r. największym poparciem – od 40 do 48 proc. – cieszyło się PiS. Koalicja Obywatelska odnotowywała wyniki w granicach 23–30 proc., a Lewica od 5 do 14 proc. Według większości badań do Sejmu weszłoby także PSL (6–8 proc.). Na granicy progu wyborczego była Konfederacja (2–7,5 proc. poparcia). Konfederacja próg wyborczy przekraczała tylko według dwóch sondaży.

> Największym przegranym na krótko przed wyborami jest Donald Tusk, który nie zrealizował swego głównego zadania, czyli startu opozycji z jednej listy, ale też nie udało mu się zrealizować trzech innych celów: zniszczyć Polski 2050, zwasalizować PSL i wpływać na poparcie dla Konfederacji

W wyborach w 2019 r. na PiS głosowało 43,59 proc., na KO – 27,40 proc., na SLD – 12,56 proc., na PSL – 8,55 proc. i na Konfederację – 6,81 proc.

ALTERNATYWA DLA PIS

W stosunku do sondaży z 2019 r. cztery lata później Konfederacja zyskała ok. 10 pp. i zaczęła być traktowana przez prawicowych wyborców jako alternatywa dla PiS. Gdyby nie ten proces, poparcie dla PiS w sierpniu 2023 r. mogłoby wynosić ok. 45 proc., czyli podobnie jak cztery lata wcześniej. Sondażowy wynik Konfederacji był w 2019 r. zaniżony w stosunku do wyborów o 3–4 pp. proc., ale wobec bezwzględnej większości mandatów dla PiS (235), Konfederacja nie miała żadnego znaczenia przy tworzeniu rządu, choć jej pojedynczy posłowie byli brani pod uwagę w ubezpieczaniu sejmowej większości.

Latem 2023 r. Konfederacja odbiera wyborców także PO, Polsce 2050 czy PSL, ale nie stanowi dla nich alternatywy.

KWESTIA UKRAIŃSKA I PANDEMICZNA

W związku z kordonem sanitarnym izolującym Konfederację od PiS partia Jarosława Kaczyńskiego może zakładać (mimo ostrego odżegnywania się liderów Konfederacji od takiego wariantu) powyborczą koalicję z Konfederacją albo może – tak jak PO w 2015 i 2019 r. – przekonywać wyborców, że głosy oddane na Konfederację są stracone, gdyż prowadzą bądź do jej koalicji z KO (plus inni w zależności od liczby mandatów), bądź do przedterminowych wyborów w 2024 r. I takiego celu wcale nie kryją liderzy Konfederacji.

Po wyborach w 2019 r. Konfederacja nie była dość silna, żeby mieć wpływ na to, kto będzie rządził. Po wyborach w 2023 r. chce taki wpływ mieć. Niewykluczone jednak, że już przy urnie część wyborców prawicy uświadomi sobie, że głos na Konfederację może być głosem na opozycję totalną i w związku z tym sondażowe poparcie na poziomie 14 proc. w momencie głosowania będzie znacząco niższe.

Prawo i Sprawiedliwość może prowadzić kampanię także przeciw Konfederacji (ale to skonsoliduje jej zwolenników) albo obok Konfederacji, wskazując na ryzyka związane z sytuacją, gdy PiS nie uzyska choćby minimalnej większości, czyli 231 mandatów. Chcąc zmniejszyć notowania Konfederacji, PiS musi zneutralizować te czynniki, które lewarowały poparcie dla niej, czyli „kwestię ukraińską" i „kwestię pandemiczną". Czynnik liberalny czy libertariański ma drugorzędne znaczenie. Czasu jest mało.

Reklama | 14/0823/F

eprasa.pl 7f2490a7a5

Wspólnie dla wolności

Choć patrzymy w przyszłość, to pamiętamy o przeszłości

Czujemy się szczególnie związani z dziejami Pomorza – regionu, z którego się wywodzimy. Dlatego wspominamy wydarzenia z sierpnia 1980 r., które zmieniły bieg historii Polski.

To cenna lekcja patriotyzmu, odwagi i poświęcenia. Dla wolności nas wszystkich.

Energa z Grupy ORLEN dla Pomorza

Energa
GRUPA ORLEN

eprasa.pl 7f2490a7a5

Wygra ten, kto będzie miał plan dla Polski

Numerem jeden dla Polaków są kwestie ekonomiczne i gospodarcze. To, co martwi ludzi, to nadal dosyć wysoka inflacja. Na pewno istnieje obawa przed wzrostem bezrobocia. Wypowiedzi – jak te prof. Bogusława Grabowskiego o tym, że trzeba walczyć z inflacją, a bezrobocie nie jest ważne – oddalają elektorat od opozycji

Z Markiem Grabowskim, socjologiem, prezesem Pracowni Badawczej Social Changes, rozmawia Goran Andrijanić

W jakim stopniu sondaże wpływają dziś na kształtowanie się opinii publicznej? Niektórzy twierdzą, że społeczeństwo powoli traci zaufanie do sondaży.

Marek Grabowski: Powiedziałbym, że sondaże trochę spowszedniały opinii publicznej. Zwłaszcza w okresie przedwyborczym, kiedy jest ich naprawdę dużo. Na rynku istnieje sporo podmiotów, które się nimi zajmują i regularnie publikują wyniki. Z drugiej strony są one dalej traktowane jako „must have" dla poważnych mediów, które zawsze się na nie powołują. Mówię o sytuacji w polskich mediach. Wydaje mi się, że to spowszednienie musiało nastąpić, tak jak stało się to w krajach zachodnich. Natomiast można powiedzieć, że są takie badania i takie sondaże, których wyniki mają

znaczenie, a będąc elementem debaty publicznej, wywierają wpływ na polityków. W Polsce, wydaje mi się, politycy i działacze pozarządowi coraz lepiej umieją korzystać z sondaży. Doświadczenie tutaj rośnie i to jest pocieszające.

Jaką metodologię pracownia, której jest pan prezesem, praktykuje w swoich badaniach?

Social Changes powstała w 2014 r., co oznacza, że jesteśmy już dziewięć lat na rynku. Ja sam zajmuję się badaniami od 1999 r., pracowałem w kilku instytutach badawczych, krajowych i międzynarodowych. To, co jest specyficzne dla nas i naszej metodologii, to fakt, że staramy się w swoich badaniach łączyć dwie metody: jakościową, czyli wywiady, fokusy i obserwacje uczestniczące, oraz ilościową. W przypadku tej drugiej badanie robimy poprzez panele internetowe – co jest dziś metodą regularną na Zachodzie, gdzie ich rola znacząco wzrosła, zastępując wywiad bezpośredni. Uważam, że wywiady przez internet mają pewną przewagę nad wywiadami bezpośrednimi. Ludziom często trudno jest się przyznać w wywiadzie telefonicznym albo twarzą w twarz do pewnych rzeczy. Zwłaszcza przy pytaniach światopoglądowych oraz osobistych. Zazwyczaj respondenci mówią to, co ich zdaniem ankieter chciałby usłyszeć. W internecie mamy większe poczucie anonimowości.

A wiarygodność wzoru?

Korzystamy z weryfikowanej bazy danych ludzi. Nie ma tam tzw. botów, ankiet wypełnianych przez maszynę. Każde badanie jest zbudowane na ankietowaniu weryfikowanych i prawdziwych osób. I to wszystko nam się sprawdza. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich mieliśmy naprawdę wysoką trafność, w zasadzie najwyższą. Zostaliśmy też wyróżnieni przez Uniwersytet Jagielloński za przewidywania wyborcze. To była dla nas ważna nagroda.

Jesteśmy w trakcie kampanii wyborczej. Co wynika z państwa badań na temat nastrojów społecznych? Co trapi polskich obywateli i jakich rozwiązań oczekują od polityków?

Numerem jeden są kwestie ekonomiczne i gospodarcze. To, co martwi ludzi, to nadal dosyć wysoka inflacja. Na pewno istnieje obawa przed wzrostem bezrobocia. Dla obywateli kluczowe jest zatrzymanie go na niskim poziomie – takim, na jakim jest teraz. Co ciekawe, wielu ankietowanych pamięta czasy Balcerowicza, kiedy walczono z inflacją kosztem wielkiego bezrobocia, i właśnie takiego scenariusza teraz się oni obawiają. Wypowiedzi – jak te prof. Bogusława Grabowskiego o tym, że trzeba walczyć z inflacją, a bezrobocie nie jest ważne – oddalają elektorat od opozycji.

Jakie kwestie są jeszcze istotne dla Polaków?

Kwestia mieszkań. Tutaj nikt się nie spodziewa, że będzie lepiej i mieszkania staną się tanie. Dla ludzi, którzy zakładają rodzinę, to jest wielki problem. Kłopot stanowi również dostępność do ochrony zdrowia. Z punktów światopoglądowych ważna jest też kwestia ochrony życia łamana przez aborcję. Dla części młodszych Polek odejście od kompromisu aborcyjnego jest problematyczne, dlatego automatycznie powtarzają slogany o dostępności aborcji. Ten temat na pewno pojawi się w kampanii i będzie ważny. W tym momencie na pewno nie jest kluczowy, ale wiemy, jak wygląda dynamika polityczna oraz że nastroje można rozhuśtać. Historia z panią Joanną jest taką próbą. Gdyby nie jej cały background performerski, byłaby może skuteczniejsza. Pani Joanna jednak dość mocno odchodziła od wizerunku zwykłej kobiety, co miało swoje konsekwencje. Ale takie próby będą dalej podejmowane.

Strajk kobiet się nie powtórzy?

Myślę, że nie. Musiałoby nastąpić wydarzenie ekstremalne, które by to uruchomiło. W tym momencie nie ma jednak takiego potencjału. Natomiast to może być czynnik mobilizujący dla totalnej opozycji.

Czy jest jakaś nowa oś sporu, która może zdecydować o wyniku wyborów?

Jest jedna, choć co prawda nie nowa, bo gdzieś tam zawsze była obecna w opinii publicznej. Chodzi o spór, czy Polska ma być liberalna, czy socjalna. W opinii publicznej mamy tezy Sławomira Mentzena, które są dość darwinistyczne, ale także zgodne z poglądami prof. Grabowskiego i podążające w radykalnie liberalną stronę. Trzeba wyprzedać majątek narodowy, silni sobie poradzą, a biedni mają być pozostawieni sami sobie. Ta debata będzie na pewno jeszcze obecna w kampanii. Następna oś sporu to ta związana z kwestią suwerenności i bezpieczeństwa. W przypadku tej pierwszej jest jasne, o co chodzi. O spór, czy Polska ma być całkowicie suwerenna, czy ma być częścią sfederalizowanej Europy. W kwestii bezpieczeństwa idzie oczywiście o zagrożenie przed putinowską Rosją oraz o wzmocnienie i budowę polskiej armii.

Wróćmy do sporu: Polska liberalna czy socjalna? Na ile Polacy doceniają poprawę sytuacji społecznej w ciągu ostatnich ośmiu lat?

To, co jest jasne, to to, że Polacy doceniają przywrócenie godności ludziom pracy. Mam na myśli oba elektoraty – Zjednoczonej Prawicy i opozycji. Chodzi o ograniczenie umów śmieciowych, poprawę sytuacji emerytów, wprowadzenie części bezpłatnych leków dla dzieci i emerytów czy fakt, że zjawisko nędzy wśród dzieci zostało praktycznie wyeliminowane. To wszystko są bardzo ważne, cenione osiągnięcia i Platformie trudno byłoby się z tego wycofać, nawet w przypadku koalicji z Konfederacją. Natomiast nie jest powiedziane, że takich redukcji nie będzie. Wystarczy posłuchać, co mówią Mentzen i ludzie bliscy obozowi opozycji totalnej.

Czy jest lęk przed taką redukcją praw socjalnych wśród wyborców?

Istnieje taka obawa, dlatego że nie ma zaufania do Donalda Tuska. On po prostu nie jest wiarygodny i wszyscy,

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 7f2490a7a5

po obu stronach politycznego sporu, wiedzą, że powie wszystko, by zdobyć władzę, a później będzie robił swoje. Różnica między Donaldem Tuskiem a Jarosławem Kaczyńskim jest taka, że Kaczyński raczej zrobi to, o czym mówi, a Tusk przede wszystkim mówi.

Rozmawialiśmy o bezpieczeństwie. Jak silne jest poczucie zagrożenia u Polaków? Czy czują się bezpieczni?

W tej kwestii musimy mówić nie o podziałach politycznych, ale raczej o geograficznych. Zagrożenie Rosją jest bardziej odczuwalne na wschód od Wisły, dlatego poczucie zagrożenia jest większe wśród tych, którzy mieszkają bliżej granicy z Białorusią i Ukrainą, szczególnie wśród kobiet. Proces wzmocnienia armii zmniejsza ten lęk. Pojawia się jednak pewna obawa, czy zdążymy się wystarczająco wzmocnić przed możliwym atakiem Rosjan. Takie odczucia są obecne na wschodzie Polski, który – po pierwsze – historycznie silniej doświadczył zagrożenia ze strony sąsiadów; po drugie – pamiętamy mafie ukraińskie i rosyjskie, które przez lata funkcjonowały we wschodnich miastach, jak Lublin, Białystok czy Zamość.

Jakie są różnice między młodym a starszym pokoleniem, gdy mówimy o potrzebach i interesach politycznych?

Młodsze pokolenie – populacja między 18. a 25. rokiem życia – generalnie nie interesuje się polityką ani nie ma zbyt dużego pojęcia o tym, co się w niej dzieje. To pokolenie podlega przede wszystkim narracji tiktokowej i trochę tej z YouTube'a. To ich główne źródło informacji. Oni postrzegają politykę jako rodzaj rozrywki. Następuje swoista tiktokizacja, polegająca na tworzeniu filmików trwających po 20 sekund, mających mocny, nieraz ekstremalny przekaz, które kształtują opinię publiczną. Wydaje mi się, jeśli chodzi o sieci społecznościowe, że Zjednoczona Prawica w jakiejś mierze się zagapiła i nie wykorzystała tego medium. To jej słabszy punkt w porównaniu z Konfederacją, która na TikToku bryluje. Mamy tu jednak do czynienia z pewnym paradoksem, bo np. część starszego pokolenia jest mocniej pro-LGBT niż to młodsze. Może wynika to z potrzeby bycia „nowoczesnym", „proeuropejskim"? Badania pokazują, że ten „progresywizm" jest mocniejszy w części starszego pokolenia.

Młodsze pokolenie – populacja między 18. a 25. rokiem życia – generalnie nie interesuje się polityką i nie ma zbyt dużego pojęcia o tym, co się w niej dzieje. To pokolenie podlega przede wszystkim narracji tiktokowej i trochę tej z YouTube'a. To ich główne źródło informacji

Czy to znaczy, że młodsi są bardziej konserwatywni?

Powiedziałbym, że młodsi są mniej ekstremalni. Starsi są bardziej radykalni, jeśli chodzi o kwestie światopoglądowe niż osoby młodsze. Starsze pokolenie patrzy również na kwestie gospodarcze, bo chce zapewnić swoim dzieciom dobry start w życiu, zapłacić za studia albo pomóc w zakupie mieszkania. Ono także oczekuje jakiegoś konkretnego programu, a nie pustych haseł. Brak programu opozycji stał się dla starszego pokolenia wielkim problemem. Nawet wyborcom sympatyzującym z opozycją przeszkadza to, że nie ma ona pomysłu na przyszłość Polski.

Anty-PiS już nie wystarczy?

Ta emocja jest obecna cały czas, ale to za mało. Nawet ci, którzy popierają Donalda Tuska, martwią się, że będzie gorzej, jeśli opozycja wygra. Tusk po prostu sprawia wrażenie, że nie ma pomysłu na Polskę.

Co by pan doradził partii, która chce wygrać wybory?

Przede wszystkim musi mieć jasny i konkretny program. I do tego powinna zbudować prostą komunikację, trochę taką tiktokową, która jest w stanie o tym programie opowiedzieć. Po drugie, myślę, że kwestie gospodarcze i te dotyczące bezpieczeństwa będą kluczowe. Chodzi o to, co chcemy zrobić z gospodarką i jak chcemy zbudować bezpieczeństwo. Medialne zamieszanie przedwyborcze czasami bywa interesujące, ale często jest męczące. Kiedy jednak już dochodzi do podejścia z kartką do urny, zaczyna się myśleć poważnie: co ja z tego będę miał/miała? Wydaje mi się, że wygra ten, kto zaprezentuje wizję dla Polski na następne 8–10 lat. Kto pokaże konkretny plan działania na najbliżej dziesięciolecie, ten wygra.

W obozie Zjednoczonej Prawicy toczyła się dyskusja, czy należy zaostrzyć retorykę, aby odpowiedzieć na wulgarne ataki opozycji. Z ostatnich wypowiedzi liderów ZP wynika, że decyzja o bardziej zdecydowanej „grze" została podjęta. Jak pan to skomentuje?

Mimo wszystko byłoby dobrze jakoś to wyważyć. Gdy będziemy bliżej wyborów, retoryka na pewno stanie się ostrzejsza, bo tak dzieje się zawsze. Nie można natomiast poprzestać na samych sztuczkach retorycznych, bo to pustosłowie bywa bardzo irytujące. Ludzie mogą mieć dość tej – jak ją nazwał Lech Wałęsa – wojny na górze. Istnieje potrzeba realnego programu i planu na Polskę na najbliższe lata. Mówię o tym, jakie są potrzeby i odczucia opinii publicznej. A co z tym zrobią spin doktorzy i marketingowcy, to już inna sprawa.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Bój o Bałtyk

Ostatnio Niemcy zaczęli przyznawać, że ekologia to jedynie parawan, za którym kryje się brutalna walka z konkurencją. W należących do nich mediach pojawiły się argumenty, że polskie inwestycje w bałtyckich portach szkodzą niemieckiej gospodarce, dlatego Berlin ma prawo z nimi walczyć

KONRAD KOŁODZIEJSKI

133 mln ton towarów przeładowały w 2022 r. polskie porty nad Bałtykiem. To wzrost o 18 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Inne szacunki są minimalnie niższe, ale każdy z nich pokazuje duży wzrost przeładunku. W przypadku danych GUS – nawet o 29 proc.

Wniosek, który z tego płynie, jest jednoznaczny – mimo kryzysu wywołanego pandemią i wojną na Ukrainie Polska coraz lepiej wykorzystuje potencjał nadbałtyckich portów i dzięki temu wzmacnia swoją pozycję w międzynarodowym handlu. Potwierdzają to dane Eurostatu, według których znajdujemy się już na 11. pozycji w Unii pod względem przeładunku towarów w portach morskich i mamy ogromne szanse, aby zaraz wskoczyć do pierwszej dziesiątki. Daje nam to silną pozycję startową, by w przyszłości stać się morskim centrum przeładunkowym dla całego regionu, w tym dla Skandynawii i wschodnich landów niemieckich.

Oczywiście zwykle bywa tak, że tam, gdzie ktoś zyskuje, ktoś inny traci. Nie inaczej jest w naszym przypadku. Największym graczem na Bałtyku są Niemcy, gdzie w ostatnich latach przeładowywano trzy- lub czterokrotnie więcej towarów niż w Polsce. O ile jednak do niedawna dystans pomiędzy portami polskimi i niemieckimi utrzymywał się na stałym poziomie, o tyle po 2021 r. ilość towarów przeładowywanych w naszym kraju zaczęła dynamicznie wzrastać, a w Niemczech – spadać. W tej chwili przewaga przeładunku w niemieckich portach jest już tylko dwukrotna. Nic więc dziwnego, że Niemcy zaczęli się tym niepokoić i w ostatnim czasie coraz ostrzej atakują polskie inwestycje morskie.

ZRYWANIE ZALEŻNOŚCI

Głównym portem w naszej części Europy jest położony u ujścia Łaby Hamburg, będący zarazem trzecim co do wielkości przeładunków portem morskim w Unii. W Hamburgu towary są przenoszone na mniejsze statki, a następnie rozsyłane na wschód do portów bałtyckich oraz siecią rzeczną w głąb Niemiec. Jest to zgodne z zaleceniem Parlamentu Europejskiego z 2009 r., na mocy którego Hamburg stał się centrum przeładunkowym transportu morskiego dla całego Bałtyku. Skutkiem tego zalecenia była marginalizacja portów bałtyckich, w tym Świnoujścia, Szczecina

Fot. Wojciech Wrzesień/Shutterstock.com

eprasa.pl 7f2490a7a5

i Gdańska, które jako tzw. porty feederowe miały być jedynie odbiorcą niewielkich transportów wysyłanych z Hamburga. Inaczej mówiąc, Hamburg został hubem morskim, a Niemcy zarabiały jako pośrednik w dalszym transporcie towarów na Bałtyk.

Nic dziwnego, że taki podział pracy – i zysków – został zakwestionowany przez Polskę, która podjęła próbę zerwania tej zależności oraz budowy własnej silnej pozycji na Bałtyku. W ostatnich latach rozpoczęto więc zakrojoną na dużą skalę rozbudowę polskich portów, która przygotuje je do rywalizacji z Hamburgiem i przyjmowania dalekomorskich transportów bez pośrednictwa Niemiec.

W tej chwili najważniejszym polskim portem jest Gdańsk, który przystosowano do przyjmowania statków o zanurzeniu 15 m, a więc największych, jakie mogą przepłynąć przez cieśniny duńskie, gdzie maksymalne dopuszczalne zanurzenie wynosi 15,4 m (dla porównania w Kanale Sueskim jest to 20 m). W Gdańsku zbudowano także nowy terminal przeładunkowy o pojemności 3 mln TEU rocznie. Ten skrót oznacza miarę zdolności przeładunkowej portów liczoną na podstawie standardowego kontenera o pojemności 39 m³. Trzy miliony TEU to inaczej trzy miliony takich kontenerów. Dzięki tym inwestycjom przeładunki rosną jak na drożdżach. W ciągu pierwszego półrocza 2023 r. w Gdańsku przeładowano 41,2 mln ton towarów. To o 36 proc. więcej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. W rezultacie Gdańsk awansował na ósme miejsce w rankingu portów morskich w Unii, przeskakując aż o pięć oczek do góry i wyprzedzając śródziemnomorskie porty w Marsylii, Barcelonie i Walencji oraz w czarnomorskiej Konstancy. Zajmuje też pozycję lidera kontenerowego na Bałtyku oraz drugie miejsce pod względem wszystkich przeładunków, ustępując wyłącznie rosyjskiemu portowi w Ust-Łudze nieopodal Petersburga.

Poważne inwestycje czekają także pobliski port w Gdyni, gdzie powstanie tzw. Port Zewnętrzny, zdolny do przyjmowania statków oceanicznych o zanurzeniu 15,5 m. Planowana przepustowość portu ma wynieść 2,5 mln TEU rocznie.

RZEKA NIEZGODY

W tej chwili najwięcej uwagi pochłania rozbudowa portu Szczecin–Świnoujście. W Świnoujściu, gdzie już teraz funkcjonuje gazoport, do 2027 r. ma powstać terminal kontenerowy o docelowej pojemności 2 mln TEU rocznie. Będzie mógł on obsłużyć jednocześnie dwa statki: jeden o długości 400 m i jeden o długości 200 m. Dzięki swojemu położeniu geograficznemu (duża odległość od baz rosyjskich w Królewcu) Świnoujście ma być również głównym portem przeładunkowym dla wojska – inwestycja w porcie ma więc istotne znaczenie dla bezpieczeństwa państwa. Na podejściu do Świnoujścia zostanie zbudowany nowy tor podejściowy od północnego wschodu, o długości 70 km i głębokości 17 m, dzięki czemu statki nie będą musiały, tak jak do tej pory, przepływać przez sporny akwen, do którego Niemcy – jeszcze od czasów NRD – roszczą sobie prawa. Pogłębiono też szlak wodny łączący Świnoujście ze Szczecinem, co umożliwia przyjmowanie w Szczecinie większych jednostek. Jak wynika z ostatnich danych, Szczecin i Świnoujście po wielu latach zepchnięcia na margines radzą sobie coraz lepiej. W 2022 r. w obu portach przeładowano łącznie 36,8 mln ton towarów, a więc o 10,8 proc. więcej niż rok wcześniej. Dalsza modernizacja i rozbudowa portów z pewnością jeszcze poprawi ich wyniki. Tegoroczna prognoza zakłada zresztą pobicie historycznego rekordu przeładunków osiągniętego w zeszłym roku.

> Berlin uważa, że ma prawo blokować rozbudowę Świnoujścia, bo nie chce – jak twierdzi – finansować z własnych środków inwestycji konkurencyjnej dla niemieckich portów

Szczecin, który podobnie jak Hamburg jest położony u ujścia rzeki, miałby również szanse przejąć część transportu śródlądowego, jednak w tym celu konieczne jest pogłębienie toru wodnego na Odrze. W tej chwili ma ona niską, II klasę żeglowności. Rząd chce podnieść ją do poziomu klasy III, co pozwoli na ruch barek o ładowności do 700 ton. To dlatego po polskiej stronie modernizuje się zaniedbane od dekad ostrogi, czyli rodzaj nasypów idących w poprzek rzeki, aby w ten sposób udrożnić i skanalizować jej nurt, a przy okazji ograniczyć ryzyko powodzi. Niestety starania te wywołują nieustanne protesty po stronie Niemiec oraz współpracujących z nimi organizacji ekologicznych. Wszyscy pamiętamy zmyślone przez Niemców zarzuty o zatruciu rzeki rtęcią, które powtarzała marszałek województwa lubuskiego Elżbieta Polak z PO. Gdy potem się okazało, że śnięcie ryb jest związane z rozwojem alg, nikt nie przeprosił, a zarzuty w sprawie Odry pojawiają się do tej pory.

Dla każdego przytomnego na umyśle człowieka jasne jest jednak, że nie chodzi tutaj o żadną ekologię, ale o zablokowanie potencjalnej konkurencji, którą dla niemieckiego transportu rzecznego mógłby w przyszłości stanowić żeglowny szlak na Odrze, wygodnie połączony z portami morskimi w Szczecinie i Świnoujściu. Takim szlakiem można byłoby spławiać towary pomiędzy Świnoujściem a Śląskiem oraz południową i wschodnią Europą. Gdyby ten plan się powiódł, niemieckie porty i huby logistyczne straciłyby nie tylko większość polskich klientów skazanych dotąd na ich pośrednictwo, lecz także sporą część kontrahentów z całego naszego regionu.

INTENSYWNA PRZYJAŹŃ

Przyjmuje się, że po zakończeniu inwestycji w polskich portach na Bałtyku będą one w stanie przyjąć 7,5 mln TEU ładunków rocznie. Dla porównania Hamburg zanotował w zeszłym roku ok. 12 mln TEU. Nie prześcigniemy więc Niemców – nawet nie o to chodzi – ale będziemy w stanie odebrać im znaczną część zysków, które zamiast pozostać u nas, trafiają dziś – za pośrednictwem portu w Hamburgu – do niemieckiego budżetu.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Nic więc dziwnego, że Niemcy z niepokojem i rosnącą irytacją przyglądają się planom rozbudowy polskich portów. Zwłaszcza że sami w ostatnim czasie zaniedbali własne inwestycje. Jak wynika z informacji niemieckich mediów, oferta portu w Hamburgu jest coraz mniej konkurencyjna dla armatorów z powodu wysokich kosztów i przestarzałej infrastruktury przeładunkowej. Co więcej, tor wodny, który prowadzi do portu, jest zbyt płytki i największe kontenerowce muszą być rozładowywane przed wejściem do Łaby. Dla odmiany nowy tor podejściowy do Gdańska, podobnie jak planowany do Świnoujścia, ma wystarczającą głębokość dla dużych statków. Dlatego – zdaniem ekspertów – Hamburg coraz częściej będzie przegrywał z konkurencją, nie tylko polską, lecz również holenderską czy belgijską. To właśnie obawa przed takim scenariuszem skłoniła kanclerza Olafa Scholza do desperackiej sprzedaży udziałów w porcie w Hamburgu chińskiej spółce Cosco wbrew ostrzeżeniom, że taka transakcja może w przyszłości zagrozić bezpieczeństwu Niemiec.

Teraz, gdy Niemcy przeżywają największy w ostatnich latach kryzys (wywołany zresztą w dużym stopniu na własne życzenie), ich niepokój zamienił się w otwartą wrogość, a polska decyzja o rozbudowie portu Szczecin–Świnoujście wzbudziła ogromną falę sprzeciwu. W sąsiadującym z Pomorzem Zachodnim landzie Meklemburgia-Pomorze Przednie podniesiono krzyk, że wzmożony ruch ciężkich statków zdewastuje region ekologicznie, a przy tym zakłóci ciszę niemieckim emerytom odpoczywającym w bałtyckich kurortach na Uznamie. Niemcy nie zgodziły się więc na pogłębienie istniejącego toru wodnego prowadzącego do portu, aby uniemożliwić przyjmowanie większych jednostek i postawić pod znakiem zapytania sens rozbudowy portu w Świnoujściu. Gdy w odpowiedzi Polska zdecydowała się zbudować nowy szlak podejściowy poza spornym akwenem, władze niemieckiej gminy Heringsdorf na Uznamie zapowiedziały zaskarżenie tej decyzji w sądzie, zapewniając jednocześnie, że – mimo sporu – niemiecką gminę łączy ze Świnoujściem „bardzo intensywna przyjaźń". Dość specyficzna ta przyjaźń. To trochę tak, jakby pozwać sąsiada za to, że ten chce odnowić sobie dom. Bo przecież nikt nie ukrywa, że chodzi o zablokowanie polskiej inwestycji.

Niemieckie nadzieje na niekorzystny dla polskiej gospodarki rozwój wydarzeń nie są całkiem bezzasadne. Wystarczy bowiem zmiana rządu po październikowych wyborach i polskie inwestycje rozwojowe zostaną spowolnione albo wręcz całkiem wstrzymane. Jednocześnie w niemieckich mediach pojawił się pomysł stworzenia na obszarze Morza Bałtyckiego, zwłaszcza jego polskiej części, wielkiego parku narodowego. Podobne plany Niemcy snują również wobec Odry. Polska miałaby więc – według tych zamierzeń – stać się jednym wielkim rezerwatem, w którym niemożliwy byłby rozwój gospodarki.

> Nie prześcigniemy Niemców, ale będziemy w stanie odebrać im część zysków, które zamiast pozostać u nas, trafiają dziś – za pośrednictwem portu w Hamburgu – do niemieckiego budżetu

MASKI OPADŁY

Ostatnio jednak Niemcy zaczęli przyznawać, że ekologia to jedynie parawan, za którym kryje się brutalna walka z konkurencją. W należących do nich mediach pojawiły się argumenty, że polskie inwestycje szkodzą niemieckiej gospodarce, dlatego Berlin ma prawo z nimi walczyć. Tym bardziej, że – jak się powszechnie w Niemczech uważa – Polska wyciąga fundusze z Unii, więc inwestycje te opłacane są z pieniędzy niemieckich podatników. Mówi się w tym kontekście m.in. o zrealizowanym już pogłębieniu toru wodnego ze Świnoujścia do Szczecina (koszt 1,9 mld zł, z czego 1,2 mld zł ze środków unijnych) oraz o budowie nowego szlaku podejściowego do Świnoujścia (7,3 mld zł, z czego 2,8 mld zł z Unii). Berlin uważa, że ma prawo blokować rozbudowę Świnoujścia, bo nie chce – jak twierdzi – finansować z własnych środków inwestycji konkurencyjnej dla niemieckich portów.

To przeświadczenie – całkiem zresztą fałszywe – że Niemcy są sponsorem, a Polska beneficjentem pomocy, przypomina dawne spory z Sowietami, którzy także byli (i są) święcie przekonani, że przez 45 lat po II wojnie światowej utrzymywali niewdzięczne państwa satelickie. Prawda jest jednak taka, że transfery są obustronne i gdyby doliczyć do nich (a powinno się tak robić) wartość zysków i innych dochodów z własności wyprowadzanych przez zachodni kapitał z Polski, to okazałoby się, że oddajemy do Unii więcej pieniędzy, niż ich otrzymujemy. Słynny francuski ekonomista Thomas Piketty obliczył, że w latach 2010–2016 różnica na naszą niekorzyść pomiędzy tym, co dostaliśmy z Unii w ramach programów pomocowych, a tym, co oddaliśmy w postaci zysków z zainwestowanego tu kapitału, wynosiła aż 2 proc. PKB.

Warto to przypominać, aby nie nabrać się na fałszywe opowieści o dobrym niemieckim wujku, który za darmo rozdaje cukierki polskim dzieciom. Gdyby tak było, to po niedawnym odcięciu Polski od KPO nasza gospodarka musiałaby runąć. Tymczasem nie tylko nie runęła, lecz wręcz rozwija się szybciej niż niemiecka. Berlin nie jest naszym sponsorem i nie ma prawa decydować o kształcie ani o rozmiarach polskich inwestycji. Oczywiście to może się zmienić, jeśli wyborcy zdecydują się przekazać władzę w październikowych wyborach antypisowskiej opozycji. Na to zresztą liczą Niemcy, których politycy – z szefem Europejskiej Partii Ludowej Manfredem Weberem na czele – otwarcie nawołują do zmiany władzy w Polsce.

Im bliżej terminu wyborów, tym maski opadają coraz bardziej. Tu nie chodzi o demokrację, praworządność ani o ekologię, ale o kontrolę nad naszym regionem i o ekonomiczny interes Niemiec. O dużą kasę i o to, czy Polaków znowu będzie można doić tak jak kiedyś. Kto tego jeszcze nie zauważył, ten nie ma oczu. Albo rozumu.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Plan Manfreda Webera jest pomysłem na jego własne polityczne przywództwo w Europie. Silny PiS u władzy w Polsce w zasadzie przekreśla szanse na ten polityczny scenariusz

Weber kontra PiS: kwestia politycznego wroga

JAN ROKITA

Fot. Drop of Light / Shutterstock

Dobra niemiecka tradycja była taka, że tamtejsi politycy zwykli byli ze sporą ostrożnością odnosić się do spraw polskich. To zawsze różniło niemiecką politykę od niemieckich mediów, które nie tylko (zresztą jako jedyne w Europie) żywo interesują się tym, co się dzieje w Warszawie, lecz również dość łatwo same wdają się w wewnątrzpolskie polityczne batalie.

Oczywiście, gdy idzie o niemieckich polityków, zawsze zdarzały się wyjątki – jak choćby sławetna Katarina Barley, swego czasu socjalistyczna minister

eprasa.pl 7f2490a7a5

sprawiedliwości, publicznie postulująca „finansowe zagłodzenie Polski" – jednak reguła „lepiej publicznie nie krytykować Polski", motywowana historią II wojny światowej i rygorystycznie respektowana niegdyś przez kanclerz Merkel, była dotąd przestrzegana w szerokim obozie niemieckiej chadecji. A tacy chadeccy liderzy jak np. wybitny minister finansów Wolfgang Schäuble czy skonfliktowany przez lata z Merkel obecny szef partii Friedrich Merz zwykli w różnych materiach (zwłaszcza ekonomicznych) prawić Polsce wyłącznie komplementy albo stawiać nasz kraj za przykład dla europejskich południowców. Tak było np. podczas wielkiego kryzysu finansowego sprzed ponad dekady.

„DER POLITISCHE FEIND"

Manfred Weber radykalnie przełamał tę dobrą tradycję. I stał się pierwszym czołowym niemieckim politykiem, który w debacie publicznej mówi o „politycznym wrogu" po polskiej stronie. Jego nowy polityczny język, w jakim wypowiada się na tematy polskie, jest istotnie prowokacyjny. W czerwcu 2023 r. na łamach szanowanej i konserwatywnej „Frankfurter Allgemeine Zeitung" chyba po raz pierwszy użył wobec rządzącej w naszym kraju prawicy określenia „polityczny wróg" („der politische Feind"). A zastosowanie takiego terminu wobec największej demokratycznej partii w Polsce było – trzeba to przyznać – zupełnym novum w sposobie mówienia przez chadeków o naszym kraju. Zaskakującym, i to także w samych Niemczech.

Bo z perspektywy Niemiec to, czym Weber zaskakiwał każdego jako tako obznajomionego z tradycjami myśli politycznej, to przyjęcie na nowo do języka polityki terminologii dotąd w niemieckiej demokracji zakazanej, a wywodzącej się z myśli wybitnego skądinąd prawnika i teoretyka państwa hitlerowskiego – Carla Schmitta. W swoim sławnym dziele na temat „teologii politycznej" to właśnie Schmitt zdefiniował podstawową relację, jaka charakteryzuje politykę, za pomocą terminu „der politische Feind". Teorie Schmitta, choć popularne na polskich uniwersytetach, w RFN traktowane są z naturalną podejrzliwością. A już zwłaszcza nie przenikały dotąd do demokratycznej polityki.

Weber zresztą nie po raz pierwszy dokonuje takiego transferu politycznego języka państwa hitlerowskiego do opisu współczesności. W roku 2018, czyli trzy lata po „wielkim najściu" imigrantów na Niemcy, na zjeździe bawarskiej CSU (odbywającym się w pięknym benedyktyńskim klasztorze Seeon) stwierdził, że ten właśnie rok musi się stać czasem „ostatecznego rozwiązania przez Unię kwestii uchodźców". Użycie przez Webera w kontekście imigrantów terminu „die Endlösung" ściągnęło wtedy na niego potężną falę krytyki, przede wszystkim w jego partii. Choć też z drugiej strony nie przeszkodziło mu wcale w wygraniu jesienią tego samego roku na zjeździe międzynarodówki Europejskiej Partii Ludowej – i to olbrzymią większością – głosowania nad kandydaturą na lidera paneuropejskiej listy EPL w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Wtedy Weber walczył o pozycję przyszłego szefa Komisji Europejskiej, co – jak wiadomo – w końcu zawistna Merkel mu uniemożliwiła, skądinąd z czynną pomocą Francji i Polski.

Trudno przypuścić, aby ów transfer słownictwa, tak charakterystycznego dla politycznego języka III Rzeszy, był u bardzo inteligentnego polityka, jakim jest Weber, dziełem przypadku. To raczej zabieg taktyczny, za pomocą którego Weber od lat sygnalizuje swoim wyborcom, że nie boi się przełamywać językowej poprawności i szuka zwolenników pośród zdeklarowanych prawicowców. To stała taktyka tego polityka, choć z czasem wprowadza on do niej różne korekty. Na wspomnianym zjeździe CSU w klasztorze Seeon Weber był czołowym obrońcą radykalnie antyimigracyjnej polityki Viktora Orbána, ale kilka lat później uznał, iż pozycja węgierskiego premiera w EPL osłabła tak bardzo, że przyłączył się do zwolenników wyrzucenia Fideszu z chadeckiej międzynarodówki. Teraz z kolei Weber stoi na czele kampanii, która ma zdruzgotać ukochane ideologiczne dziecko jego partyjnej koleżanki, a zarazem szefowej Komisji Europejskiej, Ursuli von der Leyen – czyli program europejskiego Zielonego Ładu. To wszystko są elementy stałej taktyki Webera: zawsze znajdować jakiś powód, aby wyraźnie wychylić się na prawo od aktualnego chadeckiego głównego nurtu.

Weber oczywiście nie jest ani neonazistą, ani polakożercą. Warto pamiętać, że jako szef frakcji EPL w Parlamencie Europejskim był jednym z pierwszych niemieckich polityków nie tylko otwarcie sprzeciwiających się budowie niemiecko-rosyjskiej rury bałtyckiej, lecz także głosujących za zablokowaniem tej inicjatywy. Był to rok 2017 i nic wtedy nie wskazywało, że Merkel mogłaby porzucić ów projekt, który nazywała „czysto biznesowym". Niewykluczone zresztą, że to właśnie wtedy Weber „zaskarbił" sobie pamiętliwą niechęć pani kanclerz, przez którą w końcu miał utracić szanse na szefostwo Komisji Europejskiej.

„BUDOWANIE ZAPÓR OGNIOWYCH"

Teraz, kiedy parę dni temu wybuchła w Polsce polityczna afera z powodu kolejnego ataku Webera na PiS (tym razem przeprowadzonego w telewizji ZDF), polityk był już bardziej oględny w słowach niźli niedawno na łamach „FAZ". Znów zapowiadał, że PiS „będzie przez nas zwalczany", ale już nie jako polityczny wróg („der Feind"), tylko oponent albo przeciwnik („der Gegner"). A to już dużo lepiej mieści się w granicach językowej poprawności. Najwyraźniej chadeccy przyjaciele Webera zwrócili mu po cichu uwagę, aby nie kwalifikował już więcej polskiej polityki w kategoriach „schmittiańskiej" ideologii, bo to ma w Polsce absolutnie fatalny wydźwięk. Co zresztą i tak dla przedwyborczej propagandy PiS było bez znaczenia, bo skoro raz Weber powiedział o „wrogu", to cokolwiek mówiłby teraz, tamto przylgnęło już w naszym kraju do niego na zawsze.

Oczywiście Weber – tak samo jak większość polityków niemieckich, francuskich, hiszpańskich, holenderskich czy nawet brytyjskich – życzy jak najgorzej PiS-owi i z nadzieją czeka na polskie wybory oraz ponowne objęcie w Warszawie władzy przez Tuska. Zresztą cała Europa zawiesiła teraz wszelkie myślenie o zmianie polityki wobec Polski do czasu październikowych wyborów. Dopiero jeśliby PiS po nich utrzymał się przy władzy, rozpoczną się w europejskich gabinetach rządowych poszukiwania jakiegoś nowego „modus vivendi" w relacjach z Warszawą. Na razie wszyscy, na ile to możliwe,

eprasa.pl 7f2490a7a5

chcieliby jakoś pomóc Tuskowi, tyle tylko, że mało kto gotów jest mówić o tym tak otwarcie, jak czyni to Weber.

Dlatego to właśnie on stał się w pisowskiej propagandzie owym niemieckim arcyłotrem czy wręcz diabłem wcielonym, czyhającym na Polskę i polskich patriotów. Na użytek tej propagandy marketingowcy PiS-u zręcznie wymyślili nawet koncept tajnej „grupy Webera", która gdzieś w zakątkach gabinetów międzynarodówki EPL miałaby cały czas spiskować przeciw Polsce. Do pewnego stopnia tkwi za tym ironiczny paradoks. Gdy bowiem idzie o ideowe podstawy myślenia o polityce, to tradycyjny katolik Weber, który chciałby wysiedlać z Europy imigrantów do specjalnych obozów i utopić dużą część unijnego Zielonego Ładu, musi być zapewne dużo bliższy Jarosławowi Kaczyńskiemu od przygniatającej większości politycznych liderów współczesnej Europy.

Warto zresztą zdawać sobie sprawę z tego, że otwarta ingerencja w wybory ze strony partii politycznych i polityków innych krajów unijnych stała się w Europie praktyką najzupełniej normalną. To skutek wyrazistego pogrupowania się partii w europejskie „rodziny", które popierają się nawzajem i wspólnie zwalczają swoich ideowych oraz politycznych konkurentów. To bez wątpienia zresztą jeden z realnych dowodów na dziejącą się spontanicznie polityczną federalizację kontynentu. Wystarczy choćby przypomnieć intensywny udział socjalistycznego komisarza (i pewnie przyszłego premiera Niderlandów) Timmermansa w antypisowskiej kampanii lewicy przed poprzednimi polskimi wyborami, łącznie z jego mowami na wiecach Czarzastego i Biedronia. Albo całkiem niedawne wideo-orędzia, skierowane do wyborców hiszpańskich przez Jarosława Kaczyńskiego i Giorgię Meloni, przeciw hiszpańskiemu rządowi, a na rzecz stronnictwa Vox i jego przywódcy Santiago Abascala.

Rzecz jednak w tym, że Weber faktycznie posuwa się jeszcze dalej. Jego deklaracje nie są li tylko politycznym poparciem przedwyborczym dla Tuska czy Kosiniaka-Kamysza (a więc polskich członków jego „rodziny" EPP). Mowa w nich bowiem o „wrogości", „budowaniu zapór ogniowych" oraz „zwalczaniu" Prawa i Sprawiedliwości. I – co charakterystyczne – nie tylko PiS-u, bo polska partia rządząca występuje w nich zawsze w towarzystwie niemieckiej AfD oraz francuskiego Zjednoczenia Narodowego. Nie jest wcale trudno zidentyfikować powód, dla którego Weber z taką namiętnością wygłasza kolejne deklaracje na temat jego własnej prywatnej wojny z PiS-em, ani dlaczego w tych deklaracjach zawsze lokuje polską prawicę w takim właśnie towarzystwie.

> Weber stał się pierwszym czołowym niemieckim politykiem, który w debacie publicznej mówi o „politycznym wrogu" po polskiej stronie. Jego nowy polityczny język, w jakim wypowiada się na tematy polskie, jest istotnie prowokacyjny

PLAN WEBERA

Po tym, jak został pozbawiony posady szefa Komisji Europejskiej, choć jako lider listy EPL wygrał eurowybory roku 2019, Weber obecnie po raz drugi rozpoczął własną wielką grę. W efekcie kolejnych eurowyborów w 2024 r. miałaby owa gra wywrócić do góry nogami kształt organizacyjny unijnej centroprawicy, a samego Webera uczynić konstruktorem i przywódcą nowej „rodziny", która zdobyłaby hegemonię polityczną w Unii. W ten sposób mogłaby powrócić raz jeszcze kandydatura Webera na szefa Komisji, a w każdym razie stałby się on polityczną figurą trzęsącą całą unijną Europą. Rzecz w tym, że pośród kilku przeszkód takiego scenariusza bodaj najbardziej zawadza Weberowi właśnie PiS.

We Francji oraz w Europie partia Marine Le Pen jest izolowana i nie może dobić się do władzy, a to samo dotyczy niemieckiej AfD. Oba te stronnictwa pozostają zepchnięte na margines realnej polityki, choć ich demokratyczna pozycja w ich krajach ciągle rośnie. Inaczej jest z polskim PiS-em, italskimi Braćmi Włochami i czeskim ODS, które rządzą w swoich państwach i mają swoich premierów. Ci izolowani tworzą dziś „rodzinę" Tożsamość i Demokracja (ID), a ci mający premierów – „rodzinę" Konserwatystów i Reformatorów (EKR). Weber, wychylając się coraz mocniej na prawo, chce zlikwidować odrębność EKR i przyłączyć partie premierów Włoch (Meloni) oraz Czech (Fiali) do swojej rodziny EPL, ale przeszkadza mu w tym PiS, który jest dziś sojusznikiem Włochów i Czechów. O przyłączeniu Prawa i Sprawiedliwości Weber nawet nie może myśleć, gdyż miałby na pokładzie frontalny bunt Platformy Obywatelskiej pod wodzą Tuska. Musi więc rozbić „rodzinę" EKR, a do tego potrzebuje PiS-u przegranego w wyborach i izolowanego od władzy – czyli zepchniętego do roli takiej, jaką dziś mają francuskie Zjednoczenie Narodowe i niemiecka AfD.

Plan Webera jest przede wszystkim pomysłem na jego własne polityczne przywództwo w Europie. Stąd narastająca rywalizacja z von der Leyen i próba rozbicia jej Zielonego Ładu. Podobno w lipcu w Brukseli miała miejsce karczemna awantura pomiędzy szefową Komisji a Weberem podczas tajnej narady z udziałem komisarzy z EPL oraz przewodniczącej Parlamentu Europejskiego, Maltanki Roberty Metsoli. Ale jest to także plan rozbicia i osłabienia potencjalnych wpływów nowej alternatywnej prawicy, tak by nie zdołała ona stać się decydującą siłą przyszłego europarlamentu. Mocny PiS u władzy w Polsce w zasadzie przekreśla szanse na ten – i tak dość karkołomny – polityczny scenariusz.

I to właśnie ta taktyczna rozgrywka o władzę w Europie sprawia, że w Manfredzie Weberze, który na pozór mógłby być ideowym sojusznikiem polskiej prawicy, ma ona jednak naprawdę zdeterminowanego politycznego wroga.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Oddali hołd walczącym o Polskę

W miniony wtorek, 1 sierpnia zakończyła się kolejna edycja programu Zwiastun – jednego ze sztandarowych projektów Polskiej Fundacji Narodowej, w którym udział biorą żołnierze Batalionowej Grupy Bojowej NATO z Bemowa Piskiego. W jej skład wchodzą żołnierze z USA, Wielkiej Brytanii, Chorwacji i Rumunii, dla których udział w Zwiastunie stanowi niepowtarzalną okazję do zapoznania się z polską historią, kulturą oraz tradycją. Tym razem cel edukacyjnego wyjazdu stanowiła Warszawa i jej okolice.

– Program Zwiastun to największy projekt edukacyjno-historyczny dedykowany dla żołnierzy NATO w Europie Środkowej i Wschodniej. Kadra oficerska i żołnierze NATO potrzebują konkretnego wsparcia w zakresie edukacji historycznej i naturalnym jest, że w państwach, w których rezydują, organizowane są właściwe działania edukacyjne. PFN stanowi podstawową polską organizację trzeciego sektora, która podjęła to wyzwanie. Wspólnie wypracowaliśmy przez sześć lat formułę edukacyjnej współpracy, która się sprawdza i kształtuje wzajemne zaufanie – powiedział dr Marcin Zarzecki, prezes Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

1 sierpnia to wyjątkowa data dla każdego warszawianina, związana z jednym z najbardziej krwawych, a zarazem najbardziej wzruszających wydarzeń w polskiej historii – powstaniem warszawskim. Nic zatem dziwnego, że główny motyw przewodni odbywającego się w dniach 29 lipca – 1 sierpnia Zwiastuna, związany był właśnie ze stołecznym zrywem niepodległościowym.

– Trwający ponad 6 lat projekt Zwiastun na trwałe zakorzenił się w przestrzenni publicznej, także podczas ważnych uroczystości, jak było teraz w Warszawie, podczas obchodów 79. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Obecność Żołnierzy NATO, szczególnie teraz, gdy trwa rosyjska agresja na Ukrainę, ma swój dodatkowy wymiar, podkreśla nasze bezpieczeństwo. Cieszę się, że mogę uczestniczyć w tym projekcie od jego początku i trwale towarzyszyć kolejnym grupom młodych żołnierzy – podkreślił Cezary Andrzej Jurkiewicz, członek Zarządu PFN.

Pierwszy punkt na trasie stanowił cmentarz w Kiełpinie, gdzie uczestnicy wyjazdu złożyli kwiaty pod pomnikiem amerykańskich lotników, upamiętniającym załogę samolotu zestrzelonego 18 września 1944 r. nad Dziekanowem Leśnym, gdy niósł pomoc walczącej Warszawie. Z Kiełpina goście udali się do jednego z najbardziej niezwykłych miejsc Warszawy – Muzeum Powstania Warszawskiego, gdzie pośród unikalnych zbiorów, zaklęta została cała dramaturgia powstańczego zrywu, okrucieństwo okupanta, tragizm walki oraz heroiczna postawa Powstańców. W trakcie trwającego cztery dni wyjazdu goście mieli także okazję m.in. zapoznać się z bogactwem dzieł kultury zgromadzonych w Pałacu w Wilanowie, poznać historię odrodzonej Polski w Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku czy oddać hołd jej obrońcom z 1920 r., spoczywającym w Ossowie. W planie znalazła się również wizyta w Izbie Pamięci Generała Kuklińskiego oraz zwiedzanie warszawskiej Starówki. Ostatniego dnia na trasie wyprawy znalazło się Muzeum Błogosławionego ks. Jerzego Popiełuszki oraz położony przy ul. Wolskiej Cmentarz Powstańców Warszawy. Najmocniejszym akcentem tej edycji projektu był udział żołnierzy Batalionowej Grupy Bojowej NATO oraz Zarządu Polskiej Fundacji Narodowej w symbolicznej godzinie „W" oraz uroczystościach przy pomniku Gloria Victis na cmentarzu wojskowym na warszawskich Powązkach. Wojskowi z USA, Chorwacji, Wielkiej Brytanii i Rumunii złożyli kwiaty i oddali hołd Powstańcom poległym w 1944 roku.

– Naczelnym zadaniem i jednocześnie wyzwanie projektu Zwiastun jest intencja aktywnego dialogu ze stacjonującymi w Polsce kadrą oficerską i żołnierzami sił NATO. W przypadku tej inicjatywy konieczne jest kształtowanie relacji bazującej na źródłach tożsamości polskiej wspólnoty narodowej. Program Zwiastun z sukcesami buduje nie tylko platformę wymiany wzajemnych relacji, ale przede wszystkim pozytywną świadomość na temat Polski wśród oficerów Grupy Batalionowej NATO – dodał Michał Góras, wiceprezes zarządu Polskiej Fundacji Narodowej.

Artykuł sponsorowany | 16/0223/F

eprasa.pl 7f2490a7a5

Nikt nie zrobił dla demografii więcej niż rząd PiS

Przeciwnicy rządu chętnie mu zarzucają, że wprowadzone programy społeczne nie zmieniły sytuacji demograficznej Polski, ale żaden rząd nie zrobił tyle, co ten, by uchronić kraj przed demograficzną zapaścią. Wydane na poprawę losu rodzin pieniądze były poza tym inwestycją, a przy nagonce liberalnych mediów na rodzinę, podbijającej zmiany kulturowe, trudno się dziwić, że dzietność nie rośnie

DOROTA ŁOSIEWICZ

Polaków faktycznie rodzi się mniej. Efekt wzrostu urodzeń można było odnotować w pierwszych latach po wprowadzeniu programu Rodzina 500+. W przyszłym roku nowe świadczenie, czyli 800+, będzie wypłacone na ok. 100 tys. dzieci mniej niż w 2016 r., gdy program startował. To efekt spadku liczby urodzeń w ostatnich latach. Od 2020 r. wynosił on ok. 20 tys. rok do roku. Wskaźnik dzietności w Polsce w roku 2022 wyniósł 1,38.

– Jest wiele czynników, które wpływają na to, że aspiracje Polaków dotyczące idealnej rodziny pozostają niespełnione. W Europie znajdujemy się w gronie krajów o najwyższym wskaźniku bezdzietności. W Polsce prawie co czwarta kobieta w wieku 40 lat nie posiada dziecka. Gdyby miały one tyle dzieci, ile deklarują, że chciałyby mieć, wówczas zbliżalibyśmy się do wskaźnika dzietności na poziomie 2.0. W badaniach naukowych podejmowany był temat powodów bezdzietności. Okazuje się, że tylko dla ok. 10 proc. kobiet z tej grupy to kwestia życiowego wyboru. Większość za powód podawała niemożność znalezienia odpowiedniego życiowego partnera i kwestie zdrowotne. I to są główne powody niskiej dzietności w naszym kraju – tłumaczył mi w jednym z wywiadów Michał Kot, dyrektor Instytutu Pokolenia.

MARZENIE O RODZINIE

Z badań wynika, że szczęście rodzinne jest dla Polaków najważniejszą wartością w życiu. Aż 80 proc. badanych wskazuje, że to rodzina daje szczęście (CBOS 2019). W dalszej kolejności: zdrowie (55 proc.), spokój (48 proc.), grono przyjaciół (45 proc.), szacunek innych ludzi (42 proc.). To potwierdza, że człowiek jest istotą relacyjną, potrzebującą innych osób wokół siebie. Relacje, zwłaszcza z najbliższymi, są dla nas ważniejsze niż bogactwo i dobrobyt (9 proc.), wykształcenie (10 proc.) czy praca zawodowa (36 proc.), rodzina zaś jest szkołą budowania relacji międzyludzkich.

A o jakiej rodzinie marzą Polacy? Zdaniem prawie połowy respondentów (46 proc.) idealna liczba dzieci w rodzinie to dwoje, a co piąty badany (22 proc.) twierdzi, że troje dzieci. 41 proc. Polaków przyznaje, że ma mniej dzieci, niż chciałoby mieć. Jedynie co 14. osoba (7 proc.) w ogóle nie myśli o rodzicielstwie. Średnio Polacy chcieliby mieć 2,28 dziecka (CBOS 2022). Podsumowując: idealna rodzina dla przeciętnego Polaka to rodzice, dwójka dzieci, domek na przedmieściu i pies.

– Program 500+ spowodował duży wzrost urodzeń drugich, trzecich i kolejnych dzieci. Nie wpłynął jednak na liczbę urodzeń pierwszych. A żeby rodziły się w rodzinie kolejne dzieci, najpierw musi się urodzić to pierwsze dziecko. Spadek pierwszych urodzeń jest spowodowany głównie czynnikami społeczno-kulturowymi, a nie ekonomicznymi. Program 500+ zadziałał, bo podniósł dzietność tam, gdzie mieliśmy do czynienia z czynnikami materialnymi, ale nie mógł wpłynąć na inne powody – tłumaczył mi Michał Kot.

ZMIANY KULTUROWE

Wielkim problemem okazuje się np. luka edukacyjna między kobietami a mężczyznami. Chodzi o różnicę w odsetku osób z wyższym wykształceniem wśród kobiet i mężczyzn. W Polsce ponad 4,6 mln kobiet ma wyższe wykształcenie z tytułem magistra lub równorzędnym. Jeśli chodzi o mężczyzn, są ich niespełna 3 mln.

– Jednocześnie wiemy, że w przypadku doboru życiowego partnera kobiety szukają mężczyzn o podobnym lub wyższym statusie społecznym. To zwyczajnie oznacza, że brakuje panów, którzy spełnialiby oczekiwania pań. Z wykształceniem wiąże się sposób spędzania wolnego czasu i określony styl życia. Kobiety, które wyjeżdżają na studia i zostają później w dużych aglomeracjach, mają inne zainteresowania, rozrywki i przyzwyczajenia niż mężczyźni, którzy zostają w małej miejscowości i kończą edukację na poziomie średnim lub zawodowym. Mimo że w ostatnich latach różnice zarobków pomiędzy największymi miastami a resztą Polski zmniejszyły się i mężczyźni często uzyskują przychody porównywalne z zarobkami koleżanek z wyższym wykształceniem, to jednak ich status społeczny jest postrzegany jako niższy, a zatem światy młodych kobiet i młodych mężczyzn niejako się rozchodzą – uważa dyrektor Instytutu Pokolenia.

W Polsce różnica między wykształconymi kobietami i mężczyznami wynosi ok. 20 punktów procentowych. W innych krajach jest ona mniejsza. Na przykład w Czechach to ok. 10 pp. Ale także tam ta przepaść się pogłębia. Zresztą Czechy są często wymieniane jako przykład państwa, któremu udało się pokonać negatywny trend dotyczący spadku dzietności. Dużą rolę odegrały tam czynniki pozaekonomiczne. Wiele krajów europejskich na przełomie wieków osiągało dobre wyniki demograficzne, które zbudowane były na przeświadczeniu, że urodzenie i wychowanie dziecka nie powinno kolidować z pracą zawodową. – Czesi przyjęli inne założenia. Zaczęli się zastanawiać, co zrobić, aby praca zawodowa w jak najmniejszym stopniu kolidowała z budowaniem więzi rodzinnych i wychowaniem dzieci. Inaczej rozłożyli akcenty. Wbrew pozorom rodzina i dzieci są tam bardzo cenione. Niemal połowa Czechów (48 proc.) zgadza się z opinią, że posiadanie i wychowywanie dzieci jest obowiązkiem wobec społeczeństwa. W Polsce zaledwie 22 proc. obywateli wyraża dla tej opinii aprobatę, a aż 55 proc. ma przeciwny pogląd (w Czechach jedynie 1/5). Zatem praca rodziców polegająca na wychowaniu dziecka jest dużo bardziej doceniana w Czechach niż w Polsce. Kobiety mają więc tam poczucie, że kiedy zawieszają na kilka lat pracę zawodową, żeby zająć się potomstwem, robią coś, co jest tak samo ważne jak praca zawodowa, a może nawet ważniejsze. Po drugie, nie spotykają się z negatywnym odbiorem społecznym, z negatywnymi komentarzami sprowadzającymi się do tego, że rodzice, którzy rezygnują z pracy, by wychowywać dzieci i z tego tytułu dostają świadczenia społeczne, żyją na koszt reszty społeczeństwa. W Czechach takiej narracji po prostu nie ma. W Polsce była szczególnie silna przy wprowadzaniu 500+ – tłumaczy dyrektor Kot.

CZARNY PR

Zresztą czarny PR rodzicielstwa i rodziny w mediach liberalnych trwa od lat. Za to w najlepsze idzie promowanie „nowego, lepszego świata". Bez tradycji i bez rodziny. Od dawna para się tym „Gazeta Wyborcza". Czego tam nie było? Było już promowanie świeckiej komunii, tortów rozwodowych z krwawymi zwłokami męża, poliamorii czy sex-workingu. W „nowym, lepszym świecie" „Wyborczej" tradycyjna rodzina jest passé. Po prostu przeżytek i udręka. Jaka jest więc rodzina idealna według „GW"? Poznaliśmy ją w tekście „Dwa plus psiecko", który po raz pierwszy został opublikowany na początku marca tego roku w „Dużym Formacie". „Dwa plus psiecko. Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie: Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni" – relacjonowała historię „rodziny międzygatunkowej" Oktawia Kromer. „Miłość psa czy kota jest bezinteresowna przez całe życie, a dziecka tylko do pewnego momentu. Zwierzęta nie zaczną się kłócić o spadek czy dom po rodzicach" – przekonywała jedna z bohaterek tekstu. Prawdziwe dzieci i ich rodzice są „Wyborczej" nie w smak. „W kościołach, restauracjach, na plaży... Ja też już mam serdecznie dość wrzeszczących dzieci. Chociaż czasem już sama nie wiem, czy bardziej działają mi na nerwy dzieci, które nie potrafią się zachować, czy rodzice,

Fot. Shutterstock

prasa.pl 7f2490a7a5

którzy mają wszystko gdzieś i nie reagują kompletnie na nic. Szczególnie da się to odczuć podczas wakacji, w nadmorskich kurortach. Ludzie, weekend czy wakacje nie zwalniają od ich wychowywania!" – można było przeczytać kilka dni temu żale czytelniczki w liście do redakcji „GW".

I jeszcze szczypta aktualnej antypromocji ze świata kultury. „Coś nieprawdopodobnego, że kobiety stały się jakąś podludzką istotą. Ja to widzę, słyszę, czytam, od Indii, po Afrykę, przez Polskę. Brak szacunku dla kobiet. Dla kobiet, które rodzą tych wojowników piep..., którzy potem wykorzystują kolejne matki, kolejne córki. Ja naprawdę czasami mam ochotę powiedzieć: nie rodźcie tych dzieci, niech sobie sami je, k..., urodzą!" – grzmiał satyryk Jerzy Kryszak na imprezie Jerzego Owsiaka Pol'and'Rock Festival (dawniej Przystanek Woodstock).

INWESTYCJA W RODZINĘ

Nie ma wątpliwości, że obecny rząd zrobił dla demografii więcej niż którykolwiek inny. Wreszcie mamy spójną politykę prorodzinną obejmującą programy społeczne, ulgi podatkowe, rozwój infrastruktury żłobkowej czy ułatwienia dla kobiet wracających na rynek pracy. Powstała też Strategia Demograficzna 2040, czyli pierwszy w Polsce kompleksowy dokument mierzący się z niekorzystnymi trendami w obszarze demografii. Strategicznym celem SD 2040 jest wyjście z pułapki niskiej dzietności i zbliżenie się do poziomu dzietności gwarantującego zastępowalność pokoleń. Tylko w 2022 r. na działania związane ze wsparciem rodzin, a więc także ułatwiające życie kobietom, w ramach różnego rodzaju programów wydatki budżetu państwa wyniosły ok. 86 mld zł. Od uruchomienia programu 500+ w kwietniu 2016 r. na wsparcie rodzin wydano już 202,3 mld zł.

Eksperci są przekonani, że środki, które rząd przeznaczył na wsparcie rodzin, to dobrze wydane pieniądze. Prof. UAM dr hab. Michał A. Michalski zauważył, że inwestując w rodziny, rząd PiS dokonał swoistej rewolucji kopernikańskiej. – Można to zobrazować następująco: spójrzmy na funkcjonowanie państwa jak na autobus, który ma dowieźć swych pasażerów bezpiecznie do celu, a tym autobusem kieruje rząd. W pojeździe trzeba rozdzielić miejsca pomiędzy różne grupy społeczne, zawodowe, instytucje czy różne obszary funkcjonowania państwa. Dotychczas rządy sadzały rodzinę najczęściej gdzieś z tyłu, dodatkowo rozdzielając jej członków – starszych ludzi czasami dostrzegano i sadzano na lepszych miejscach, niepełnosprawnych gdzieś na końcu, a rodziców z dziećmi tam, gdzie akurat zostało jakieś wolne miejsce. Tymczasem obecny rząd zauważył rzecz zasadniczą – że to właśnie rodzina jest silnikiem tego autobusu, a bez silnika, o który trzeba dbać i który musi być w dobrej kondycji, autobus nigdzie nie dojedzie. Z tej właśnie filozofii wzięły się inwestycje w rodzinę – tłumaczy prof. Michalski.

Eksperci są przekonani, że środki, które rząd przeznaczył na wsparcie rodzin, to dobrze wydane pieniądze. Prof. UAM dr hab. Michał A. Michalski zauważył, że inwestując w rodziny, rząd PiS dokonał swoistej rewolucji kopernikańskiej

O tym, że inwestycja w rodzinę w postaci programów społecznych opłaca się państwu, przekonany jest prof. Zbigniew Krysiak, przewodniczący Rady Programowej Instytutu Myśli Schumana. – By to wyjaśnić, trzeba prześledzić, jak działają środki i wsparcie kierowane do rodzin. I mam tu na myśli wszystkie instrumenty polityki prorodzinnej, do których należy także Rodzinny Kapitał Opiekuńczy czy wzrost miejsc w żłobkach. Wygląda to tak: wygenerowane środki lokujemy w instrumenty skierowane do rodzin. Te pieniądze nie są „wyrzucane w błoto", tylko są pożytkowane na zakupy produktów i usług. Większość rodzin zachowuje się racjonalnie i pieniądze idą w dobra podstawowego użytku, nie w dobra luksusowe. Te zakupy są głównie dokonywane u polskich drobnych, małych i średnich wytwórców. Strumień pieniądza w zdecydowanej większości trafia do polskich przedsiębiorstw, nie jest więc transferowany do zachodnich korporacji (tylko w pewnej części). To znaczy, że większość pieniądza pozostaje w kraju. Przy zakupach z importu pieniądz wypływa. Ten strumień, który pozostaje, przekłada się na wzrost przychodów firm, które wymieniłem. A zatem rosną ich zyski, więc mogą one zwiększać swoje moce produkcyjne, zwiększają skalę działalności. To zaś znaczy, że muszą zatrudniać więcej osób. Widać to wyraźnie szczególnie na poziomie gmin, powiatów, gdzie dominują mikro, małe i średnie przedsiębiorstwa. Często właścicielami niewielkich lokalnych firm są członkowie gospodarstw domowych, rodzin. I tak powstaje dźwignia ekonomiczna na skutek rosnącego obrotu gospodarczego. Ten natomiast przekłada się na wzrost dochodów budżetu państwa: i z podatku VAT, i z podatku dochodowego. Ten wzrost nie jest wyłącznie wynikiem ukrócenia mafii VAT-owskich, lecz także procesu, który opisałem. To wszystko widać w liczbach. Należy podkreślić, że przy zmniejszeniu stawek podatku dochodowego dla osób fizycznych i CIT dla przedsiębiorstw silnie wzrosły dochody budżetu państwa. To kolejny dowód na istnienie opisanego przeze mnie mechanizmu. W Polsce w ostatnich latach silnie rosła średnia płaca roczna w stosunku do PKB per capita. Pod tym względem przez lata byliśmy na miejscach poniżej 20. w Europie, a teraz przesunęliśmy się na pozycję 10. Jesteśmy zaraz za najsilniejszymi gospodarkami: Niemcami, Francją, Holandią. Co to oznacza? Otóż to, że coraz większa część produkcji w gospodarce przekształca się w płace. To zaś znaczy, że kapitały gospodarstw domowych rosną i rośnie zamożność – uważa prof. Krysiak.

Rząd PiS zrobił wiele, by wyciągnąć Polskę z pułapki demograficznej. Czy jednak uda się pokonać zmiany kulturowe? To już leży w rękach Polaków.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Musimy dbać o wodę.
Ruszają dotacje na przydomowe systemy zbierania deszczówki

Program „Moja Woda" ma pomóc w łagodzeniu skutków suszy i przeciwdziałaniu podtopieniom budynków w Polsce. Właściciele domów jednorodzinnych otrzymują dotacje na budowę przydomowych instalacji zatrzymujących deszczówkę

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej (NFOŚiGW) właśnie rozpoczął trzecią edycję programu. Za pośrednictwem funduszy wojewódzkich można otrzymać do 6 tys. zł dotacji na utworzenie na swoich nieruchomościach systemów zatrzymywania wód opadowych.

Program „Moja Woda" pomaga chronić polskie zasoby wody przez zwiększanie retencji przy budynkach jednorodzinnych oraz gospodarczych i wykorzystywanie zgromadzonej w ten sposób wody opadowej i roztopowej. Drogą do osiągnięcia tego celu jest udzielanie osobom fizycznym (gospodarstwom domowym) dofinansowania na budowę przydomowych systemów małej retencji na terenie prywatnej posesji.

Anna Moskwa, minister klimatu i środowiska

– Musimy dbać o zasoby wody. Podstawowym założeniem programu „Moja Woda" jest zatrzymanie jak najwięcej wody opadowej do ponownego użycia w przydomowym ogródku. Dodatkowo program ten ma cel edukacyjny. Każdy z nas może przyczynić się do zwiększenia poziomu retencji wody i tym samym przeciwdziałać skutkom suszy. To jedno z kluczowych wyzwań ekologicznych, które zapisaliśmy w rządowych strategiach i planach – podkreśla minister klimatu i środowiska Anna Moskwa.

NFOŚiGW realizuje program „Moja Woda" we współpracy z funduszami wojewódzkimi. Właścicielom lub współwłaścicielom nieruchomości z domem jednorodzinnym przekazuje dofinansowanie na instalacje, które pozwalają zatrzymywać deszczówkę w obrębie nieruchomości. Dzięki temu wody opadowe lub roztopowe z posesji nie są odprowadzane poza jej teren (np. do kanalizacji sanitarnej lub deszczowej albo do rowów odwadniających czy na sąsiadujące tereny, ulice i place), lecz służą do nawadniania, podlewania roślin w ogrodach oraz do innych celów bytowych i gospodarczych.

W ramach programu „Moja Woda", do którego 3 sierpnia ruszył nabór, można będzie uzyskać dotację w wysokości 6 tys. zł, która obejmuje do 80 proc. kosztów kwalifikowanych przedsięwzięcia służącego przydomowej retencji. Pieniądze z NFOŚiGW należy przeznaczyć na zakup komponentów, które są trwałą częścią systemu nawadniania czy innego wykorzystywania wód opadowych oraz na koszty adaptacji elementów już istniejących.

W zakres inwestycji wchodzą zakup, montaż, budowa i uruchomienie instalacji do zbierania wód opadowych, gromadzenia deszczówki w zbiornikach i tzw. oczkach wodnych, retencjonowania w gruncie i na dachach oraz wykorzystywania zebranej wody z pomocą pomp, przewodów, filtrów, zraszaczy i innych urządzeń.

Ogłoszona w 2020 r. pierwsza edycja programu „Moja Woda" cieszyła się ogromną popularnością wśród Polaków. Podobnie było w 2021 r. Pierwszy budżet programu opiewał na 100 mln zł, a na drugą edycję programu MKiŚ skierowało już ponad 136 mln zł.

– Ogromne zainteresowanie, z którym spotkały się dwa poprzednie nabory w programie „Moja Woda" było dla nas jednoznacznym sygnałem, że ten projekt należy kontynuować – zaznacza wiceprezes Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej Sławomir Mazurek. – Uruchamiając trzecią edycję „Mojej Wody", reagujemy na społeczne zapotrzebowanie, a zarazem konsekwentnie realizujemy strategiczny cel, czyli minimalizowanie skutków suszy w Polsce i racjonalne wykorzystywanie skarbu natury, za który śmiało możemy uważać wodę – dodaje wiceprezes NFOŚiGW.

Rząd przeznaczył ze środków krajowych na dwie dotychczasowe edycje programu 236 mln zł. Zrealizowane już inwestycje pozwalają na zgromadzenie i zagospodarowanie na terenie prywatnych nieruchomości ok. 2,5 mln m^3 wód opadowych (i roztopowych) rocznie. Trzeci nabór sprawi, że wartość ta orientacyjnie może wzrosnąć o kolejne 1,2 mln m^3 deszczówki, która zostanie wykorzystana przez właścicieli domów jednorodzinnych do wspomagania walki z suszą i lokalnymi podtopieniami.

Celem rządowego programu jest zbudowanie 67,6 tys. przydomowych instalacji retencyjnych i zagospodarowanie wody opadowej i roztopowej w ilości 3,38 mln m^3 rocznie.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska

NARODOWY FUNDUSZ OCHRONY ŚRODOWISKA I GOSPODARKI WODNEJ

Artykuł sponsorowany | 7/0823/F

Fot. Ministerstwo klimatu i środowiska

eprasa.pl 7f2490a7a5

Drugi tom i drugi atak

Ukazał się drugi tom podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego do przedmiotu historia i teraźniejszość. Ataki są mniejsze niż przy pierwszej części, ale równie absurdalne. Niech nam jednak nagonka mainstreamu nie przysłoni szczególnych wartości tej publikacji

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Przypomnijmy, że rok temu, gdy Donald Tusk opowiadał o podręczniku profesora Roszkowskiego... popłakał się. Na spotkaniu z wyborcami mówił: „Czarnek wymyślił taki podręcznik, który ma uczyć nasze dzieci historii i teraźniejszości. Tam jest wiele bardzo dziwnych, czasami strasznych tez. Dzisiaj odkryłem maluteńki rozdział o dzieciach in vitro. W tym podręczniku Czarnek i jego współpracownicy zamieścili takie słowa, że dzieci z in vitro to jest hodowla ludzi" – stwierdził. Przy następnych słowach teatralnie załamał głos, a oczy zaszkliły mu się łzami: „Już dzisiaj w każdej polskiej szkole jest jakieś dziecko z in vitro, kochane przez rodziców, przez dziadków. I to dziecko dostanie do ręki podręcznik i przeczyta w tym podręczniku, że jest dzieckiem z hodowli, którego nikt nie kocha". Publika biła brawo. To właśnie od tamtego momentu książka profesora stała się celem histerycznej nagonki.

„Zostałem wykorzystany do celów politycznych" – komentował ze spokojem Roszkowski. Chodziło o to, że Platforma Obywatelska gra na najczulszych strunach ludzkich emocji i chce przekonać Polaków, że obóz rządzący krzywdzi dzieci, kobiety i polskie rodziny. Przy czym fragment o in vitro Tusk ordynarnie zmyślił.

MISTYFIKACJA TUSKA

Autor podręcznika pisał o tym, że dziś można mieć dziecko bez współżycia z ukochaną partnerką, a przecież surogacja jest problemem znanym i zwalczanym. O „hodowaniu człowieka" pisał też Aldous Huxley, nawet w filmie „Seksmisja" poruszano problem rozmnażania się ludzi w przyszłości! „Coraz bardziej wyrafinowane metody odrywania seksu od miłości i płodności prowadzą do traktowania sfery seksu jako rozrywki, a sfery płodności jako produkcji ludzi, można powiedzieć hodowli". Gdzie tu jest temat in vitro, panie Tusk? Mistyfikacje to mocna strona bezkarnego, liberalnego mainstreamu.

Atmosfera była jednak tak pełna fałszu, że jeden z opozycyjnych aktywistów, Kamil Mieszczankowski, złożył pozew o naruszenie dóbr osobistych jego córki, która – jak przekonuje – została poczęta metodą in vitro. Ta historia ma ciekawy ciąg dalszy. W procedurach sądowych dla tej sprawy wylosowano sędziego Waldemara Żurka, który znany jest ze swojego antyrządowego zaangażowania.

IGNORANCI ATAKUJĄ

Atak na podręcznik Roszkowskiego to tylko temat zastępczy, by przekonać o zacofaniu oraz autorytaryzmie Prawa i Sprawiedliwości. Nietrafiony jest argument, że przedmiot historia i teraźniejszość ma wychować wyborcę PiS-u (sugerowała tak np. „Krytyka Po-

eprasa.pl 7f2490a7a5

lityczna"), bo przecież edukacja to projekt na całe pokolenia, a nie na wybory parlamentarne, które odbędą się za dwa miesiące.

Krytyka mediów często jest infantylna, niezgrabna, robiona z cenzorskiego obowiązku. „Między innymi filmy, »Pasja« został tutaj przedstawiony i ujęty, obok takich, które się autorowi nie podobały, ten akurat się podobał" – komentuje nieskładną polszczyzną prezenterka stacji TVN24. Znowu drwina – nie rzecz w guście autora, ale w nakreśleniu zjawiska, że w dzisiejszej kulturze znika głębsza treść, zastępowana przez „stale przesuwaną granicę przyzwoitości". Mowa o seksie, śmierci oraz przemocy i w kontrze do tego nurtu Roszkowski podaje dzieła, które odniosły sukces komercyjny, zachowując ponadczasowe przesłanie. „W dziedzinie filmu »Misja« Rolanda Joffé czy »Pasja« Mela Gibsona. Wspaniałą alegorię osoby i społeczeństwa stworzył Robert Zemeckis w filmie »Forest Gump« z Tomem Hanksem w roli głównej". Na takie oczywiste sformułowania salony biją na alarm.

DYLEMATY AUTORA

Ta nagonka ma właśnie jednak i ten skutek, że czytelnicy Roszkowskiego, zamiast skupić się na samych wartościach podręcznika, prowokowani są do obrony książki. Tymczasem tom drugi dotyczy lat 1980–2015 i wprowadza nas zarówno w historię Solidarności, jak i referuje rządy Donalda Tuska oraz Waldemara Pawlaka. Fragmenty z obfitą faktografią przeplatają się z osadzaniem wydarzeń w szerszym kontekście historycznym, społecznym czy politycznym.

Stawiane są egzystencjalne pytania o podmiotowość narodu polskiego. Roszkowski przedstawia np. dylemat, z którym mierzą się wszyscy politycy stojący na czele państwa. „Mamy w Polsce wiele problemów nie tylko z uzgodnieniem sposobów realizacji dobra wspólnego [...], ale nawet z określeniem, czym ono naprawdę jest" – pisze historyk, a nauczyciel w szkole średniej mógłby przedstawiać zupełnie odmienne podejścia poszczególnych rządów do polityki zagranicznej, bezpieczeństwa energetycznego, utrzymania armii. „Mamy więc problem z właściwą miarą swoich ambicji narodowych. Z jednej strony mamy sny o potędze, z drugiej pamięć o klęskach. Wiemy, jak trudno jest o równowagę w naszym położeniu geopolitycznym. Znamy ten problem od XVIII wieku, wiemy, jak skończyła się Konstytucja 3 maja, jakie skutki przyniosły powstania narodowe lub II wojna światowa". Tu pojawiło się zagadnienie szeroko dyskutowane wśród elit i spiskowców ostatnich 250 lat – na ile Polska może sobie pozwolić? Raz jesteśmy regionalnym mocarstwem, a raz znikamy z map Europy. Profesor pyta więc dalej: „Czy jednak dobrym rozwiązaniem jest stałe czołganie się u nóg wielkich tego świata? Czyż nie powinniśmy szukać szans na poprawę pozycji Polski w świecie, czy mamy z góry wmawiać sobie, że się nie uda? Przecież od małych nawet sukcesów na tej drodze zależy nasze wspólne bezpieczeństwo. Czy mamy siać anarchię, pchać kij w szprychy tym, którzy szukają tych szans?".

> Podręcznik prof. Roszkowskiego jest klasyczny nie tylko w treści, lecz i w formie. Gani wiele współczesnych trendów i sam im nie ulega

TRZY WYJĄTKOWE CECHY

Nie sposób referować ujęcia wszystkich złożonych procesów współczesności, ale warto podkreślić jeszcze trzy płaszczyzny, które czynią podręcznik wyjątkowym.

Pierwsza jest oczywista – to nonkonformizm autora. Zważywszy na to, że w innych pracach dla szkół średnich autorzy kłaniają się modom, porównując np. Gretę Thunberg do Joanny d'Arc albo jako źródła historyczne podają teksty z „Gazety Wyborczej", Roszkowski referuje najnowszą historię według najważniejszych procesów dziejowych, np. komunizm, przewagi ekonomiczne Zachodu, kryzys duchowości (i próby przezwyciężania go przez Jana Pawła II), a w Polsce zmagania z dziedzictwem PRL i meandry transformacji. Autor nie winduje chwilowych mód do rangi ponadczasowych aksjomatów.

I tu pojawia się drugi powód wyjątkowości podręcznika – tworzenie tej pracy już po napaści Rosji na Ukrainę pozwala jednoznacznie ocenić wcześniejszą politykę Europy czy USA wobec Moskwy – zwłaszcza Gazociąg Północny czy wiara w demokratyzację i oswojenie Kremla są tutaj jasno zweryfikowane. Zwróćmy więc uwagę – dzieje najnowsze są tu doprowadzone do 2015 r., ale nie udają, że nie widać ich skutków w roku 2023. Skutków oczywistych, lecz ze strachem wspominanych przez intelektualny mainstream III RP.

Jest jeszcze trzecia sprawa, która wyróżnia książkę – linearność narracji. Otóż we współczesnych pracach dla młodzieży dla urozmaicenia przekazu dodaje się wiele przykuwających wzrok gadżetów, ilustracji, kolorowych infografik. Ma to pomóc w nauce temu pokoleniu, które nieustanie potrzebuje nowych bodźców, bo internet przeformatował młodym ludziom sposób myślenia. Prof. Andrzej Zybertowicz postawił ostatnio takie zagadnienie dotyczące szkół: „Uważa się współcześnie, że jeśli nie »zgamifikujemy« procesu edukacji, tj. nie włączymy jej w perspektywę gry, to nie będziemy w stanie przekazać młodym ludziom pewnej wiedzy". Słowem: bez dużej ilości kolorów, obrazków i wizualnych sztuczek (najlepiej związanych z internetem) młode pokolenie nie da rady skupić się na treści i przyswoić nowych informacji.

Podręcznik Roszkowskiego jest zatem klasyczny nie tylko w treści, lecz i w formie. Gani wiele współczesnych trendów i sam im nie ulega. Z drugiej strony książka staje się dla uczniów wyzwaniem większym, bo bardziej wymagającym. Ale czy właśnie nie o to chodzi w poważnej edukacji?

eprasa.pl 7f2490a7a5

Trzeba przyznać, że opozycji udaje się narzucać niemające fundamentalnego znaczenia, chwilowe, przemijalne tematy, wokół których chciałaby budować kampanię wyborczą. Na dodatek Zjednoczona Prawica pod wpływem mediów i opozycyjnej propagandy zdaje się wycofywać z tych, które są niezwykle istotne, i które mogłyby przysporzyć jej głosów. Bardzo to niemądre. Jeśli opozycja mówi, że coś nie jest tematem, który interesuje Polaków – jak np. kwestie imigracyjne, to oznacza, że właśnie nim jest

Zakazany temat,

czyli imigracja i przymusowe przesiedlenia

DARIUSZ MATUSZAK

Wiadomo o czym opozycja będzie mówić bez przerwy – np. o inflacji, bo jej wysokość jest jedynym niekorzystnym wskaźnikiem gospodarczym, dzięki któremu może powielać swoje paranoiczne wizje, jakoby Polska popadała w ruinę, pogrążała się w kryzysie, a Polacy w nędzy. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością, bo inflacji towarzyszy wzrost płac – w czerwcu już realny, ale opozycja będzie mówić o szalejącej drożyźnie. Jeżeli 100 tys. razy powtórzy się, że inflacja jest największym problemem, a w mediach pojawi się 7 tys. tytułów z tą tezą, to wiadomo, że w każdych badaniach to wyjdzie. Zapytani o to, co jest największym problemem Polaków, co budzi ich obawy odpowiadamy: inflacja. I niekoniecznie mamy na myśli siebie, tylko uważamy, że wszyscy wkoło tej zmory się boją.

Takie konkluzje można wysnuć m.in. z wyników badań przeprowadzonych przez agencję Lata Dwudzieste, która wraz innymi postanowiła sprawdzić, kim są młodzi ludzie, którzy tej jesieni po raz pierwszy zagłosują. Mowa więc o tych, którzy mają 18–21 lat. Mają oni dwie ulubione partie: Konfederację – 31 proc. oraz „Trudno Powiedzieć" – 29 proc., a ich największe obawy (u 72 proc.), budzą właśnie inflacja i koszty życia. Mowa o ludziach, którzy nie zaciągnęli jeszcze żadnego kredytu, żyją często z dnia na dzień, po studencku, po „partyzancku". Twierdzę więc, że problem inflacji został młodym wmówiony, wszczepiony.

Żyjemy jednak w świecie nowoczesności i postępu, a w nim rzeczywistość nie jest taka, jaką obiektywnie jest, a taka jak się ją opisuje, więc mniemania, obsesje i rojenia trzeba też w czasie kampanii wyborczej uwzględniać. Jednak nie sposób pojąć dlaczego np. jakiś polityk PO czy jakiejś tam starej Nowej Lewicy może bezkarnie opowiadać, że

Fot. Giannis Papanikos/Shutterstock.com

eprasa.pl 7f2490a7a5

przy rodzinnym obiedzie Polki i Polacy rozmawiają o drożyźnie. Oczywiście zmyśla, nie ma bladego pojęcia o tematach dyskusji i równie prawdziwa jest moja opowieść, że dziś Polki i Polacy przy rodzinnym obiedzie rozmawiają o tym, że lewica czy PO bredzą i nie zamierzają na nie głosować.

W DEFENSYWIE

Tak czy owak, Zjednoczona Prawica (ZP) pozwala zaszczepiać tematy kampanii wyborczej, a jednocześnie nie potrafi narzucać swoich, tych które są znacznie istotniejsze i trwalsze, jak choćby kwestia imigracji. Inflacja jest niemal zawsze zjawiskiem przejściowym. Za rok, półtora zniknie nam z horyzontu, a z problemami, które wywołuje niekontrolowany napływ do Unii przybyszy z Azji i Afryki, pozostaniemy na dekady, a może i na zawsze.

Tylko w tym roku przybędzie do Europy ok. 300 tys. nielegalnych imigrantów. W zeszłym roku, jak podaje Eurostat, wykryto 330 tys. prób nielegalnego przedostania się na nasz kontynent. To oznacza, że co druga wyprawa do Europy kończy się sukcesem. Kiedy już cudzoziemiec znajdzie się na terenie Unii, to ma ponad 80 proc. szans, że już na zawsze w niej zostanie, bo państwa europejskie realizują ledwie od kilkunastu do 20 proc. wniosków deportacyjnych (najlepiej radzą sobie Polska, Czechy i Szwecja). Krótko mówiąc, np. Niemcom z pomocą Brukseli wygodniej wysłać nielegalnych imigrantów do innych krajów Unii, niż deportować do tego, z którego pochodzą. Państwa Unii nie potrafią, bądź nie chcą ze względów politycznych, chronić swych granic. Ich elity zaczadzone są ideami politpoprawności, obłędem multi-kulti, co tak bardzo widać było w czasie poprzednich rządów we Włoszech, kiedy to radykalna lewica i NGO paraliżowały system ochrony granic i działania ekstradycyjne.

OPOZYCJA Z UNIĄ POD RĘKĘ

Opozycja nie ma żadnego spójnego poglądu na temat imigracji ani pomysłu, jaką politykę prowadzić. Robi więc wszystko, by temat ten zniknął ze świadomości publicznej, by uznano, że niby wszystko jest ustalone. Z jednej strony są bowiem sondaże i opinia Polaków, a z drugiej Unia, której trzeba służyć. Jeśli się głosi dogmaty o nieomylności Brukseli, jej nadprzyrodzonym oświeceniu i że bez niej bylibyśmy pogrążeni w nędzy i mrokach, to nie można otwarcie jej krytykować, bo trudno byłoby przekonywać do jej złych pomysłów. Mamy więc do czynienia ze swoistą schizofrenią, rozdwojeniem jaźni w przypadku choćby PO, która jest za przyjmowaniem imigrantów, a nawet przeciw. To dlatego Donald Tusk nagrał spoty, w których kłamał i manipulował, mówiąc o czasowych, zakontraktowanych pracownikach jak o nielegalnych imigrantach. Opowieść była taka, że PiS głośno mówi o nieprzyjmowaniu cudzoziemców, a jednocześnie sprowadza ich kontyngentami z krajów muzułmańskich. ZP przestraszyła się, bo w mediach powiedzieli, że Tusk rozbroił bombę, którą niby PiS podrzucił. „On dokładnie rozbroił bombę imigrancką, a przynajmniej jest bardzo mocno załagodzona i dlatego jest taka wściekłość" – mówił Onetowi ekspert ds. tzw. wizerunku Mirosław Oczkoś. Że jak? Co prawda trzy paluchy urwane, kulas pod kolanem też, ale bomba rozbrojona i PiS w to uwierzył. Lewica słusznie uznała wystąpienia Tuska za rasistowskie, pełne cynizmu i nawet wyborcy Platformy się za niego wstydzili, ale ZP nie potrafi wykorzystać obłudy człowieka, który jeszcze niedawno groził karami za nieprzyjmowanie przybyszy z Afryki i Azji. Zamiast podrzucać kolejne takie bomby – niech sobie rozbraja – to litościwie pozwala, by rany się zagoiły, by problem, z którym kolejne pokolenia Europejczyków będą musiały żyć, znikał ze świadomości Polaków. Pozwala wmawiać, że to jakiś problem zastępczy, tak jakby to nie unijna komisarz, szwedzka komunistka Ylva Johansson, w ustaleniu z Berlinem wywołała po raz kolejny temat przymusowych przesiedleń i proceder wykupywania się z nich.

Ustalmy raz na zawsze i przestańmy siebie i lud polski okłamywać: opozycja (poza Konfederacją) popiera przymusowe przesiedlanie imigrantów w obrębie Unii Europejskiej, a przynajmniej się na nie zgadza. Im więcej będzie protestować przeciwko referendum w tej sprawie, tym większa powinna być motywacja, determinacja ZP w jego przeprowadzeniu. Nieprawdą jest, iż wszyscy Polacy mają zgodną opinię w sprawie przymusowych przesiedleń. Z imienia i nazwiska można wymienić tych, którzy zgadzają się na to, by do Polski przymusowo zwożono nielegalnych imigrantów. Są to np. Donald Tusk, który jeszcze jako przewodniczący Rady Europejskiej groził nam karami za nieprzyjmowanie tych, których Niemcy chciały się pozbyć. Ewa Kopacz, Cezary Tomczak – rzecznik jej rządu, deklarujący otwarcie Polski dla każdej liczby nielegalnych imigrantów – czy ówczesny minister Rafał Trzaskowski. Wszyscy byli za, podobnie jak ówczesny rząd i parlamentarzyści PO. Nikt nie protestował. Ba, teraz są i tacy, którzy chcą przyjmować nawet tych siłą przepchniętych przez białoruski reżim. Także wszyscy ci, którzy chcą słać prośbę/podanie do Brukseli, by Polska była zwolniona z tego nikczemnego procederu i nie musiała płacić wykupnego w wysokości 22 tys. euro od nielegalnego imigranta, zgadzają się na przymusowe relokacje i liczą jedynie na łaskę unijnych komisarzy. Dajmy się im wypowiedzieć.

BEZ NIUANSÓW

Podział powinien być bardzo czytelny. Zjednoczona Prawica nie chce przymusowych przesiedleń, bo to pomysł niemoralny, głupi, nieskuteczny i nie rozwiązuje problemów, lecz mnoży je i dlatego chce przeprowadzenia referendum. Opozycja zaś uważa, że przymusowe przesiedlenia co do zasady są dobrą ideą, tyle że Polska może się z nich wymigać, śląc prośbę/podanie do brukselskich urzędników, a poza tym gardzi zdaniem obywateli i nie zamierza ich o nic pytać. Ma im wystarczyć, że Tusk, Czarzasty i Hołownia coś tam ustalą. To opozycja niech się tłumaczy, dlaczego uważa, że unijny pomysł przymusowych przesiedleń jest dobry i dlaczego nie chce pytać Polaków o zdanie, a nie PiS z tego, że chce referendum i nie śle próśb do Brukseli.

By pojąć nikczemność i amoralność unijnych propozycji, trzeba je rozpisać

eprasa.pl 7f2490a7a5

Ukraińscy uchodźcy wojenni na Dworcu Centralnym w Warszawie, marzec 2023 r.

Fot. Andrzej Skwarczyński

na działania praktyczne. Jak w ogóle można mówić o jakichś prawach człowieka i jednocześnie traktować ludzi jak towar do przerzucania z magazynu z nadwyżkami, tam gdzie jest jeszcze trochę miejsca.

Po pierwsze jacyś urzędnicy, jak księgowi, będą musieli dokonać nadziału nielegalnych imigrantów na poszczególne kraje. Tyle i tyle przesiedli się przymusowo do Polski, do Rumuni itd. Potem selekcja i decydowanie, kto zostaje w Niemczech, a kto będzie wywieziony do nas czy na Słowację. A może to kraj docelowego, przymusowego przesiedlenia powinien przeprowadzić selekcję w Niemczech i wybrać, na podstawie zamówień z poszczególnych branż, kogo bierze – lekarzy, inżynierów, informatyków? Nie należy spodziewać się ochotników na wyjazd z Francji np. do Bułgarii. A jeśli nikt/ktoś dobrowolnie nie będzie chciał trafić do Rumunii i w ogóle być z Niemiec wywiezionym? Czy wyznaczeni do wywózki będą wyłapywani i osadzani w obozach przejściowych? Jak ma się odbywać deportacja dziesiątek tysięcy, by zapobiec ucieczkom z transportu? Czy plan opracuje jakiś specjalista od logistyki w rodzaju Adolfa Eichmanna? Co ma się dziać w kraju przymusowego osiedlenia? Czy ktoś ma ich pilnować, by nie zbiegli do Niemiec?

> Jakkolwiek podle i cynicznie to nie zabrzmi, Bruksela wyceniła jednego Ukraińca na ok. 100 euro – ponad 200 razy mniej niż imigranta w Niemczech czy Francji

SOLIDARNOŚCIOWA WYCENA

No i obrzydliwa sprawa wykupywania się, obłudnie nazywana obowiązkową solidarnością. Unia przyznała Polsce 200 mln euro na pomoc uchodźcom z Ukrainy. Jakkolwiek podle i cynicznie to nie zabrzmi, Bruksela wyceniła jednego Ukraińca na ok. 100 euro – ponad 200 razy mniej niż imigranta w Niemczech czy Francji.

Pekuniarną logikę Unia zaczyna stosować też w relacjach z państwami. Już się miliardami wypłaca Turcji. Teraz ogłoszono wielki sukces w Tunezji. W czasie wizyty premier Włoch Giorgii Meloni i przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen podpisano umowę, że za miliard euro Tunezja będzie pilnowała swych granic i nie dopuszczała do tego, by z jej wybrzeża ruszały wyprawy do Europy. Unia woli więc opłacać się z pieniędzy podatników, niż rzeczywiście chronić swe granice. Najbogatszy w przeliczeniu PKB na głowę kontynent świata, który kreuje 15 proc. światowej gospodarki, ma 450 mln obywateli, nie potrafi poradzić sobie z bandami przemytników ludzi, handlarzami żywym towarem. Za pieniądze zleca to innym, znacznie biedniejszym państwom, a boi się podjąć temat w rozmowach z bajecznie bogatymi krajami Zatoki Perskiej. Tylko czekać jak w kolejce po unijne pieniądze ustawią się kolejne państwa: Maroko, Algieria, Libia, Egipt, Liban.

GORĄCY KARTOFEL

To właśnie m.in. z wyżej wymienionych powodów opozycja jak może unika tematu imigracji. Przewodniczący Klubu Parlamentarnego PO Borys Budka, który w Sejmie mówi, że rząd powinien słać prośbę do Brukseli musiałby przyznać, że zgadza się na wszystkie głupie i nikczemne aspekty paktu imigracyjnego. Żałosne, infantylne okazałyby się też opowieści o wspaniałej Europie Zachodniej, którą powinniśmy bezkrytycznie wielbić i naśladować. Symbolem tej pełnej kompleksów i uniżoności postawy jest m.in. komentarz Donalda Tuska do zwycięstwa Emmanuela Macrona w wyborach prezydencki, kiedy pisał, że już niedługo w Warszawie będzie tak, jak w Paryżu. No i pięknie. Chyba nie widział obrazów płonących miast Francji, dzikich przedmieść Paryża czy koczowisk w Calais, scen ulicznych walk z imigrantami, doniesień o przestępczości, koszmarze codziennego życia w wielu europejskich miastach. Efekty katastrofalnej polityki imigracyjnej Unii widać gołym okiem. Nigdy dość przypominania o tym, nigdy dość pokazywania zagrożeń, jakie ściągnęłaby opozycja z PO, realizując każdy, nawet najgłupszy, najbardziej nikczemny pomysł Brukseli.

Być może jeszcze na to za wcześnie o rok, o trzy, by temat relacji Polski z UE oraz modelu naszej obecności w niej stał się jednym z przewodnich tematów kampanii wyborczej. Prędzej czy później staniemy jednak wobec alternatywy: albo obalimy ustrój Unii, albo wraz z nią sprowadzimy na siebie katastrofę i popełnimy samobójstwo jako wspólnota.

eprasa.pl 7f2490a7a5

ROCZNICA BITWY WARSZAWSKIEJ

SIECI

Wielkie zwycięstwo osamotnionej Polski

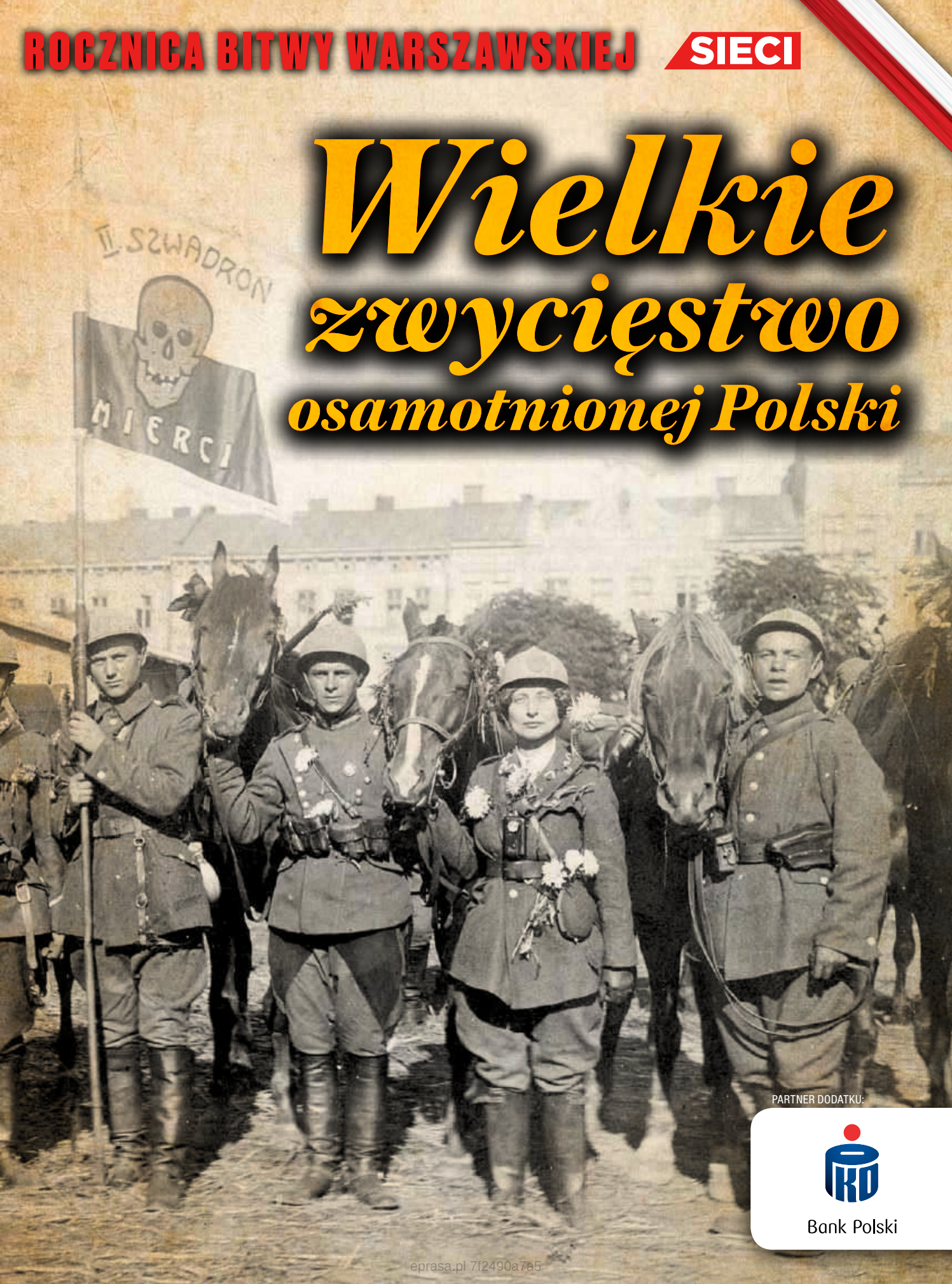

PARTNER DODATKU:

Bank Polski

eprasa.pl 7f2490a7a5

Radzieccy żołnierze w polskiej niewoli

Wojna cywilizacji

Bitwa Warszawska w sierpniu 1920 r. była nie tylko wielkim zwycięstwem polskiego oręża i rozstrzygającym momentem wojny z bolszewikami, dzięki któremu obroniliśmy świeżo zdobytą niepodległość. Miała również ogromne znaczenie dla Europy i całego świata zachodniego. Polacy obronili wówczas cywilizację łacińską przed najazdem barbarzyńców ze wschodu

Państwo moskiewskie rozwijało się na peryferiach dawnej Rusi, z dala od głównych nurtów kształtujących cywilizację europejską. Przez dłuższy czas pozostawało pod panowaniem mongolsko-tatarskim, przejmując od Złotej Ordy struktury i mechanizmy życia politycznego i społecznego. W ten sposób powstała rosyjska odmiana cywilizacji turańskiej – despotia wschodnia, w której państwo było własnością władcy, a jego wola prawem. Poddani nie mieli żadnych praw. Cywilizacji rosyjskiej nie można zatem utożsamiać z cywilizacją bizantyńską (prawosławną) ukształtowaną przez chrześcijaństwo wschodnie z ośrodkiem w Konstantynopolu. Przenikanie wpływów zachodnich do Rosji od początku XVIII w. miało powierzchowny charakter. Natomiast bolszewicy po przejęciu władzy w 1917 r. na podglebiu cywilizacji rosyjskiej zaszczepiali idee komunistyczne, wytworzone w Europie zachodniej w celu obalenia istniejącego porządku społecznego.

* * *

Rewolucja bolszewicka w Rosji kojarzona jest powszechnie z eksterminacją elit społecznych jako „wrogów ludu", likwidacją własności prywatnej, rabunkami i grabieżami, rewolucyjnym terrorem, walką z religią i Kościołem. W podręcznikach szkolnych pomija się jeden z jej istotnych aspektów – rewolucję seksualną. Głównym celem władzy sowieckiej było bowiem ukształtowanie nowego człowieka (*homo sovieticus*), kierującego się nową rewolucyjną moralnością, której naczelną cechą był relatywizm moralny. Dążono do tego poprzez zniszczenie tradycyjnych więzów społecznych i rodzinnych. Odwołując się do myśli twórców komunizmu – Karola Marksa i Fryderyka Engelsa, bolszewicy odrzucali „burżuazyjną" rodzinę i moralność opartą na zasadach Dekalogu i Ewangelii. Obowiązujące wówczas hasło brzmiało: „Rozbijając ognisko rodzinne, wymierzamy ostateczny cios ustrojowi burżuazyjnemu".

eprasa.pl 7f2490a7a5

W grudniu 1917 r. Lenin podpisał serię dekretów likwidujących w praktyce instytucję małżeństwa (poprzez szybkie i łatwe do uzyskania rozwody). W 1920 r. zniesiono kary za usuwanie ciąży i wprowadzono bezpłatną aborcję na życzenie. Zaczęła się prawdziwa rzeź nienarodzonych dzieci. Tak powstała cywilizacja śmierci, która w drugiej połowie XX w. rozlała się po całym świecie. Bolszewicka rewolucja seksualna dążyła rzekomo do „wyzwolenia kobiet z niewoli domowej". Uwolnione od zajmowania się dziećmi oddanymi pod pieczę państwa, kobiety miały całkowicie poświęcić się pracy zawodowej. Równocześnie propagowano „wolną miłość", czyli rozwiązłość seksualną. Komuny komsomolskie były pierwowzorem wspólnot hipisów z lat 60.

* * *

Reżim bolszewicki z Włodzimierzem Leninem na czele stworzył zatem nową odmianę cywilizacji rosyjskiej (turańskiej), którą możemy nazwać cywilizacją sowiecką. Od początku był też nastawiony na ekspansję. Jak stwierdził znany amerykański historyk, prof. Richard Pipes: „bolszewicy przejęli władzę nie po to, aby zmienić tylko Rosję, ale aby użyć jej jako trampoliny do rewolucji światowej". W marcu 1919 r. w Moskwie powstała Międzynarodówka Komunistyczna (Komintern) jako organ nadzorujący partie komunistyczne z 32 krajów świata, będące narzędziem polityki bolszewickiej Rosji. Latem 1919 r. przewodniczący Kominternu Gieorgij Zinowiew mówił: „Można z całym zaufaniem powiedzieć: już za rok cała Europa będzie komunistyczna. A walka o komunizm przeniesie się do Ameryki, a może też do Azji i innych stron świata".

Pierwszy marsz na zachód zaczął się już w końcu 1918 r., gdy po klęsce państw centralnych w I wojnie światowej Armia Czerwona wkroczyła na opuszczone przez okupacyjne wojska niemieckie ziemie Ukrainy, Białorusi i państw bałtyckich. Bolszewicy chcieli przede wszystkim przyjść z pomocą ogniskom rewolucji w Europie, zwłaszcza w Niemczech. W kwietniu 1919 r. proklamowano Bawarską Republikę Rad. Miesiąc wcześniej komuniści przejęli władzę na Węgrzech. Ich terror był skierowany w pierwszym rzędzie przeciwko Kościołowi katolickiemu. Znany marksistowski filozof György Lukács, jako zastępca komisarza ds. oświaty, wprowadzał do szkół pierwszy na świecie program edukacji seksualnej. Na przeszkodzie w podaniu ręki rewolucjonistom niemieckim i węgierskim stanęła Polska. Po kilku miesiącach Węgierską Republikę Rad obaliła interwencja wojsk rumuńskich. W Niemczech również przywrócono porządek, choć sytuacja była wciąż niespokojna.

W polskim społeczeństwie już w 1919 r. panowało powszechne przekonanie o śmiertelnym zagrożeniu dla cywilizacji europejskiej ze strony nowego reżimu panującego w Rosji, stanowiącego coś w rodzaju antycywilizacji. Mówili i pisali o tym przedstawiciele wszystkich ugrupowań politycznych – od endecji po socjalistów. Przywódca odrodzonej Polski Józef Piłsudski był jednym z autorów idei „prometeizmu", czyli stworzenia wspólnego frontu działaczy niepodległościowych, reprezentujących zniewolone narody w imperium rosyjskim. Tylko wspólna walka dawała szanse powodzenia. Podkreślał, że ustrój panujący w Rosji ma przy tym znaczenie drugorzędne: „Bez względu na to, jaki będzie jej rząd, Rosja jest zaciekle imperialistyczna. Jest to zasadniczy rys jej charakteru politycznego".

* * *

Wojna polsko-bolszewicka zaczęła się w styczniu 1919 r. Na szczęście dla Polaków, bolszewicy musieli się wtedy skupić na walce z wrogiem wewnętrznym – Białymi Rosjanami dowodzonymi przez generała Antona Denikina. Dzięki temu Polacy zdobyli latem 1919 r. ziemie należące do Rzeczpospolitej przed rozbiorami w XVIII w.: Wilno, Mińsk i większą część Białorusi. Bolszewicy, aby powstrzymać Denikina maszerującego na Moskwę, musieli zawrzeć rozejm na froncie polskim. Jednakże nie zarzucili planów marszu na zachód.

Piłsudski zamierzał ich powstrzymać, wykorzystując sojusz z niepodległą Ukraińską Republiką Ludową (URL). Dostrzegał bowiem kluczowe znaczenie Ukrainy dla przyszłego układu sił w tej części Europy. Droga do tego sojuszu była jednak długa i złożona z powodu polsko-ukraińskiego konfliktu na terenie Galicji Wschodniej. Dopiero po jego zakończeniu było możliwe podjęcie rozmów. Kilkumiesięczne tajne rokowania polsko-ukraińskie zakończyły się 21 kwietnia 1920 r. podpisaniem w Warszawie umowy politycznej pomiędzy Polską i URL. Symon Petlura, kierując się realizmem politycznym, zrzekł się wówczas pretensji do terenów Galicji Wschodniej i zachodniego Wołynia. Polska uznała niepodległość Ukrainy i zobowiązała się do udzielenia pomocy w wojnie z bolszewikami.

Rozpoczęta 25 kwietnia 1920 r. ofensywa sprzymierzonych wojsk polskich i ukraińskich rozwijała się początkowo bardzo pomyślnie. Zdobyto przy tym wielu jeńców i sprzętu wojskowego. Bolszewicy jednak nie dali się całkiem rozbić i uchylając się od walnej bitwy, wycofali się za Dniepr. 7 maja oddziały polskie zajęły opuszczony Kijów. Niestety bolszewicy rozpoczęli ofensywę na Białorusi, a na Ukrainie rzucili do walki 1. armię konną Siemiona Budionnego. 5 czerwca 1920 r. przełamała ona linię frontu na południe od Kijowa i wyszła na tyły wojsk polskich. W tej sytuacji polskie dowództwo nakazało odwrót. „Wyprawa kijowska" zakończyła się porażką. U boku Wojska Polskiego do końca wojny z bolszewikami walczyła jednak dzielnie nieliczna, ale bitna armia URL.

Główna ofensywa Armii Czerwonej ruszyła na Białorusi 4 lipca 1920 r. Dowódca Frontu Zachodniego Michaił Tuchaczewski skierował do swoich żołnierzy rozkaz, w którym znalazły się słowa: „Żołnierze rewolucji robotniczej – zwróćcie swe spojrzenia na zachód. Na zachodzie decydują się losy rewolucji światowej. Poprzez trupa białej Polski prowadzi droga do światowego pożaru. Na bagnetach zaniesiemy szczęście i pokój pracującej ludzkości. Na zachód ku decydującym bitwom, ku głośnym zwycięstwom". Wojsko Polskie nie było w stanie powstrzymać przeważających sił nieprzyjaciela i zostało zmuszone do odwrotu. Oddziały polskie cofały się wciąż na zachód, ale nie dały się okrążyć i rozbić, zachowując swoją wartość bojową.

* * *

W obliczu śmiertelnego zagrożenia nastąpiła ogromna mobilizacja społeczeństwa. Na apel o wstępowanie do wojska zgłosiło się ponad 100 tys. ochotników, w tym 30 tys. mieszkańców

Zdjęcia: NAC

eprasa.pl 7f2490a7a5

Warszawy. Dużą rolę odegrał Kościół katolicki. Ogłoszono ogólnonarodowe modły w intencji Ojczyzny oraz odnowiono akt zawierzenia Polski Matce Bożej. Polscy biskupi wystosowali listy z prośbą o pomoc do papieża i do „episkopatu świata", stwierdzając: „Polska w pochodzie bolszewizmu na świat jest już ostatnią dla niego barierą, a gdyby się ta załamała, rozleje się on po świecie falami zniszczenia i jakżeż straszliwa jest ta fala, która dziś światu zagraża. Bo bolszewizm jest ostatnim wykwitem wszelkich zasad negacji, chowanych przez całe stulecie, które godziły w rodzinę, w wychowanie, w ustrój socjalny, w religię. [...] Bolszewizm prawdziwie jest żywym wcieleniem i ujawnieniem się na ziemi ducha antychrysta". Papież Benedykt XV odpowiedział na ten apel 5 sierpnia, pisząc do biskupów całego świata: „Obecnie jest w niebezpieczeństwie nie tylko istnienie narodowe Polski, lecz całej Europie grożą okropności nowej wojny". Watykan nakazał publiczne modły w intencji Polski. Wielka procesja błagalna odbyła się m.in. w Lourdes.

* * *

Moskwa w ramach wielkiej akcji propagandowej pod hasłem: „Ręce precz od Rosji Sowieckiej" zmobilizowała partie komunistyczne i lewicowe związki zawodowe w całej Europie do działań przeciwko Polsce. Kolejarze w Niemczech i Czechosłowacji blokowali dostawy sprzętu wojskowego do Polski. Niemcy formalnie były neutralne, lecz po cichu sprzyjały bolszewikom. Im bardziej Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy, tym większe były nadzieje w Berlinie na odnowienie współpracy niemiecko-rosyjskiej na podstawie powrotu do granic z 1914 r. Premier Wielkiej Brytanii David Lloyd George zamiast pomocy oferował jedynie pośrednictwo w rozmowach pokojowych z bolszewikami. Lepiej zachowała się Francja, zapewniając dostawy broni i amunicji. Węgrzy, doskonale zdając sobie sprawę z zagrożenia, wysłali do Polski wszystkie posiadane zapasy amunicji.

* * *

Armia Czerwona ze względów politycznych nacierała w dwóch rozbieżnych kierunkach, co stało się jedną z przyczyn późniejszej klęski bolszewików. Front Zachodni parł w kierunku zachodnim na Warszawę z zamiarem przebicia się do Niemiec. Natomiast Front Południowo-Zachodni skręcał w kierunku południowo-zachodnim, aby przekroczyć Karpaty w celu wywołania rewolucji na Węgrzech i w Czechosłowacji. Na szczęście zażarte walki pod Lwowem zakończyły się porażką bolszewików. Region ten miał duże znaczenie strategiczne, bowiem przez Lwów przebiegało strategiczne połączenie kolejowe z Rumunią, którym nadchodziły dostawy broni i amunicji z Węgier i Francji. Linia kolejowa wraz z całym przedmościem rumuńskim była osłaniana przez sprzymierzoną armię URL pod dowództwem gen. Mychajły Omelanowycza-Pawłenki, która broniła prawie 150-kilometrowego odcinka rzeki Dniestr.

Między oddziałami atakującymi Warszawę i nacierającymi przez Lwów w kierunku Karpat powstała duża luka, w której znajdowały się tylko słabe jednostki bolszewickie. Postanowił to wykorzystać Józef Piłsudski i uderzyć od południa na tyły bolszewików atakujących Warszawę. Polska ofensywa prowadzona od 16 sierpnia 1920 r. zmusiła wojska Tuchaczewskiego do panicznego odwrotu. Po dziesięciu dniach wróg był rozbity, tracąc 25 tys. zabitych i 66 tys. wziętych do niewoli. Bolszewicy próbowali odzyskać inicjatywę, ale we wrześniu 1920 r. zostali jeszcze pobici w bitwie nad Niemnem. 12 października zawarto w Rydze rozejm kończący wojnę.

* * *

Brytyjski dyplomata lord Edgar d'Abernon, który latem 1920 r. przebywał w Polsce, nazwał Bitwę Warszawską 18. decydującą bitwą w dziejach świata (w porządku chronologicznym). Było to jego zdaniem wydarzenie o znaczeniu wszechświatowym, starcie dwóch odmiennych cywilizacji. W swojej książce d'Abernon przypomniał, że Polacy po raz pierwszy uratowali zachodnią cywilizację, gdy król Jan III Sobieski pobił muzułmańskich Turków pod Wiedniem w 1683 r., zaś pod Warszawą w 1920 r. Polska wybawiła Europę od „jeszcze bardziej wywrotowego niebezpieczeństwa, to jest od fanatycznej tyranii Sowietów".

eprasa.pl 7f2490a7a5

Żołnierze 1. pułku szwoleżerów w okopach

* * *

Po przegranej wojnie w 1920 r. Lenin przyznał: „Wszystko tam, w Europie, było do wzięcia. Lecz Piłsudski i jego Polacy spowodowali gigantyczną, niesłychaną klęskę sprawy światowej rewolucji". Jednocześnie zapowiedział: „Polskę opanujemy i tak, gdy nadejdzie pora. Przeciwko Polsce możemy zawsze zjednoczyć cały naród rosyjski i nawet sprzymierzyć się z Niemcami. [...] Oni pragną rewanżu, a my rewolucji. Chwilowo interesy nasze są wspólne".

19 lat później został zawarty pakt Ribbentrop-Mołotow, a Stalin rozpoczął swój podbój Europy. 17 września 1939 r. dokonał agresji na Polskę walczącą z Niemcami, okupując połowę terytorium kraju. W latach 1944–1945 Stalin opanował pół Europy, dokonując eksportu rewolucji na bagnetach i zatrzymując się dopiero na „żelaznej kurtynie". Jednakże dzięki Bitwie Warszawskiej Polska i inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej zyskały czas na budowanie swojej państwowości i wzmacnianie tożsamości narodowej. Po II wojnie światowej zostały podporządkowane Moskwie, ale ich bezpośrednie wcielenie do Związku Sowieckiego nie wchodziło już w rachubę. Przed komunizmem wybroniły się natomiast całkowicie kraje Europy Zachodniej.

* * *

Wydawało się, że po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1991 r. skończył się też komunizm. Rosja pozornie wróciła do swoich prawosławnych korzeni. W rzeczywistości jednak 70 lat kształtowania *homo sovieticus* zrobiło swoje. Rosyjskie państwo i społeczeństwo zachowało w dużej mierze sowiecki totalitarny charakter, o czym świadczą zbrodnie popełniane teraz na Ukrainie. Religia prawosławna jest tylko fasadą, realnie praktykowaną przez kilka procent Rosjan, służącą przede wszystkim jako narzędzie w polityce Kremla.

Dzięki zwycięstwu w 1920 r. Polska obroniła swoją niepodległość. Jednak Ukrainie wówczas się nie powiodło i na 70 lat wpadła w sowieckie, czyli rosyjskie jarzmo. Ale przelana krew żołnierzy atamana Petlury nie poszła na marne. Sowieci musieli oficjalnie uznać odrębność narodu ukraińskiego. Umocniła się świadomość narodowa Ukraińców, co przyniosło owoce w momencie rozpadu Związku Sowieckiego. Niepodległa Ukraina od początku była jednak państwem rozdartym cywilizacyjnie między Zachodem i „ruskim mirem". W obliczu barbarzyńskiej agresji w 2022 r. wybrała ostatecznie tożsamość europejską i stanęła w obronie naszej cywilizacji. Wszyscy doskonale wiemy, że jej walka byłaby niemożliwa bez ogromnego wsparcia ze strony Polski. Sami doświadczamy wojny hybrydowej na granicy z Białorusią. Niemcy, podobnie jak w 1920 r., po cichu sprzyjają Rosji.

* * *

Dalekosiężnym skutkiem rewolucji bolszewickiej jest także wojna cywilizacji tocząca się dziś wewnątrz Unii Europejskiej. Wymykająca się spod kontroli wolność seksualna w Związku Sowieckim została drastycznie ograniczona przez Stalina w latach 30. Doszło nawet do rehabilitacji rodziny, bo państwo samo nie było w stanie opiekować się milionami dzieci. Jednakże bolszewicka rewolucja seksualna zainspirowała feministki i lewicowców z Zachodu, szczególnie z Niemiec. W 1923 r. we Frankfurcie nad Menem powstał Instytut Badań Społecznych, nazywany szkołą frankfurcką. Jego założyciele dokonali twórczej syntezy marksizmu i psychoanalizy Freuda. Z Rosji bolszewickiej zaczerpnęli przede wszystkim ideę rewolucji seksualnej, którą po ucieczce za ocean szerzyli w Stanach Zjednoczonych. Wilhelm Reich i Herbert Marcuse stali się idolami zrewoltowanej młodzieży w czasie rewolucji lat 60. Stworzona przez nich ideologia neomarksizmu niszczy od środka cywilizację Zachodu. Dąży do tych samych celów co bolszewicy – „wyzwolenia" kobiet, rozbicia rodziny i ukształtowania „nowego człowieka", oderwanego od swoich cywilizacyjnych korzeni.

Przy tradycyjnych wartościach związanych z cywilizacją łacińską pozostają jeszcze w większości społeczeństwa regionu Trójmorza z Polską na czele. Ponownie, jak w 1920 r., odgrywamy rolę przedmurza chrześcijańskiej Europy. Tym razem walcząc na dwóch frontach.

***Mirosław Szumiło** – historyk, profesor Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie*

eprasa.pl 7f2490a7a5

Gdyby Polska nie pokonała bolszewików

„Nikt z Niemców nie powinien ruszyć nawet palcem dla uratowania Polski od bolszewizmu. Polska jest śmiertelnym wrogiem Niemiec, tworem i sojusznikiem Francji. I jeśli diabeł zechce porwać Polskę powinniśmy mu przy tym pomagać!". Warto dziś wiedzieć, kto wypowiedział te słowa

Z prof. Janem Rydlem rozmawia Piotr Słabek

Obchodzimy właśnie 103. rocznicę Bitwy Warszawskiej – wielu historyków twierdzi, że to jedna z najważniejszych operacji wojskowych w historii nowożytnej Europy. Czy gdyby została przegrana przez Polaków, to nawała bolszewicka zalałaby całą Europę? Jaki scenariusz można byłoby przewidzieć, biorąc pod uwagę ówczesne realia?

Jan Rydl: Trudno w tej sprawie mieć całkowitą pewność. W tym okresie we Włoszech i w Austrii wciąż utrzymują się silne napięcia związane z nastrojami rewolucyjnymi. Co prawda rewolucja została już stłumiona na Węgrzech, ale fala buntu jeszcze nie opadła ani w tym kraju, ani na Słowacji.

W Niemczech sytuacja jest niejednoznaczna. W 1920 r. istniał rząd mniejszościowy, na którego czele stał kanclerz Konstantin Fehrenbach, jeden z przywódców katolickiej partii Centrum. W mniejszościowej koalicji były ponadto dwie partie liberalne, a jej istnienie w zupełności zależało od przyzwolenia SPD, która z kolei wielokrotnie i skutecznie przeciwstawiała się zapędom niemieckich zwolenników bolszewizmu. Nie był to więc rząd prokomunistyczny. Wojsko było kierowane przez konserwatystów i narodowych monarchistów.

Jeśli bolszewicy przewidywali szybki wybuch ogólnoeuropejskiej rewolucji, to mogłoby do niej dojść na kierunku południowo-zachodnim (Austria, Włochy). O tym wspominał Lenin, wydając rozkaz szybkiego zdobycia Lwowa komisarzowi południowego frontu, którym był wtedy Stalin. Miasto to było uważane przez Moskwę za bramę do tej części Europy.

Wydaje się, że w krótkim czasie w Niemczech rewolucja raczej by nie wybuchła. Te przewidywania ze strony bolszewików były bardziej propagandą niż realną oceną sytuacji. Powtarzające się zrywy komunistyczne typu bolszewickiego w tym kraju (powstanie Związku Spartakusa w Berlinie, Bawarska Republika Rad, późniejsza Reńska Republika Rad, powstania w Saksonii) miały przeciwwagę w postaci sił prawicowych działających równie energicznie i brutalnie. Myśląc jednak w perspektywie kilku lat, obecność bolszewików u granic Niemiec mogłaby mocno zradykalizować sytuację i niewykluczone, że doszłoby tam do rewolucyjnego przewrotu i przejęcia władzy przez komunistów.

Niemcy po zakończeniu I wojny światowej, a zwłaszcza po zawarciu traktatu wersalskiego, byli wrogo nastawieni do Polski. Ta wrogość łączyła w zasadzie całą scenę polityczną tego kraju. W 1920 r. mieli więc satysfakcję, że bolszewicy idą na Polskę i najprawdopodobniej ją zniszczą.

eprasa.pl 7121 008

Równocześnie jednak strona niemiecka we wszystkich uzgodnieniach z Moskwą zastrzegała sobie, że Sowieci w swoim marszu na zachód nie przekroczą wschodniej granicy Rzeszy Niemieckiej z 1914 r., a przedstawiciele władz bolszewickich im to obiecywali. Obietnice te nie zostały wystawione na próbę, co być może tłumaczy niemiecki entuzjazm do współpracy z bolszewikami, jeśli chodzi o późniejszą historię.

Często mówi się, że polskie zwycięstwo było zaskoczeniem dla wielu europejskich państw, nawet tych sojuszniczych. Czy na międzynarodowym szczeblu przygotowywano się do klęski Polski? Czy były plany militarnego zatrzymania Armii Czerwonej, czy raczej jakiegoś porozumienia?

Takie plany istniały, ale chodziło tylko o dogadanie się z bolszewikami. To była wyrafinowana gra mocarstw wielkiej czwórki. Warto przyjrzeć się stanowisku Wielkiej Brytanii.

Powstanie i odrodzenie się Polski nie było w smak angielskim elitom władzy. Nie widziano w Europie miejsca dla Polski, która miałaby silny potencjał i znaczenie. Uważano bowiem, że taka Polska rozdzieli Rosję i Niemcy, co w sposób groźny dla Wielkiej Brytanii ukierunkuje ich ekspansję na wschód i południe (Rosja) i na zachód (Niemcy). Przyjmowano zatem, że jeśli już jakaś Polska musi powstać, to powinien to być kraj mały, zależny, bez większego znaczenia politycznego. Wyrazicielem takich poglądów był premier Wielkiej Brytanii w latach 1916–1922 David Lloyd George.

Pod koniec 1919 r. istniała możliwość zawarcia polsko-sowieckiego pokoju. Sowieci oferowali korzystny dla Polski przebieg przyszłej granicy. Brytyjczycy jednak byli temu bardzo przeciwni. Dążyli do tego, by w gronie wielkich mocarstw zawrzeć pokój z bolszewicką Rosją i narzucić jego warunki krajom Europy Środkowej.

Oficjalnie brytyjskie koła rządowe nie mówiły o polskim imperializmie, ale były skrajnie przeciwne planom współdziałania Polski i Ukrainy. Z kolei prasa brytyjska, szczególnie lewicowa, była pełna potępienia dla rzekomo agresywnej polityki Polski wobec bolszewików.

Wiosną 1920 r. brytyjskie elity polityczne, mając świadomość nadciągania sowieckiego najazdu na Polskę, z zadowoleniem konstatowały, że plan polityki wschodniej przyjęty przez Józefa Piłsudskiego prawdopodobnie legnie w gruzach. Gdy na przełomie maja i czerwca zaczęła się ofensywa sowiecka, która zmusiła polsko-ukraińską armię do szybkiego odwrotu, Brytyjczycy byli przekonani, że ich zamierzenia wobec Polski się zrealizują. Opracowywali taki plan od początku 1920 r., a przystąpili do jego realizacji podczas konferencji w Spa (5–16 lipca 1920 r.). Wymusili wówczas na proszącym o pomoc dla Polski premierze Władysławie Grabskim i ministrze spraw zagranicznych Stanisławie Patku przyjęcie swoich warunków. Obejmowały one zgodę na linię rozejmową, określaną od tej pory jako linia Curzona. Ta najzupełniej sztuczna granica miała jakoby oznaczać zasięg etnicznie polskich terytoriów na wschodzie. Z ówczesnego polskiego punktu widzenia było to rozgraniczenie absurdalne i w zasadzie niemożliwe do zaakceptowania.

Jednak to linia Curzona (z małymi modyfikacjami) została narzucona Polsce przez mocarstwa po II wojnie światowej jako granica wschodnia i... mamy ją obecnie. Dziś w zupełnie odmiennym kontekście geopolitycznym jest to granica w pełni stabilna i jeśli ktoś ją kwestionuje, są to – trawestując Norwida – „tajni, widni i dwupłciowi" wrogowie naszego kraju.

Francja, mimo że jeszcze podtrzymywała ideę „kordonu sanitarnego" wokół bolszewickiej Rosji i była bardziej życzliwa wobec Polski jako ewentualnej sojuszniczki, zajęła w zasadzie podobne stanowisko jak Wielka Brytania. W Paryżu bowiem przewagę zyskiwał pogląd, że bez współdziałania Wielkiej Brytanii nie jest w stanie samodzielnie działać w sprawach Europy Wschodniej. Był to początek podporządkowania polityki Paryża Londynowi. Mimo że dyplomacja francuska i takie osobistości jak premier Alexandre Millerand czy marszałek Ferdinand Foch były przyjazne wobec Polski, nie czuły się jednak na siłach przeciwstawić polityce angielskiej.

Niemcy po zakończeniu I wojny światowej, a zwłaszcza po zawarciu traktatu wersalskiego, byli wrogo nastawieni do Polski. Ta wrogość łączyła w zasadzie całą scenę polityczną tego kraju. W 1920 r. mieli więc satysfakcję, że bolszewicy idą na Polskę i najprawdopodobniej ją zniszczą

Polska delegacja została w Spa zmuszona także do zgody na oddanie kwestii ustalenia warunków rozejmu i pokoju z Sowietami w ręce mocarstw. Sowieci mieli wedle koncepcji brytyjskiej nie przekraczać linii Curzona jako linii rozejmowej pod groźbą udzielenia Polsce wsparcia przez mocarstwa. Takie warunki przekazał Earl Curzon of Kedleston komisarzowi Gieorgijowi Cziczerinowi w nocie z 11 lipca w przekonaniu, że w pełni usatysfakcjonują one Moskwę.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Brytyjczyków 17 lipca, po kilkudniowych naradach politbiura, Cziczerin odpowiedział odmownie. Był to moment, kiedy bolszewickie kierownictwo było całkowicie pewne zwycięstwa nad Polską i rychłego zajęcia Warszawy, toteż nie chcąc uszczuplać owoców swojego zwycięstwa, zrezygnowało z pośrednictwa mocarstw, niszcząc „misterną" kombinację brytyjskiej dyplomacji.

Które z państw ówczesnej Europy oficjalnie i jawnie wspierały politycznie i militarnie Rosję Sowiecką walczącą z Polską?

Oficjalnego wsparcia ze strony państw europejskich nie było, ale niejawnie i nieoficjalnie kilka państw pomagało Rosji, były

Fot. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie

eprasa.pl 7f2490a7a5

też państwa, które aktywnie blokowały militarną pomoc skierowaną do Polski.

Choć była to działalność półjawna, jednak na tyle czytelna, że zarówno polski, jak i brytyjski wywiad oraz dyplomacja doskonale o tym wiedziały. Tym państwem były przede wszystkim Niemcy. Podobne kroki, ale na zdecydowanie mniejszą, skalę robiły też Austria i Czechosłowacja.

Właściwie w ciągu całego 1919 r. dojrzewała w Niemczech tzw. orientacja na wschód [Ostorientierung], czyli na współpracę z bolszewicką Rosją. Takie ukierunkowanie polityki Berlina miało na celu wspólną walkę z systemem wersalskim, a przede wszystkim „załatwienie" Polski.

Często zapominamy, że Republika Weimarska (RW), czyli pierwsze demokratyczne państwo niemieckie, traktowała powstanie państwa polskiego w wersalskich granicach jako największą niegodziwość zwycięzców względem Niemiec. W ten sposób negacja granicy z Polską, a pośrednio nawet istnienia naszego kraju była w tym czasie aksjomatem polityki Belina. Nienawiść do Polski była w znacznej mierze katalizatorem prosowieckiej polityki RW.

Tak myślały i w tym duchu działały ówczesne niemieckie partie polityczne, od narodowych konserwatystów, przez liberałów i socjaldemokratów, po komunistów oraz elity wojskowe. Niemieckie koła wojskowe w pełni podzielały to nastawienie, optując przy tym za nawiązaniem ścisłej współpracy z Moskwą.

Bardzo znamienna jest wypowiedź dowódcy Reichswehry – ówczesnej armii niemieckiej – gen. Hansa von Seeckta z lutego 1920 r.: „Nikt z Niemców nie powinien ruszyć nawet palcem dla uratowania Polski od bolszewizmu. Polska jest śmiertelnym wrogiem Niemiec, tworem i sojusznikiem Francji. I jeśli diabeł zechce porwać Polskę, powinniśmy mu przy tym pomagać!".

Te słowa się ziściły. Diabeł o imieniu Adolf pojawił się i zrobił to, o czym von Seeckt myślał.

Niemcy już w kwietniu w 1920 r. zawarły porozumienie w sprawie wymiany jeńców z Rosją sowiecką. Problem był bardzo poważny, ponieważ od czasu I wojny światowej po obydwóch stronach przebywały wielusettysięczne masy jeńców. Mówi się, że po stronie niemieckiej było ponad 1 mln jeńców z armii rosyjskiej – była to wielonarodowa grupa. Liczni byli też jeńcy niemieccy na terenie Rosji. Niemcy ochoczo zorganizowali transport jeńców rosyjskich do Rosji – wzmacniając bardzo wydatnie Armię Czerwoną (ACz) wyszkolonymi ludźmi. Na dodatek owi jeńcy po zakończeniu I wojny światowej byli poddani agitacji komunistycznej.

Kilkanaście tysięcy jeńców było Niemcami rosyjskimi, byli oni specjalnie indoktrynowani i przygotowywani do roli emisariuszy Niemiec w Rosji. Przerzuty szły przez Gdańsk, Litwę, Tallin (dawny Rewel) na tereny znajdujące się pod władzą bolszewików.

Szacuje się, że również duża grupa rodowitych Niemców wzmocniła ACz. W grę wchodziły pobudki komunistyczne lub antypolskie. Wywiad polski szacował, że na stronę rosyjską przeszło ok. 20 tys. ochotników niemieckich niebędących komunistami i rewolucjonistami oraz 80 tys. komunistów określanych wówczas jako spartakusowcy.

Tuchaczewski pisze we wspomnieniach o brygadzie niemieckiej w swojej armii. Informacje polskiego wywiadu wskazywały na to, że u boku ACz pojawiały się oddziały z uzbrojeniem i umundurowaniem niemieckim.

Gdy ACz zbliżała się do Prus Wschodnich, do Tuchaczewskiego została wysłana misja łącznikowa. Na czele tej misji stał bardzo aktywny w kontaktach niemiecko-sowieckich mjr Wilhelm Schubert, ostatni attaché wojskowy Niemiec na carskim dworze. Miał on duże doświadczenie w sprawach rosyjskich i angażował się już wcześniej w dialog z bolszewikami. Oczywiście nie pojechał sam do Tuchaczewskiego, miał swój sztab i ochronę.

W tym kontekście doniesienia polskiego wywiadu, że widziano w sztabach rosyjskich oficerów niemieckich w pełnym umundurowaniu z krzyżami żelaznymi itd. wydają się bardzo prawdopodobne. Kwestia obecności niemieckich wojskowych, a nawet całych oddziałów po stronie sowieckiej na froncie wojny 1920 r. jest wart dogłębnego przestudiowania.

Mówiło się o znaczących dostawach broni niemieckiej dla ACz. Po I wojnie światowej Niemcy byli zmuszeni do drastycznej redukcji swoich sił zbrojnych, a pozostała im duża masa broni i amunicji. Ten sprzęt wojskowy płynął półoficjalnie przez obecny Tallin i częściowo Litwę do bolszewików. Estończycy jako pierwsi zawarli rozejm i pokój z Rosją sowiecką, dlatego Tallin stał się głównym punktem przerzutowym ludzi i uzbrojenia dla bolszewików.

O ile jesienią 1920 r., po zawarciu polsko-sowieckiego rozejmu, polityczna „orientacja na wschód" straciła na znaczeniu w oczach dyplomatów niemieckich, o tyle armia niemiecka wiązała z Rosją wielkie nadzieje. Latem 1921 r., krótko po pokoju ryskim, Niemcy utworzyli w swoim przedstawicielstwie dyplomatycznym w Moskwie specjalną komórkę wojskową Sondergruppe R [grupa specjalna R = Rosja – przyp. red.] celem inicjowania i koordynacji współpracy.

Generał von Seeckt widział to w ten sposób, że wobec ograniczeń zbrojeniowych, które nałożono na Niemcy – obejmowały one zakaz posiadania broni pancernej, lotnictwa wojskowego, ciężkiej artylerii, łodzi podwodnych, broni chemicznej itd. – na terenie Rosji bolszewickiej powstaną eksperymentalne jednostki, które będą pracować nad konstrukcjami w tej dziedzinie. Niemcy miały ponadto zbudować sowiecki przemysł zbrojeniowy, który we właściwym momencie zaopatrzy je w nowoczesną broń przeciwko Francji i Polsce. Idea współpracy wojskowej Niemiec z Rosją Sowiecką była zatem głęboko zakorzeniona na długo przed układem z Rapallo w 1922 r., uważanym za moment zwrotny w stosunkach niemiecko-sowieckich.

15 sierpnia i 1 września dzielą tylko dwa tygodnie. Warto zatem spytać, jak doświadczenia wojny lat 1919–1920 wpłynęły na polską politykę i rozwój polskich sił zbrojnych w okresie międzywojennym?

Doświadczenia wojny polsko-sowieckiej wywarły, rzecz oczywista, bardzo duży wpływ na politykę bezpieczeństwa i rozwój Wojska Polskiego w okresie międzywojennym.

Polscy przywódcy nie mieli złudzeń co do konsekwencji sąsiadowania z dwoma mocarstwami dążącymi do rewizji systemu wersalskiego.

Jedno z tych mocarstw, Związek Sowiecki, reprezentowało przy tym totalitarną ideologię, a jej ekspansywność wkrótce

eprasa.pl 7f2490a7a5

uległa wzmocnieniu przez integrację wielkorosyjskiej myśli imperialnej.

Drugie mocarstwo, Niemcy, nawet jako państwo demokratyczne (przed 1933 r.) dążyło do obalenia ładu wersalskiego i rewizji granic na wschodzie. Początkowo Niemcy wskutek ograniczeń narzuconych im po I wojnie światowej nie miały do dyspozycji siły militarnej mogącej wesprzeć te rewizjonistyczne dążenia, jednak wkrótce po dojściu Hitlera do władzy i ta okoliczność – pozytywna z polskiego punktu widzenia – zniknęła.

Jak wiemy, Józef Piłsudski miał pod koniec życia świadomość zbliżającego się końca korzystnej koniunktury geostrategicznej i nadciągania konfliktu na wielką skalę z Polską w samym centrum starcia. Przypomnę jego sceptyczny czy też realistyczny stosunek do własnej polityki „równej odległości" od Berlina i Moskwy: przewidywał tylko jej kilkuletnią skuteczność. Przypomnijmy także jego zalecenie, by w razie zaatakowania Polski nie dopuścić do wojny ograniczonej do samej tylko Polski.

W pewnym stopniu trafną nauką 1920 r. było ograniczone zaufanie do sojuszniczych związków z Francją i dobrych intencji Wielkiej Brytanii i – co za tym idzie – dążenie do politycznej i strategicznej samodzielności. Podkreślam, że były to założenia tylko w pewnym stopniu trafne, gdyż w latach 30. Związek Sowiecki, a zwłaszcza Niemcy osiągnęły tak wielką przewagę potencjału zbrojeniowego, wyrażającą się w liczbie dywizji, ilości sprzętu pancernego, wielkości lotnictwa wojskowego, nasycenia wojsk artylerią, sprzętem łącznościowym, że o prawdziwej samodzielności strategicznej Polski nie mogło być mowy.

Polska była, niestety, gospodarczo i – powiedzmy – strukturalnie zbyt słaba, by temu zadaniu podołać. Polska sama nie mogła odeprzeć czy powstrzymać ataku żadnego z dwóch sąsiednich mocarstw ani tym bardziej ich wspólnej napaści, nie było to możliwe w 1939 r. ani nie było szansy na dokonanie tego w dającej się przewidzieć przyszłości. Wydaje się, że tak ostrej, niewątpliwie bardzo bolesnej świadomości relatywnej niemocy Polski nie było wśród elit politycznych i wojskowych II Rzeczypospolitej. Co więcej, nie było też świadomości, że – nazwijmy to – czas próby jest tuż-tuż.

Co należało w tej sytuacji robić?

Próbując odpowiedzieć na to pytanie, wchodzimy na teren historii alternatywnej czy kontrfaktycznej, na którym historyk czuje się nieswojo. Pozwolę sobie zatem tylko na uwagę o charakterze raczej teoretycznym. Według tzw. realistycznej teorii stosunków międzynarodowych w wypadku, gdy potęga jednego państwa dominuje i zagraża istnieniu innego państwa, wówczas zagrożone państwo musi zawierać sojusze, które tę potęgę zrównoważą. Dodajmy, że sojusze te powinny być skuteczne, to znaczy – muszą zadziałać w chwili próby. Zawieranie i podtrzymywanie takich sojuszy w dynamicznie zmieniających się warunkach to ciężka, wieloletnia praca, wymagająca nakładów materialnych, empatii i zdolności do psychologicznych wyrzeczeń, gdyż strony muszą chcieć trwać w sojuszu i być stale podtrzymywane w przekonaniu o jego wartości i opłacalności dla każdego członka takiego symbiotycznego układu.

Jeżeli przyjrzymy się stosunkom Polski z sojuszniczą Francją, Wielką Brytanią oraz potencjalnymi sojusznikami w regionie – mam na myśli naturalnie Czechosłowację i całą Małą Ententę, Węgry, kraje bałtyckie, Finlandię – to przekonamy się, że w latach 30. – mówiąc kolokwialnie – nie dało się już zrobić niczego, co odwróciłoby bieg wypadków. To znaczy: zaszłości w naszych relacjach z tymi krajami (między nimi) doprowadziły do nieodwracalnych szkód. Sklejenie szerokiego i funkcjonalnego systemu sojuszy było już niepodobieństwem.

Czy był ktoś, kto w latach 20., kiedy taki symbiotyczny układ sojuszy trzeba było zacząć budować, potrafił przewidzieć rozwój wypadków i wprowadzić w życie środki zaradcze?

Nikogo takiego nie było. Co zaś dotyczy polskiego programu modernizacji i dozbrojenia Wojska Polskiego, był on zaplanowany na lata 1936–1942. Opierał się na założeniu, że najpierw zbudujemy polski nowoczesny przemysł obronny, a potem zaczniemy produkcję uzbrojenia opartego na własnych konstrukcjach. Odbywać się to miało z zachowaniem względnej równowagi budżetowej i silnego pieniądza. Łatwo zauważyć, że plan ten nie uwzględniał realiów dramatycznie zmieniających się na niekorzyść Polski.

Czy zatem sytuacja Polski w przeddzień wybuchu II wojny światowej była beznadziejna, a klęska nieodwracalna?

Niestety, moim zdaniem tak! Udało się polskiej polityce osiągnąć tylko absolutnie minimalny cel, czyli nie dopuścić do wyizolowania ataku Niemiec i Związku Sowieckiego na nasz kraj. Nie doszło do tego, że Polska została w miesiąc czy pięć tygodni podbita i rozebrana, nad czym społeczność międzynarodowa po kilku werbalnych protestach przeszłaby nad zniknięciem Polski z mapy do porządku dziennego i stan ten utrwaliłby się na dziesięciolecia.

* * *

Na zakończenie chciałbym zwrócić uwagę czytelników na wystawę „Po Wielkiej Wojnie. Nowa Europa 1918–1923". Ekspozycja, która jest dziełem historyków z 18 krajów, odwiedziła już kilkanaście europejskich miast, a obecnie można ją zobaczyć przed gmachem gdańskiego Muzeum II Wojny Światowej. Opowiada o burzliwych czasach po zakończeniu I wojny światowej, które wywarły ogromny, zauważalny nawet po 100 latach wpływ na kształt Europy Środkowej i Wschodniej. Wystawa będąca dziełem Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność będzie prezentowana do 2 września br.

***Jan Rydel** – historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, obecnie Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. W 2010 r. został mianowany koordynatorem Europejskiej Sieci Pamięć i Solidarność. Jego zainteresowania badawcze obejmują historię Austrii i Niemiec XX–XXI w., a także historię wojskowości XIX–XX w.*

eprasa.pl 7f2490a7a5

WSPIERAMY KULTURĘ I SZTUKĘ

Od początku swojej działalności promujemy dziedzictwo narodowe, wspieramy polską kulturę i sztukę oraz wspomagamy rozwój młodych talentów. Współpracujemy m.in. z Zamkiem Królewskim na Wawelu, Muzeum Narodowym we Wrocławiu i Muzeum Narodowym w Szczecinie. Aktywnie działamy na rzecz artystów, których dzieła składają się na kolekcje własne Banku. Uczestniczymy także w lokalnych inicjatywach artystycznych – w ten sposób ułatwiamy dostęp do kultury i sztuki oraz kształtujemy gusta Polaków.

Bank Polski
dzień dobry

www.pkobp.pl, infolinia: 800 302 302 brak opłat dla numerów krajowych na terenie Polski; w pozostałych przypadkach opłata zgodna z taryfą operatora.
+48 81 535 60 60 opłata zgodna z taryfą operatora

eprasa.pl 7f2490a7a5

Kiedy Rosja będzie znów zdolna rzucić wyzwanie NATO

Zarówno eksperci, jak i wojskowi przestrzegają przed usypiającą narracją, jakoby Rosja tak się wykrwawiła na Ukrainie, że nie będzie miała sił ani chęci, by rzucić nowe wyzwanie Europie

MAREK BUDZISZ

Generał Scott D. Berrier, szef amerykańskiego wywiadu wojskowego, w maju tego roku, w trakcie przesłuchań w senackiej komisji obrony, pytany o to, kiedy Rosja będzie w stanie odbudować swój potencjał wojskowy, odpowiedział, że „szacunki sięgają od pięciu do 10 lat", w zależności od tego, jak sankcje wpłyną na zdolność Federacji Rosyjskiej do produkcji przede wszystkim sprzętu. Jego oceny potwierdziła Avril Haines, nadzorująca wszystkie służby wywiadowcze Stanów Zjednoczonych. W tym przypadku chodzi o całościowy potencjał rosyjskiej armii, zwłaszcza najbardziej nadwyrężone stratami na Ukrainie zdolności sił lądowych, bo marynarka wojenna, lotnictwo i możliwości strategiczne ucierpiały w niewielkim stopniu.

Sytuacja ma się jednak zupełnie inaczej, kiedy mówimy o „odcinkowych" zagrożeniach. Tutaj niekorzystne dla europejskiego bezpieczeństwa zmiany mogą nastąpić znacznie szybciej. Tuuli Duneton,

Reklama | 12/0823/F

Fot. kibri_ho / Shutterstock

eprasa.pl 7f2490a7a5

estońska podsekretarz stanu w ministerstwie obrony, powiedziała „The Foreign Policy", że „Rosja będzie w stanie odbudować swoje siły w ciągu dwóch lat" po zakończeniu wojny w takim stopniu, aby odzyskać możliwość przeprowadzenia ograniczonej inwazji na państwa NATO leżące na Wschodzie. Generał Christopher Cavoli, dowodzący siłami Paktu Północnoatlantyckiego w Europie, uzupełnił tę myśl, argumentując: „Bardzo łatwo jest patrzeć i myśleć, że rosyjska armia upadła lub ma poważne kłopoty, ale w rzeczywistości jest niejednoznaczna. Siły lądowe są znacznie osłabione, mają duże problemy. [...] Z drugiej strony wchłonęli też wielu ludzi. Armia rosyjska, jej siły lądowe są dziś większe niż na początku tego konfliktu". Płk Andrus Merillo z estońskich sił zbrojnych zauważył z kolei, że ci młodsi oficerowie rosyjscy, którzy przeżyli ciężkie walki na Ukrainie, „w bardzo krótkim czasie zostaną dowódcami batalionów i brygad. I będą znacznie bardziej doświadczeni, niż my jesteśmy". A to oznacza, że mając większy potencjał ludzki i wykorzystując doświadczenia zdobyte na ukraińskim froncie, Rosjanie mogą się stać nawet groźniejsi niż przed wojną.

> 60 proc. Rosjan uważa, że istnieje ryzyko przekształcenia wojny na Ukrainie w konflikt Rosja–NATO

Problemem jest oczywiście sprzęt, ale jego odbudowa to tylko kwestia czasu. Analitycy z amerykańskiego Foreign Policy Research Institute są zdania, że Bałtowie „mają od dwóch do siedmiu lat" na to, aby przebudować i znacząco wzmocnić swój system obrony, bo potem, w związku z faktem, że rosyjskie zagrożenie powróci, mogą nie mieć na to czasu. Z kolei eksperci think tanku RAND – którzy niedawno opublikowali obszerny raport poświęcony „słabym punktom" w zachodnim systemie bezpieczeństwa i którzy uważają, że obecnie Stany Zjednoczone utraciły przewagę militarną i mogłyby przegrać ograniczoną wojnę zarówno z Chinami o Tajwan, jak i z Rosją o państwa bałtyckie – wzywają do rozpoczęcia pilnych zmian już teraz. W ich opinii najpóźniej do 2030 r. nowy, przebudowany system bezpieczeństwa musi być gotowy, bo zagrożenie wielką wojną będzie szybko narastać.

Innymi słowy, zarówno eksperci, jak i wojskowi przestrzegają przed usypiającą narracją, jakoby Rosja tak się wykrwawiła na Ukrainie, że nie będzie miała sił ani chęci, aby rzucić nowe wyzwanie Europie.

eprasa.pl 7f2490a7a5

SPOŁECZNE NASTROJE

Zacznijmy od chęci, czyli opisu nastawienia, zarówno rosyjskich elit, jak i społeczeństwa, do przedłużającej się wojny z Ukrainą. Z badań Centrum Lewady wynika, że 77 proc. Rosjan nadal popiera to, co armia Federacji robi na Ukrainie, zaufanie do Putina jest rekordowo wysokie i nie zostało szczególnie nadwątlone w wyniku buntu Prigożyna. Pewnym novum okazało się to, że obecnie 45 proc. ankietowanych jest zdania, iż wojna może jeszcze potrwać przez kolejny rok (w maju 2022 r. było to 21 proc.). 60 proc. Rosjan uważa też, że istnieje ryzyko przekształcenia wojny na Ukrainie w konflikt Rosja–NATO. Jeśli do tego dodamy, że większość ankietowanych uważa, iż to Moskwa chce rozmów pokojowych, a Zachód jest zainteresowany długą wojną, a także to, że 56 proc. wypowiadających się jest zdania, iż za śmierć ludzi w trwającej wojnie „odpowiadają Stany Zjednoczone" (16 proc. winą obarcza Ukrainę), to otrzymamy obraz tamtejszych nastrojów społecznych.

Przekonanie o własnej racji, poparcie dla polityki Kremla, poczucie, że Rosja jest oblegana przez potężnych i bezwzględnych wrogów, jest silnie zakorzenione w społecznej mentalności. To wykorzystują rządzący.

MŁODZI, STARZY, ELITY

Jak na łamach „The Foreign Affairs" napisała Tatyana Stanovaya, od lat zajmująca się śledzeniem rywalizacji w rosyjskim obozie władzy, dziś główna linia podziału przebiega między młodymi, pragmatycznymi politykami w rodzaju zastępcy szefa administracji Kremla Sergieja Kirijenki czy wicepremiera Marata Khusnullina a „starymi" w rodzaju Nikołaja Patruszewa, sekretarza Rady Bezpieczeństwa, czy Dmitrija Miedwiediewa, zastępcy przewodniczącego tego gremium. Ci młodzi pragmatycy krytykują „starych" za nieudolność, nieskuteczność w mobilizacji rosyjskiego potencjału przemysłowego, co ich zdaniem jest niezbędne, aby wojnę wygrać. I jedni, i drudzy uważają, że Rosja musi pokonać Zachód, różnią ich jedynie kwestie, jaka droga najlepiej prowadzi do tego celu. A „młodzi", którzy obecnie są na fali i których pozycja w oczach rosyjskiej opinii publicznej rośnie, chcieliby wojny o jeszcze większym stopniu intensywności i załatwienia porachunków z Zachodem.

Julia Łatynina, rosyjska pisarka i publicystka, dziś na emigracji, jest zdania, że rosyjskiej elicie w gruncie rzeczy nie zależy na pokoju. Wojna otworzyła tym ludziom możliwość zniszczenia opozycji i konsolidacji władzy, ułatwiła też wypchnięcie za granicę młodych, wykształconych i aktywnych Rosjan, którzy w przyszłości mogli się stać zarzewiem buntu. W jej opinii nawet jeśli zaczną się jakieś rozmowy z Ukrainą, to będą one przypominały negocjacje między Izraelem a Palestyńczykami, niekończący się proces pokojowy, który okresowo będzie się przekształcał w krótkotrwałe wojny. Narastała też będzie militaryzacja rosyjskiego społeczeństwa, o czym świadczy choćby skokowy wzrost tematyki wojennej w systemie edukacyjnym, a także kontynuowane będą już rozpoczęte przygotowania do wojny na większą skalę.

Poseł do Dumy, płk Kartapołow, były wiceminister obrony, rekomendując deputowanym przyjęcie nowelizacji ustawy zmieniającej wiek poboru w Rosji, powiedział, że powód zmian jest oczywisty, bo „pachnie wielką wojną". I dlatego Kreml rozszerzył „bazę poboru" z dotychczasowych 6,8 mln do obecnych 9,14 mln młodych mężczyzn. Rosyjscy ustawodawcy idą zresztą jeszcze dalej i teraz mają zamiar wprowadzić kary bezwzględnego więzienia dla unikających mobilizacji. A zatem, jak się wydaje, „mięsa armatniego" Rosji w najbliższych latach nie zabraknie, zaś zapowiedzi rozbudowy potencjału kadrowego sił zbrojnych do 1,5 mln ludzi, o czym Sergiej Szojgu mówił jeszcze w grudniu ubiegłego roku, trzeba traktować poważnie.

A CO ZE SPRZĘTEM?

W świetle szacunków holenderskiego portalu Oryx, którego twórcy zajmują się dokumentowaniem strat sprzętowych obu stron na Ukrainie, Rosja straciła do tej pory w wojnie 2207 czołgów różnego typu. Jak jednak zauważyli eksperci think tanku CSIS, którzy przygotowali specjalny raport poświęcony rosyjskim stratom, potencjał pancerny Federacji na początku wojny wynosił niemal 3 tys. maszyn. Rosjanie średnio, w okresie od lutego ub.r. do maja tego roku, tracili 150 czołgów miesięcznie. Jeśli szacować ich zdolności w zakresie konstruowania nowych i modernizowania tych maszyn, które znajdują się w magazynach długiego składowania, nie przekraczają one 950 sztuk

REKLAMA

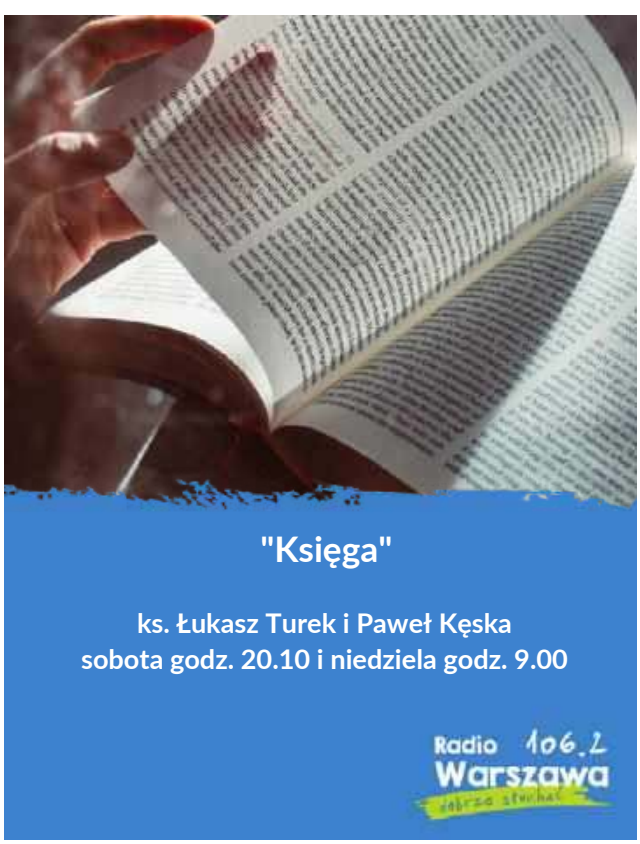

56/0723/F

Fot. Vova Shevchuk / Shutterstock

eprasa.pl 7f2490a7a5

rocznie. Jak niedawno poinformowali dziennikarze portalu The Moscow Times, z największego tego typu magazynu, Wagżanowo w Buriacji, w czasie wojny ubyło 1570 maszyn, czyli 40 proc. zgromadzonego tam sprzętu. Czołgi są uzbrajane na nowo, dostają nowe silniki, systemy ochrony i celownicze, a potem trafiają na front. Nadal jednak w tym magazynie pod gołym niebem znajduje się 2600 pojazdów, a trzeba pamiętać, że Rosja ma jeszcze 20, choć mniejszych, tego typu obiektów. W Federacji działa też obecnie 16 zakładów zajmujących się naprawą i modernizacją sprzętu pancernego, a rząd Miszustina, który w świetle ocen Reutersa już wydaje 100 mld dol. rocznie – czyli 1/3 budżetu – na potrzeby wojenne, deklaruje jeszcze rozbudowę tych zdolności.

Piszę o stratach rosyjskich w sprzęcie pancernym, bo są one proporcjonalnie, wobec posiadanych przed wojną zasobów, największe. W innych rodzajach broni i uzbrojenia, nie mniej istotnych, takich jak artyleria czy systemy walki radioelektronicznej, Moskale nie stracili więcej niż 20 proc. swego potencjału. A to oznacza, że utrzymując dotychczasowe tempo produkcji i modernizacji, jeśli wojna na Ukrainie ulegnie zamrożeniu lub znacznie spadnie jej intensywność, Rosjanie będą potrzebowali maksymalnie trzy lata, aby odbudować swój potencjał sprzętowy do poziomu sprzed konfliktu.

Czy nie przeszkodzą im w tym zachodnie sankcje? Jeśli zostaną utrzymane, to do pewnego stopnia tak, ale dobrym przykładem na efektywność ograniczeń jest rosyjski sektor rakietowy, od wydolności którego zależy to, czy Kreml w przyszłości będzie w stanie prowadzić wojnę „na dystans". Jeszcze w lutym–marcu tego roku zachodni eksperci sądzili, że zapasy magazynowe rosyjskich rakiet „są na wyczerpaniu", ale ostatnio ten pogląd uległ zmianie. Ian Williams, kierujący w think tanku CSIS Programem Obrony Przeciwrakietowej, napisał, że zdolności produkcyjne rosyjskiego sektora przemysłowego w zakresie wytwarzania rakiet, mimo funkcjonowania zachodnich sankcji, nie uległy znaczącemu zmniejszeniu.

Analitycy think tanku Globsec, którzy w specjalnym raporcie poświęconym temu, co państwa wschodniej flanki NATO, graniczące bezpośrednio z Rosją lub zagrożone jej wrogą aktywnością, powinny szybko zmienić w swej polityce bezpieczeństwa, sformułowali też fundamentalne w swej wadze ostrzeżenie. Otóż ich zdaniem jednym z najpoważniejszych błędów może być hołdowanie przekonaniu, iż w wyniku wojny na Ukrainie Rosja w sposób trwały utraciła swój potencjał militarny, a przez to jest dziś – i tak będzie w przyszłości – mniej groźna dla państw naszego regionu. Niestety niewiele na to wskazuje.

> Julia Łatynina, rosyjska pisarka i publicystka, dziś na emigracji, jest zdania, że rosyjskiej elicie w gruncie rzeczy nie zależy na pokoju. Wojna otworzyła tym ludziom możliwość zniszczenia opozycji i konsolidacji władzy, ułatwiła też wypchnięcie za granicę młodych, wykształconych i aktywnych Rosjan, którzy w przyszłości mogli się stać zarzewiem buntu

ARCHITEKTURA BEZPIECZEŃSTWA

Co zatem należy zrobić w najbliższym czasie? Eksperci RAND, którzy nazywają Polskę „filarem bezpieczeństwa wschodniej flanki i kluczowym sojusznikiem strategicznym" Stanów Zjednoczonych umożliwiającym Ameryce projekcję siły w naszej części kontynentu, wzywają do sfinalizowania w najbliższych pięciu latach rozbudowy naszych sił zbrojnych do poziomu 250 tys. żołnierzy. Apelują też o współpracę największych państw kontynentu – Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii – ze Wschodem, bo tylko te kraje mają, ich zdaniem, potencjał ekonomiczny dający szansę na powodzenie szybkiej rozbudowy sił zbrojnych. Stany Zjednoczone mogłyby, wspierając ten wysiłek, nieco się wycofać, zająć kwestią rywalizacji z Chinami i przyspieszeniem zmian technologicznych w siłach zbrojnych.

Bardziej sceptyczni wobec wiarygodności Niemiec i ich Zeitenwende analitycy, w rodzaju Andrew Michty, dziekana George C. Marshall European Center for Security Studies, są przekonani, że Ameryka powinna zmienić swoje priorytety, „stawiając" na obszar Międzymorza. Nie deklaratywnie, ale podejmując działania w postaci przesunięcia swych sił zbrojnych dzisiaj stacjonujących w Niemczech na Wschód, do Polski, Rumunii i do Finlandii. Polska winna zastąpić Niemcy w roli „państwa ramowego" w korpusie NATO-wskim obecnym na Litwie w ramach „wysuniętej obecności", a Finlandia w ten sam sposób wymienić na Łotwie Kanadę. Tak Amerykanie pokazaliby nie tylko to, że zmianie ulegają priorytety strategiczne Stanów Zjednoczonych, lecz również czytelnie „nagrodzili" tych sojuszników, którzy poważnie traktują swoje zobowiązania.

Docelowa architektura bezpieczeństwa na wschodniej flance nie jest jeszcze zbudowana. Mówi się o potencjale umożliwiającym realizację strategii *deterrence by denial plus*, czyli takiej, która uniemożliwi Rosjanom nawet „niewielkie wtargnięcie" na obszar NATO, a potem, kiedy już nasze wojska przejdą do kontruderzenia, przekona Moskali, że wojna jest przegrana i trzeba myśleć o pokoju (to są właśnie te zdolności określane mianem „plus"). Niezależnie od tego, który model zostanie dopracowany na przyszłorocznym, jubileuszowym szczycie Paktu Północnoatlantyckiego w Waszyngtonie, jedno jest pewne – bez zaangażowania Polski żaden system nie powstanie. Niemcy, Francuzi czy Brytyjczycy „mogą, ale nie muszą". Tylko Polska, Ukraina, Bałtowie i Skandynawowie, w obliczu polityki rosyjskiej, znaleźli się w grupie tych, którzy „muszą".

Autopromocja

eprasa.pl 7f2490a7a5

GORĄCE POLITYCZNE WAKACJE Z PUBLICYSTAMI SIECI

CZYTAJ **50% TANIEJ**

Korzystaj z e-prenumeraty SIECI i wSIECI HISTORII
oraz dostępu do **Premium** + wPolityce.pl

Zamów już dziś na **www.siecprzyjaciol.pl**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 7f2490a7a5

Polska kojarzy się tu z solidnością i pracowitością

Pamięć o katastrofie gibraltarskiej jest żywa, świadczą o tym tegoroczne obchody jej 80. rocznicy. Trudno jednak ukryć, że czujemy pewien dyskomfort, bo wciąż nie wiemy, co tam się stało tak naprawdę. Mieliśmy nadzieję, że w 2015 r. Brytyjczycy odtajnią dokumenty, ale zatajono je aż do 2050 r. i brakuje pewności, czy ich ujawnienie opinii publicznej kiedykolwiek nastąpi

Z polskim proboszczem Gibraltarczyków ks. Piotrem Gąsiorkiem rozmawia Małgorzata Wołczyk

Cieszy, że Polska ma „swoich" ludzi nawet na Gibraltarze, a jeszcze bardziej cieszy, że na odcinku tak ważnym jak katolicka wiara. Gibraltar to przecież brama na Afrykę. Czy na tym zamorskim skrawku Wielkiej Brytanii są jeszcze katolicy?

Ks. Piotr Gąsiorek: Przybyłem pod Skałę Gibraltarską w 2015 r., wysłany przez mojego biskupa do pracy wśród tutejszych katolików, ale w wolnej chwili próbuję organizować życie duszpasterskie Polonii, która jest całkiem liczna i mieszka, pracuje po obu stronach granicy gibraltarsko-hiszpańskiej. Pytanie o życie religijne w tej części Europy jest ciekawe, ale odpowiedź nie należy do łatwych. W rzeczy samej Gibraltar jest bramą Europy, tu znajduje się najbardziej wysunięty punkt ku Afryce, z latarnią morską i polskim akcentem, czyli pomnikiem upamiętniającym katastrofę gibraltarską z 4 lipca 1943 r., w której zginął gen. Władysław Sikorski. W tym miejscu znajdują się dwie świątynie: Sanktuarium Matki Bożej, Patronki Europy i meczet, który jest największą świątynią (jeżeli chodzi o rozmiary) naszego miasta. Ciekawostką jest to, że Gibraltar jako brytyjskie terytorium, jest w większości katolicki, co stanowi pewien rys szczególny wobec innych terytoriów zamorskich Królestwa Brytyjskiego.

Skąd się wzięła zatem taka popularność katolicyzmu akurat na skale i to na styku różnych światów?

Gibraltarczycy to potomkowie mieszkańców całego basenu Morza Śródziemnego. Ludzie, którzy mają pochodzenie z Malty, Portugalii, Francji, Włoch, z Genui, Słowenii i Hiszpanii. Przybyli tutaj w XVII w. za pracą, szczególnie rozbudowując infrastrukturę portową.

Korzenie tych ludzi i wspólny mianownik to katolicyzm. Gibraltar posiada 35 tys. ludzi, ok. 27 tys. jest ochrzczonych w Kościele katolickim (76 proc. społeczeństwa). Jednak jak to bywa – liczba nie przekłada się na jakość, to są w większości katolicy z „przyzwyczajenia", czyli ograniczają się do tradycji, bo „wypada" ochrzcić dziecko, wziąć ślub przed ołtarzem itd. Co niedzielę przychodzi na mszę św. od 5-7 proc. katolickiej populacji, to bardzo niski odsetek i pokazuje, że niestety nie jesteśmy wolni od postępującego sekularyzmu. Niemniej jest wielu ludzi, którzy szukają Boga i głębszej relacji z Kościołem, i to oni są wdzięczni, że mogą uczestniczyć w codziennych eucharystiach i formacji chrześcijańskiej.

Czy z perspektywy Gibraltaru Polska ma dla Europy jakąś ofertę? Jakąś markę, z którą jest kojarzona? Zapewne ze św. Janem Pawłem II i z bastionem katolicyzmu.

Oczywiście, szacuję, że 90 proc. Gibraltarczyków zna postać św. Jana Pawła II, papieża Polaka, który przyczynił się do zmiany geopolitycznej w Europie, kojarzą go z krajem pochodzenia, chcą odwiedzić Polskę i z bliska zobaczyć jego ojczyznę. Postać papieża wciąż wnosi wiele dobra, szczególnie jego ponadczasowe nauczanie, które niestety ostatnio w Polsce dość często jest podważane. Mój proboszcz, Gibraltarczyk z urodzenia, określa siebie jako duchowego spadkobiercę naszego papieża, bo to pod jego wpływem uformował swoje chrześcijaństwo i kapłaństwo. Papież Polak był i jest odbierany tu bardzo ciepło i wciąż funkcjonuje jako wzór. Ale też dużo ludzi pozostaje pod wrażeniem naszego uporu, walki i niezgody na ten siermiężny szary komunizm, który zniewalał nasz kraj.

Fot. BBA Photography/Shutterstock.com

eprasa.pl 7f2490a7a5

Kojarzą doskonale Solidarność, ruchy społeczne, zaangażowanie Kościoła w Polsce, śmierć księży zabitych przez aparat komunistyczny, a najbardziej pamiętają bł. ks. Jerzego Popiełuszkę.

To prawda, że uznają nas za jeden z ostatnich bastionów katolicyzmu. Pewna pani powiedziała mi, że będąc w jednym z największych miast Polski, była pod ogromnym wrażeniem, że w niedzielę rzesze ludzi w różnym wieku udawało się na mszę św. Jest to obraz niespotykany już w Europie. Inni pytają mnie, jak nam się w Polsce udaje wciąż zapełniać kościoły. Muszę im przypominać, że to konsekwencja wieloletniej pracy Kościoła, który zawsze był blisko ludzi, pomimo swych wad czy niedoskonałości. Patrząc na naszą historię, szczególnie kiedy nie mieliśmy wolności, Kościół troszczył się o najbardziej potrzebujących, dając nadzieję. W wielu krajach Kościół katolicki nie był tak blisko ludzi, co spowodowało pęknięcie pomiędzy Kościołem hierarchicznym a społeczeństwem. Piszę z perspektywy księdza pracującego osiem lat poza granicami Polski, mam odwagę powiedzieć, że dużą zasługą składającą się na stan Kościoła w Polsce (mimo sekularyzacji) jest praca zwyczajnych księży w parafiach. To oni są dla mnie bohaterami, którzy codziennie spowiadają, odprawiają msze św., prowadzą duszpasterstwa, nabożeństwa, katechizują w szkołach. Oni po prostu są z ludźmi, a tego właśnie najbardziej potrzeba: być w relacji z nimi. Nie jest to łatwe, wśród zamętu społecznego i słabości ludzkiej Kościoła, ale parafianie docenią, że ktoś ma dla nich czas i traktuje serio ich rozterki. Doświadczyłem ogromu ludzkiej wdzięczności, robiąc po prostu to, co wynika z mego powołania. Często powtarzam moim kolegom księżom: pilnujcie konfesjonału, bo łatwo to zaprzepaścić. Dzisiaj w Europie Zachodniej ludzie rzadko się spowiadają, a prawie wszyscy przyjmują Komunię Świętą. Dlaczego? Powodów jest wiele, ale trzeba też odnotować, że ludzie zwyczajnie nie mają okazji do spowiedzi w parafiach.

Z czym jeszcze kojarzy się Polska na antypodach Europy?

Mogę powiedzieć szczerze, że z solidnością i pracowitością. Polska wybija się na mapie jako kraj, który nadgonił wszystkie zapóźnienia po komunizmie, rozwija się w imponującym tempie i przyciąga coraz więcej uwagi także chęci, aby go odwiedzić.

Jest też inna perspektywa ze Skały Gibraltarskiej – na Afrykę. Czy ksiądz należy do grona tych, którzy obawiają się zwycięstwa islamu w starej Europie, która stała się znów neopogańska?

Myślałem nad tym wiele razy i powiem szczerze – rewiduję swoje zdanie na ten temat. Nie obawiam się zbytnio islamizacji Starego Kontynentu z przewrotnego powodu: dzisiejszy człowiek nowoczesnej Europy jest impregnowany na jakąkolwiek religię i wartości. Dla nas, chrześcijan, jest to czynnik negatywny, ale jednocześnie chroni przed ewentualnym ekspansjonizmem islamu. Oczywiście można się spodziewać scenariusza, że islam opanuje w jakimś stopniu instytucje krajów Europy, przestrzeń publiczną, ale moim zdaniem nie jest w stanie opanować społeczeństw, nie będzie to „rząd dusz", nawet jeśli siłą przymuszą do zmiany wiary. Ludzie nie chcą podporządkowywać się żadnym regułom, dogmatom, chcą żyć lekko i wygodnie. Może bardziej będą przyciągani przez ofertę orientalnego Dalekiego Wschodu, ale też à la carte wybiorą co pasuje: harmonię wewnętrzną, ćwiczenia oddechowe, dietę itp. Przez osiem lat doświadczałem i doświadczam ogromnej odporności ludzi, którzy nie chcą sobie narzucić czegokolwiek, a najbardziej wiary i wszystkich konsekwencji z nią związanych. To jest moja opinia, która może okazać się mylna. Kiedyś myślałem, że islam zaleje Europę, ale pobyt na Gibraltarze zmienił moje spojrzenie.

Przyznam, że nie podzielam optymizmu, bo wojowniczy islam umie sterroryzować dzisiejszych ludzi bez wartości, i przyjmą go, jeśli polityczna poprawność ich do tego przekona lub zmusi blokada konta.

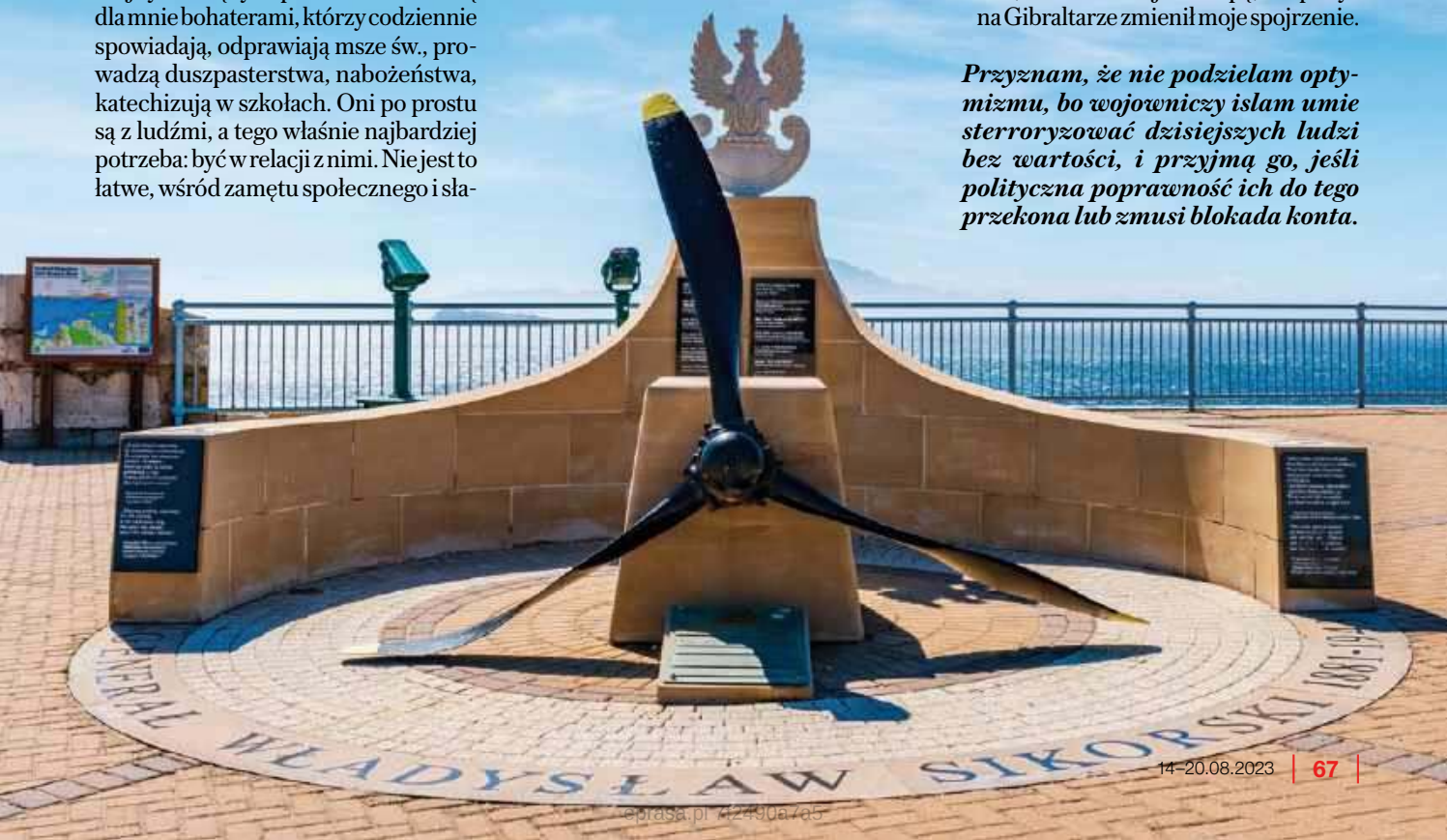

eprasa.pl 42490a7a5

A jednak Gibraltar jest dobrym przykładem, że religie mogą współistnieć pokojowo. Żyje tutaj ok. 2 proc. Marokańczyków, którzy w latach 70. i 80. XX w. zostali zaproszeni do pracy, w czasie zamknięcia granicy na 18 lat przez gen. Franco. Brakowało rąk do pracy, a ci ludzie wypełnili lukę w gospodarce. To są muzułmanie, mają dwa meczety, kultywują swoje tradycje, zwyczaje, religię w poszanowaniu innych grup wyznaniowych. Jak już podkreśliłem, jakość wiary katolickiej jest tu raczej mizerna, bardziej wyraża się w przekazywaniu tradycji. Jedocześnie nie słychać o jakichkolwiek konwersjach na islam, bo ludzie wolą pozostać letnimi katolikami albo niewierzącymi. Jeżeli chodzi o wspólnotę islamską na Gibraltarze, to wszyscy żyją w zgodzie i poszanowaniu swoich przekonań. W kwietniu tego roku zostałem razem z moim biskupem zaproszony na kolację kończącą ramadan – czas pokuty i postu muzułmanów. Było to dobre doświadczenie poznania kultury i tradycji, a także potraw, które tworzą tożsamość marokańską. Byliśmy traktowani niezwykle przyjaźnie i z szacunkiem. Dla mnie to była niezwykła lekcja rzeczywistej tolerancji religijnej.

Owszem, znamy to już choćby z historii: dokąd proporcje wyznaniowe działają na korzyść katolików, choćby letnich, to wyznawcy islamu zachowują się powściągliwie.

Oczywiście nie brakuje opinii, że ta sytuacja z napływem emigracji z Afryki może przynieść zagrożenie, czego byliśmy świadkami na początku tego roku w hiszpańskim Algeciras – młody człowiek zasztyletował kościelnego w parafii, a drugą osobę dotkliwie ranił. Zabójca wcześniej próbował dotrzeć do Gibraltaru, ale służby bezpieczeństwa udaremniły jego przybycie z powodów formalnych. Hiszpanie przetrzymywali go w ośrodku dla uchodźców, aż tenże osobnik dokonał zbrodni. Widzimy, że jest jakiś problem systemowy w tej kwestii.

Mój znajomy, który ma nieco skrajne poglądy, powtarza, że Europa potrzebuje nowego Jana III Sobieskiego, aby pokonać nowe zagrożenie ze strony muzułmanów. Ja jednak myślę, że dzisiaj potrzebujemy bardziej żywych świadków Jezusa Chrystusa, którzy będę „promieniować" wiarą.

Zresztą nasz kraj jest też dobrym przykładem koegzystencji różnych religii. Powtarza się bezrefleksyjnie jakoby Polska była ksenofobicznym krajem. To nieprawda, od zawsze, a reformacja to pokazała dobitnie, że różne narody i religie znalazły swoje miejsce na Wisłą. Niech posłuży przykład Tatarów, którzy bili się za Polskę. Tak jak w historii bywało, tak jest dzisiaj, co często powtarzam moim przyjaciołom na Gibraltarze: w Polsce każdy jest mile widziany, pod warunkiem, że płaci podatki, szanuje prawo, naszą tradycją i zwyczaje, a w przeszłości też – króla. Jeżeli jednak chcesz zdominować społeczeństwo, które cię przyjęło, to nie będzie dla ciebie miejsca. Tak samo jest na Gibraltarze.

> Kiedyś myślałem, że islam zaleje Europę, ale pobyt na Gibraltarze zmienił moje spojrzenie. Nie obawiam się zbytnio islamizacji Starego Kontynentu z przewrotnego powodu: dzisiejszy człowiek nowoczesnej Europy jest impregnowany na jakąkolwiek religię i wartości

Czy pomnik poświęcony katastrofie gibraltarskiej jest miejscem uczęszczanym przez Polaków? Co się mówi na Gibraltarze o tej katastrofie? Jak żywa jest jeszcze pamięć tamtych wydarzeń?

To miejsce jest bardzo znane nie tylko wśród Polaków. Zwłaszcza w sezonie letnim wielu z nas tu przybywa, by oddać cześć i pomodlić się za zmarłych. Warto zauważyć, że pomnik jest pod opieką rządu na Gibraltarze. Jest jednak jeszcze jedno miejsce ważne dla nas, Polaków, czyli Katedra Najświętszej Maryi Panny Królowej. Tam znajduje się epitafium dedykowane gen. Władysławowi Sikorskiemu, tablica poświęcona w ubiegłym wieku przez ówczesnego biskupa Gibraltaru Bernarda Devlin'a, w obecności biskupa Polonii – Szczepana Wesołego. W tej samej części kościoła znajduje się malowidło Matki Boskiej Częstochowskiej, które zostało ofiarowane jako wotum przez żołnierza AK, który ślubował Matce Bożej, że jeżeli zostanie uratowany z niewoli niemieckiej w czasie II wojny światowej, to ufunduje kilka obrazów. I tak dotrzymał słowa. Pamięć o katastrofie gibraltarskiej jest żywa, świadczą o tym tegoroczne obchody jej 80. rocznicy. Jako Polonia staramy się pamiętać i modlić pod pomnikiem, chodzimy też na cmentarz, na którym jest pochowany kpt. Jan Gralewski, jedna z ofiar katastrofy. Trudno ukryć, że czujemy pewien dyskomfort, bo wciąż nie wiemy, co tam się stało tak naprawdę. Mieliśmy nadzieję, że w 2015 r. Brytyjczycy odtajnią dokumenty, ale zatajono je aż do 2050 r. i brakuje pewności, czy ich ujawnienie opinii publicznej kiedykolwiek nastąpi. 5 lipca 1943 r. w katedrze bp Gibraltaru Richard Fitzgerald odprawił mszę św. pogrzebową, po której ciało Naczelnego Wodza zostało przewiezione do Anglii. Rozmawiałem z kilkoma osobami na ten temat, a wątpliwości wciąż się mnożą. Jedna kobieta, która była córką wojskowego nurka, powiedziała, że wojsko brytyjskie nigdy nie wyłowiło ciała generała. To daje asumpt do pewnych przypuszczeń. Ciekawe, że w tym samym dniu, 4 lipca, na Gibraltarze był ambasador sowiecki Iwan Majski. To chyba nie przypadek? Wciąż jednak pozostajemy w sferze domysłów. Pozostaje nam obowiązek pamięci o ofiarach tego lotu i modlitwa.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Czas miniony – znikające brygady

ROMUALD SZEREMIETIEW

Wojska prowadzące działania wojenne powinny być dobrze dowodzone, wyszkolone, uzbrojone i zorganizowane, zwykle w armie, korpusy, dywizje, brygady, pułki, bataliony. Na strukturę organizacyjną wojsk wpływają dwa podstawowe założenia. Po pierwsze jak najskuteczniejsze prowadzenie działań wojennych, po drugie stworzenie i utrzymanie jak najsprawniejszego narzędzia dla tych działań, czyli sił zbrojnych

Doświadczenia, które wynoszono z wojen i konfliktów wybuchających po zakończeniu II wojny światowej – gdy na wielkich terenach ścierały się milionowe armie, setki dywizji, tysiące samolotów i czołgów – wskazywały, że w zakresie struktury sił zbrojnych będą tracić na znaczeniu wielkie jednostki, korpusy, ciężkie dywizje, a coraz większą rolę zaczną odgrywać jednostki lżejsze, mniejsze, lepiej dostosowane do wymogów współczesnego pola walki brygady, a także jeszcze mniejsze „batalionowe grupy taktyczne". Zakładano, że będą potrzebne związki taktyczne operujące samodzielnie na polu walki, przede wszystkim bardziej elastyczne. W rezultacie w wielu armiach zaczęto wprowadzać strukturę brygadową wojsk. Przebudowę sił zbrojnych na system brygadowy usiłował nawet przeprowadzić rosyjski minister obrony gen. Anatolij Sierdiukow. W tym kierunku poszła też armia ukraińska używająca dziś na froncie z dobrym skutkiem kilkudziesięciu brygad.

POLSKA, CZYLI ZWIJANIE

W 1999 r. Polska została przyjęta do NATO. Siły Zbrojne RP w tym czasie liczyły 240 tys. żołnierzy. Był korpus powietrzno-zmechanizowany, siedem dywizji (pięć zmechanizowanych, jedna pancerna i jedna obrony wybrzeża – one w zasadzie miały już strukturę brygadową). Ponadto były: brygada piechoty górskiej, trzy brygady obrony terytorialnej, trzy brygady artylerii, trzy brygady saperów, dwie brygady lotnictwa taktycznego, pięć brygad rakiet przeciwlotniczych i dwie brygady radiotechniczne. Marynarka Wojenna posiadała trzy flotylle oraz brygadę lotnictwa morskiego. Siły te uformowano w poprzednim dziesięcioleciu, gdy obowiązywała zasada „samowystarczalności obronnej", bezpieczeństwo militarne Polski musiało być zabezpieczone wyłącznie własnymi siłami.

Po wstąpieniu do NATO „samowystarczalność" stała się nieaktualna, a w Siłach Zbrojnych RP zaczęto wprowadzać daleko idące zmiany.

Fot. MON

eprasa.pl 7f2490a7a5

Zapowiadano utworzenie „armii mniejszej, ale nowocześniejszej", profesjonalnej i dobrze uzbrojonej, zdolnej do dalekich od kraju ekspedycji, bowiem wojny Europa miała już nie doświadczać.

Zaczęło się zmniejszanie armii. W wojskach pancernych i zmechanizowanych w 2006 r. rozformowana została Wielkopolska Brygada Kawalerii Pancernej im. gen. broni Władysława Andersa, w 2007 r. ten sam los spotkał 6. Brygadę Kawalerii Pancernej im. gen. bryg. Konstantego Plisowskiego. Jednocześnie w 17. Brygadzie Zmechanizowanej oraz w 12. Brygadzie Zmechanizowanej bataliony czołgów przeformowano w bataliony zmechanizowane, co spowodowało zmianę klasyfikacji tych brygad na lekkie – miały być przystosowane do przerzutu na duże odległości. W 2008 r. zlikwidowano 16. Pomorsko-Warmińską Brygadę Zmechanizowaną im. Hetmana Wielkiego Koronnego Stanisława Koniecpolskiego i 36. Brygadę Zmechanizowaną Legii Akademickiej. Na początku 2011 r. rozformowano 1. Dywizję Zmechanizowaną w Legionowie, w tym znajdującą się w jej składzie 3. Brygadę Zmechanizowaną Legionów im. Romualda Traugutta w Lublinie.

Proces likwidacji brygad Obrony Terytorialnej (OT) zaczął Jerzy Szmajdziński, minister obrony narodowej w rządzie premiera Leszka Millera. 30 września 2003 r. rozwiązał 23. Śląską Brygadę OT. Kolejną, 2. Mińsko-Mazowiecką Brygadę OT im. gen. dyw. Franciszka Kleeberga, zlikwidował Radosław Sikorski, minister obrony w rządzie premiera Jarosława Kaczyńskiego (kto podsunął PiS kandydaturę „Radka" na szefa MON?). Następnie kolejni ministrowie zmniejszali brygady OT do batalionów: 1. Gdańską Brygadę OT im. gen. Józefa Wybickiego, 22. Karpacką Brygadę Piechoty Górskiej OT, 18. Brygadę OT im. Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i 14. Brygadę OT Ziemi Przemyskiej im. Hetmana Polnego Koronnego Jerzego Lubomirskiego.

Proces likwidacji wojsk OT przybrał na sile po objęciu urzędu ministra obrony przez Bogdana Klicha w listopadzie 2007 r. W lipcu 2008 r. wszystkie istniejące dotąd bataliony OT zostały przeformowane w bataliony zmechanizowane. 1. Batalion OT (niedawna 1. Gdańska Brygada OT) 1 lipca 2008 r. rozkazem dowódcy Wojsk Lądowych został przekształcony w batalion zmechanizowany, który włączono do 7. Pomorskiej Brygady Obrony Wybrzeża. Także 1 lipca 2008 r. 14. Batalion OT (niedawno była to 14. Brygada OT) włączono w skład 21. Brygady Strzelców Podhalańskich jako 14. batalion zmechanizowany. Następnie 22. batalion piechoty górskiej OT (przedtem 22. Karpacka Brygada Piechoty Górskiej OT) 1 lipca 2008 r. został podporządkowany 21. Brygadzie Strzelców Podhalańskich, zamieniając nazwę na 22. batalion piechoty górskiej. Rozformowano 18. batalion OT (była 18. Brygada OT), tworząc na jego bazie 1 lipca 2009 r. 18. pułk rozpoznawczy. Zakończyła też istnienie wybijająca się 3. Zamojska Brygada OT. W styczniu 2008 r. brygadę przeformowano w batalion OT, a 1 lipca 2008 r. włączono do 3. Brygady Zmechanizowanej w Lublinie z jednoczesnym przekształceniem go w 3. batalion zmechanizowany, który zresztą też został wkrótce zlikwidowany. W ten sposób obrona terytorialna, określana pogardliwie jako „wojsko Szeremietiewa" (byłem inicjatorem utworzenia OT w 1998 r.), została całkowicie zlikwidowana.

Rozwiązywano też brygady w innych rodzajach wojsk, np. rozformowano 1. Brygadę Artylerii, 1. Brygadę Rakiet Obrony Powietrznej, brygadę lotnictwa morskiego. Likwidowane jednostki długo można by jeszcze wymieniać.

W wyniku intensywnej restrukturyzacji i przeprowadzanej przez polityków PO-PSL „profesjonalizacji" w latach 2008–2010 nastąpiła redukcja sił zbrojnych do 100 tys. żołnierzy, co uznano za stan docelowy! Tak odtąd miało być.

W wojskach operacyjnych – siły lądowe – było siedem dywizji, pozostały TRZY. Te dywizje pozbawione wielu jednostek wsparcia i zabezpieczenia, z poważnym zmniejszeniem potencjału, nie zapewniały obrony kraju przed ewentualną agresją. Brygady, które ostały się po procesach „restrukturyzacji" przeprowadzanych przez „reformatorów" z PO prezentowały w większości niski poziom tzw. ukompletowania, były wyposażone w przestarzały sprzęt bojowy.

W czasie pokoju nie utrzymuje się wojska w gotowości do natychmiastowego użycia. W razie zagrożenia obecnie można wcześniej rozpoznać, jakie siły zebrał przeciwnik, co daje czas na doprowadzenie własnych wojsk do odpowiedniej gotowości bojowej. Tego czasu może jednak nie być zbyt wiele. W Polsce spośród kilkunastu brygad wojsk lądowych przeznaczonych do odpierania agresora tylko trzy mogły wejść do walki w ciągu 1–2 tygodni. Osiem brygad potrzebowało na to 2–3 miesiące, dwie brygady mogłyby ruszyć do walki po 4–5 miesiącach.

Na najbardziej zagrożonym kierunku królewieckim Polska miała trzy brygady; dwie zmechanizowane z czasem uruchomienia 2–3 miesiące, i jedną pancerną zdolną do walki po upływie 4–5 miesięcy

Fot. MON

eprasa.pl 7f2490a7a5

[sic!]. Od strony Białorusi w zasadzie nie było niczego, dopiero w Warszawie brygada pancerna zdolna do działań po upływie 2–3 miesięcy. Widać wyraźnie, że ministrowie obrony z PO-PSL mocno wierzyli, że wojny nie będzie!

Marnie wypadały siły powietrzne; wojska obrony przeciwlotniczej z JEDNĄ brygadą przestarzałych posowieckich rakiet niezdolnych do skutecznego zwalczania środków napadu powietrznego, zwłaszcza rakiet balistycznych i manewrujących. W powietrzu lotnictwo dysponujące niewielką liczbą nowoczesnych samolotów F-16 też niewiele mogłoby zdziałać. Znacznie zredukowana Marynarka Wojenna dysponowała dwiema flotyllami (trzecią rozwiązano) posiadającymi na ogół przestarzałe okręty, niezdolne do nawiązania równorzędnej walki z przeciwnikiem takim jak flota bałtycka Rosji. W dobrym stanie były tylko nieliczne wojska specjalne przeznaczone do działań ekspedycyjnych poza granicami kraju.

„PLAN KOMOROWSKIEGO"

Na początku 2000 r. w MON podjęto prace nad nowym kształtem organizacyjnym Sił Zbrojnych RP. W styczniu 2001 r. przyjęto „Program przebudowy i modernizacji Sił Zbrojnych RP w latach 2001–2006", który przewidywał zmniejszenie stanu wojska do 150 tys. żołnierzy. Program był potocznie określany jako „Model Siły Zbrojne 2006", a nawet jako „plan Komorowskiego", który jako minister obrony narodowej go zaakceptował do realizacji (jacy wojskowi przygotowali ministrowi taki „program"?). Kiedy w MON go tworzono byłem sekretarzem stanu, I zastępcą ministra obrony. Te prace były prowadzone – trudno w to uwierzyć – bez mojego udziału, bez udziału pierwszego wiceministra odpowiedzialnego za modernizację techniczną armii!

Kiedy dotarły do mnie informacje, co zawiera „plan Komorowskiego" – likwidację wielu garnizonów, w tym jednostek rozlokowanych na terenach wschodnich RP, drastyczne zmniejszenie liczebności armii – zaprotestowałem. Doszło do ostrej wymiany zdań z ministrem Komorowskim. Nie dał się przekonać, twierdził, że „tak trzeba zrobić". Wyszedłem od niego, trzaskając drzwiami. W następstwie tego starcia minister usiłował, zmieniając statut MON (regulamin ministerstwa), pozbawić mnie kompetencji. Chciał mi odebrać kierowane przeze mnie departamenty, instytuty, biura oraz zakłady przemysłu i przyznać je wprost sobie. Miałem tylko wykonywać zlecane przez niego zadania, dysponując w MON sekretariatem i samochodem służbowym.

Statut MON nadawał zarządzeniem prezes Rady Ministrów. Uświadomiłem ministrowi, że on nie może zmieniać statutu. Zamiar Komorowskiemu nie powiódł się.

Nie było to jednak potrzebne, bowiem agentura WSI od pewnego czasu montowała akcję usunięcia mnie z MON. Odbywało się to pod nadzorem Komorowskiego, który później w wywiadzie dla jednej z gazet chwalił się: „Zleciłem WSI objęcie działaniami Zbigniewa F. (asystenta wiceministra) i Romualda Sz.". Sprawa wyszła na jaw po publikacji w lipcu 2001 r. na łamach „Rzeczpospolitej" artykułu „Kasjer z MON" i usunięto mnie ze stanowiska (https://www.salon24.pl/u/szeremietiew/968118,7--lipca-2001-to-nie-byl-przypadek).

W każdym razie od czasów rządów Komorowskiego w MON proces redukowania armii, zwijania zdolności obronnych na terenach wschodnich państwa przybrał na sile, a kontynuowali go z wielkim zaangażowaniem następcy Komorowskiego, ministrowie obrony z Platformy Obywatelskiej.

Wspomnijmy raz jeszcze: liczebność armii spadła poniżej 100 tys. żołnierzy, zlikwidowano 1. Dywizję Zmechanizowaną w Legionowie, to samo spotkało odbudowywaną 15. Dywizję Zmechanizowaną w Olsztynie, zniknęło wiele brygad, w tym zmechanizowane w Lublinie i Rzeszowie, wszystkie brygady OT, nie było żadnej ochrony przestrzeni powietrznej i karlała Marynarka Wojenna. Zawieszono zasadniczą służbę wojskową, ustał pobór do wojska i zaprzestano szkolenia rezerw. Dogorywał przemysł obronny (Bumar Łabędy, Huta Stalowa Wola). Cała wschodnia Polska została ogołocona z wojska, pozostały trzy dywizje rozmieszone nad Odrą i Bałtykiem, na zachodzie Polski. Było oczywiste, że zamiarem obronnym przyjętym w MON w razie ataku była obrona na linii Wisły, gdyby wschodnia Polska znalazła się pod okupacją agresora. Dlatego też na terenie Polski wschodniej jednostki WP najwyraźniej „nie były potrzebne".

* * *

Rząd Zjednoczonej Prawicy stara się z najwyższym wysiłkiem, także finansowym, odtwarzać zlikwidowane, tworzyć nowe jednostki, wprowadzać do wojska duże ilości nowoczesnego uzbrojenia, czołgów, dział, rakiet, samolotów, rozwijać armię. Wojskowi eksperci „totalnych" opozycjonistów ogłaszają: Himarsy to nieszczęście, artylerii za dużo, umowy zakupowe zerwiemy. Duża armia to megalomania.

Standardy przyjęte w obronności określają liczebność sił zbrojnych państwa w czasach pokojowych („P") na 0,5–1 proc. ludności, czyli w Polsce do 380 tys. żołnierzy. Siły zbrojne w razie wybuchu wojny (czas „W") to 1–2 proc. ludności – do 760 tys. żołnierzy. Do tego trzeba dysponować rezerwami (obywatele przeszkoleni wojskowo), czyli 10 proc. ludności, a więc 3,8 mln! Taki jest standard! MON zapowiada stworzenie 300-tys. armii, wdrożenie różnego rodzaju form szkolenia wojskowego obywateli.

Polacy mają dużo pracy do wykonania.

„15. Brygada Kawalerii Pancernej powstała 1 stycznia 1996 r. na bazie 18. Pułku Zmechanizowanego. Brygada funkcjonowała w strukturze batalionowej, z dwoma batalionami czołgów, batalionem zmechanizowanym, batalionem dowodzenia, dywizjonem artylerii samobieżnej, dywizjonem przeciwlotniczym oraz kompaniami: saperów, rozpoznawczą, remontową, zaopatrzenia i medyczną. Brygada stacjonowała w garnizonie Wędrzyn, gdzie miała idealne warunki szkoleniowe, bliskość poligonów ułatwiała i intensyfikowała szkolenie jednostki. [...] W związku ze zmniejszeniem ilości brygad w Wojsku Polskim, 15. BKPanc została rozformowana, decyzją MON nr Z-70/Org./P-1 z 28 września 2006 r., następnie rozkazem Dowódcy Wojsk Lądowych nr PF-60/Org. z 24 listopada 2006 r. polecono rozformować dowództwo brygady oraz jej pododdziały w terminie do 30 czerwca 2007 r.".

jednostki-wojskowe.pl

eprasa.pl 7f2490a7a5

MACIEJ WALASZCZYK

Postępowy inteligent jest przeświadczony o tym, że za sprawą swoich przekonań ma prawo rządzić każdym zwykłym, przesądnym i niepozbawionym uprzedzeń człowiekiem. To dlatego Jerzy Owsiak wzywa uczestników swojego festiwalu, by przywrócili w Polsce „normalność". Ich wrogiem jest tradycyjne społeczeństwo, którego nie kontrolują

Rewolucja przeciw zwykłym ludziom

Od dwóch lat pod Czaplinkiem odbywa się Pol'and'Rock Festival. To kontynuacja organizowanego przez lata Przystanku Woodstock. Jego pomysłodawcą jest Jerzy Owsiak i nawiązuje on bezpośrednio do reanimowanej w połowie lat 90. XX w. amerykańskiej wersji festiwalu mającego być kontynuacją słynnego spędu hipisów z końca lat 60. Rok 1968 jest przecież symbolem społecznej zmiany i rewolucji. W 1994 r. Owsiak wraz z członkami swojej fundacji pojechał do Woodstock (telewizja publiczna nawet transmitowała te koncerty) i po powrocie postanowił zorganizować podobną imprezę w Polsce.

Nie muzyka jest jednak na niej najważniejsza, ale prowadzona za jej pomocą wojna o świadomość. Podobny duch patronował zresztą Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy. Manifestacyjna filantropia od początku raziła źle skrywaną niechęcią wobec praktykowanego w Polsce, choć nie tak ostentacyjnie, chrześcijańskiego miłosierdzia zwykłych Polaków. Niemal wprost z opisu Maxa Schelera, który zwracał uwagę, że nienawiść można wyrazić pod pozorem jakiejś formy miłości. Owsiak, wcielając się w rolę działacza społecznego, moralisty i psychoterapeuty, sprzedawał młodym i starym – bo WOŚP trafiła pod strzechy milionów polskich domów – konkretną wizję świata i kulturowej zmiany. Taką, jaką na Zachodzie wprowadzały w życie posthipisowskie lewicowe elity, rojąc o egalitarnej, wyemancypowanej, radykalnie demokratycznej wspólnocie, pozbawionej narodowych, rodzinnych, klasowych i religijnych tożsamości.

Fot. Oleg Manusic/REPORTER

eprasa.pl 7f2490a7a5

To też ambicja zmiany ludzkich uczuć, języka, kulturalnych i politycznych symboli. Społeczeństwo w Polsce nie przypomina już tego z początku lat 90., choć milcząca tradycyjna większość wciąż jest silna.

Festiwal nie przynosi nowej muzyki, dlatego najgłośniejszym echem odbijają się organizowane tam spotkania z zaangażowanymi politycznie dziennikarzami, politykami czy celebrytami. Organizatorzy zapewniają, że nie podsuwają ludziom wzorca życiowego, nie podpowiadają, jak mają żyć, ale to robią. Owsiak woła o miłość, tolerancję, szacunek, słuchanie „innego", nawet tego, z którym się nie zgadza, ale głównym zadaniem „najpiękniejszej publiczności najlepszego festiwalu" jest sprawienie, by „ten piękny kraj pięknych ludzi wrócił do normalności". Polska – jak mówi – „nie jest już uśmiechnięta", bo rządzą nią mastodonty. Dlatego potrzebna jest rewolucja. Jak ją zrobić?

Zrealizować główny punkt programowy opozycji: odsunąć PiS, prawicę od władzy. Wzywana jest do tego festiwalowa publiczność, ciągle kokietowana, adorowana, przekonywana o jej wyjątkowości, najlepsza i wspaniała. „Podobno chcecie zburzyć cały porządek świata. Zróbcie to! Zwłaszcza na jesieni" – krzyczał Owsiak przed jednym ze spotkań w ramach Akademii Sztuk Przepięknych. Choć zarzeka się, że nie mówi, na kogo głosować, wskazanie jest czytelne. W tym roku gośćmi festiwalu byli przecież politycy Platformy Obywatelskiej i Lewicy. Katarzyna Kolenda-Zaleska uważa, że jeśli wygra PiS, skończy się demokracja, nastanie autorytaryzm i rząd festiwal zlikwiduje. Choć ze sceny to sam Owsiak szantażował publikę, że jeśli jesienią „coś zawalą", on zrezygnuje z organizacji imprezy w kolejnych latach.

Podobny przekaz, choć o znacznie mniejszym zasięgu, płynie z festiwalu literackiego Góry Literatury organizowanego pod patronatem Fundacji Olgi Tokarczuk. Spotkaniom o książkach (starannie wybranych) towarzyszą ideowo-polityczne pogadanki na temat uchodźców (granica z Białorusią to „strefa ukrytej przemocy"), feminizmu, prawnego umocowania feminatywów, losu ukraińskich uchodźczyń, afirmacja zjawiska cancel culture, wykłady prawników-aktywistów z Wolnych Sądów czy radykalnych ekologów. Magdalena Środa prowadziła nawet cykl „warsztatów z progresywności".

MARKSIZM REALIZOWANY NA ZACHODZIE

Nieżyjący już prof. Augusto Del Noce, wciąż mało znany w Polsce włoski filozof, wykładowca uniwersytetu La Sapienza w Rzymie, do Domu Pana odszedł pod koniec 1989 r. To data symboliczna, oznaczająca upadek systemu komunistycznego. Diagnoza uczonego podążała jednak w przeciwną stronę: „marksizm upadł na Wschodzie, bo jest realizowany na Zachodzie" – napisał przed śmiercią Del Noce. Dzięki staraniom Instytutu Pileckiego do rąk polskich czytelników trafia jedna z jego ważniejszych prac – „Gramsci, czyli samobójstwo rewolucji". Zrozumienie wagi rewitalizacji marksizmu, jakiej dokonał Antonio Gramsci, przed wojną lider Włoskiej Partii Komunistycznej, jest konieczne do tego, by dziś było łatwiej zrozumieć mechanizmy wojny o świadomość, toczącej się wokół nas. Wojny o kulturową hegemonię, w którą Jerzy Owsiak czy Olga Tokarczuk wpisują się znakomicie. Prawica w Polsce chyba nigdy do końca nie rozumiała jej znaczenia. Dowodem tego był i jest brak odpowiedzi na tego rodzaju inicjatywy lub zdziwienie, gdy lewicowo-liberalny establishment medialno-intelektualny stawia opór każdej próbie ingerencji prawicy w domeny uznane przez lewicę za swoje.

Świetnym przykładem na to jest jej histeryczna wręcz reakcja na podręczniki do wiedzy o społeczeństwie przygotowane przez prof. Wojciecha Roszkowskiego. Zakwestionowanie w nich obowiązujących dotąd narracji jest odbierane – podobnie jak próba reformowania wymiaru sprawiedliwości czy zakaz aborcji eugenicznej – jako zamach na wolność i demokrację. Gramsci już przed wojną dostrzegł rolę inteligentów i to ich obwołał prawdziwym zaczynem rewolucji. Trafnie tę zasadę opisał Roger Scruton, zwracając uwagę, że postępowy intelektualista jest przekonany o swoim prawie do rządzenia każdym zwykłym, przesądnym i niepozbawionym uprzedzeń człowiekiem. Owsiak pewnie nie czytał „Listów z więzienia" Gramsciego, ale czuje, o co idzie gra.

WOJNA O KULTUROWĄ HEGEMONIĘ

„Bierna rewolucja", plan wieloletniej „wojny pozycyjnej" był precyzyjnie opracowanym przez Gramsciego scenariuszem komunistycznego Kulturkampfu, realizowanego jako marsz przez instytucje ku władzy nazywanej później metapolityczną, zapewniającej zdobycie hegemonii najpierw kulturalnej, a wreszcie i politycznej. Augusto Del Noce stał na stanowisku, że zarówno narodowo-socjalistyczna rewolucja, faszyzm, jak i marksizm dążyły do niwelacji zastanego porządku i ustanowienia arbitralnej władzy. Był myślicielem katolickim i antymodernistą, ale nie wiązał się z żadnym nurtem konserwatywnym, choć jeszcze w latach 80. był senatorem z ramienia Chrześcijańskiej Demokracji. Szybko dostrzegł jej słabości. Zwalczał m.in. przekonanie, że liberalizm jest chrześcijaństwem,

eprasa.pl 7f2490a7a5

które przekroczyło ograniczenia religijne. W Polsce niestety wielu wciąż podziela ten fałszywy pogląd. Del Noce przestrzegał liderów chadecji przed nawiązywaniem współpracy z socjaldemokratami i komunistami, twierdząc, że stanie się ona politycznie niezdolna do realizacji własnego programu, co oznaczać będzie rządy, które metodami prawicy zrealizują cele polityczne lewicy. Tak też się stało, a historię polityczną współczesnych Włoch uznał za paradygmatyczną, postrzegając ją jako mikrokosmos ogólnoświatowego zmierzchu cywilizacji.

Del Noce był naocznym świadkiem społecznej zmiany, jaka dokonała się w Italii w latach 70. Najpierw legalizacji rozwodów wprowadzonych w parlamencie wspólnymi siłami przez komunistów, socjalistów i liberałów, potwierdzonej przegranym przez katolicką większość referendum w 1974 r., a kilka lat później aborcji i całego procesu sekularyzacji społeczeństwa włoskiego, jakie nastąpiło w czasie 30 lat rządów chadecji w tym kraju. Bez trudu potrafił opisać sposób, w jaki to się stało, zwracając uwagę, że lewica (w tym komunistyczna) objęła władzę intelektualną, zanim zaczęła sprawować tam rządy, wpływając na kształtowanie gustów, świadomości i opinii mas, nie dokonując zmiany systemu społeczno-politycznego. Towarzyszyły temu równolegle rewolucyjne zmiany, jakie przyjął Sobór Watykański II, dostosowujące Kościół do ducha czasów i ułatwiające tym samym realizację jednego z głównych celów Gramsciego, a więc przejścia od społeczeństwa zunifikowanego w religii transcendentnej do społeczeństwa zunifikowanego w immanentystycznej wizji życia. Życia dla samego życia doby kapitalizmu.

Tymczasem Del Noce był zdania, że artykulacja katolickiej nauki społecznej w formule demokratycznego katolicyzmu na dłuższą metę doprowadzi do samobójstwa katolicyzmu, gdyż aktywizując masy, uzdolni je do przyjęcia lewicowo-liberalnych idei. Bardzo ciekawie zauważał, że lewicowa rewolucja, podobna do tej z roku 1968, prowadzi wyłącznie do utraty sensu, profanacji i zburzenia dotychczasowego ładu, którego nie sposób już odbudować w dawnej formie. Dlatego w miejscu pustki pojawia się nihilizm i kapitalistyczne społeczeństwo konsumpcyjne. Dokładnie takie, jakie widzimy dzisiaj w Europie czy USA. Świat po rewolucji to świat nowego totalitaryzmu, w którym spory światopoglądowe są niemożliwe, wyklucza się opcję sprzeciwu, szczyt dominacji nad człowiekiem osiąga się wtedy, gdy on sam zabrania sobie myśleć inaczej, a jego wolność zostaje zredukowana do wyborów konsumpcyjnych.

Myśl prof. Del Noce skupiona była na fenomenie sekularyzacji społeczeństw i kultury Zachodu. Marksizm – jak twierdził – przeforsował rewolucję antropologiczną, która odeszła od koncepcji niezmiennej natury ludzkiej na rzecz przekształcania człowieczeństwa w procesie dziejowym. Komunizm natomiast był etapem przejściowym między przedrewolucyjnym społeczeństwem chrześcijańsko-burżuazyjnym a nowoczesnością, której głównym wyznacznikiem jest sekularyzacja wszystkiego: polityki, kultury, relacji międzyludzkich, a także negacja metafizyki. Materializmem praktycznym, w którym *homo faber* przeciwstawiony został logosowi; materializmem, przed którym przestrzegał św. Jan Paweł II.

> Antonio Gramsci pouczał, że o sukcesie rewolucji decyduje władza usytuowana tam, gdzie sprawuje się kontrolę nad umysłami. Wprowadził pojęcie hegemonii umiejscowionej w instytucjach religijnych, oświatowych, naukowych, artystycznych i w mediach

TECHNOLOGIA WŁADZY „NOWOCZESNEGO KSIĘCIA”

Antonio Gramsci – jak twierdził prof. Del Noce – „najbardziej ludzki z komunistów” zaproponował, by marksistowska idea rewolucyjnego przekształcenia „bazy” ekonomicznej, realizowana w Związku Sowieckim, została porzucona na rzecz permanentnej zmiany kulturowej i biurokratycznie przeprowadzanej socjalnej inżynierii. „Rewolucji zachodniej, doskonalszej od rosyjskiej”, bo dostosowanej do bardziej rozwiniętych i nowocześniejszych państw. Uważał, że w praktyce o możliwości zmiany decydują działania podejmowane w sferze „nadbudowy”, dyktowane wolą polityczną i oddziaływaniem na świadomość mas poprzez instytucje kulturalne. Pouczał, że o sukcesie rewolucji decyduje władza usytuowana tam, gdzie sprawuje się kontrolę nad umysłami. Wprowadził pojęcie hegemonii umiejscowionej w instytucjach religijnych, oświatowych, naukowych, artystycznych i w mediach. By ją przejąć, postulował prowadzenie w świecie zachodniej kultury „wojny pozycyjnej”, polegającej na wdzieraniu się w poszczególne odcinki jego systemu okopów i fortyfikacji, a więc do jego instytucji politycznych, oświatowych, religijnych, do prasy i wydawnictw, na uniwersytety i ambony kościołów. Dziś możemy do tego dodać radio, telewizję, potentatów Big Techu. By zdobywać jeden okop po drugim, a do jeszcze niezdobytych wprowadzać ducha „rozłamu”. Uważał, że przywództwo polityczne należy podporządkować przywództwu kulturowemu, „polityka staje się filozofią, a filozofia polityką” – pisał. Dlatego marksistowskiej koncepcji społeczeństwa obywatelskiego nadał nową postać, porzucając leninowski ekonomizm i uznając, że w życiu duchowym to ono jest sumą ideologiczno-kulturowych stosunków.

Celem rewolucyjnego szturmu stały się więc instytucje opiniotwórcze, „wojna pozycyjna” trwa i nie będzie mieć końca. Pisał o tym Gramsci, a nad Wisłą świadczą o tym paniczne wezwania Owsiaka o rewolucję.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Powstaje kostiumowy serial na podstawie najpopularniejszej powieści Marii Rodziewiczówny „Dewajtis". TVP wyemituje go już jesienią. W głównych rolach wystąpią Michalina Olszańska i Karol Dziuba. Tytułowego bohatera „gra" Dąb Harcerski

Tak szumi Dewajtis

Fot. mat. prasowe

eprasa.pl 7f2490a7a5

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Poszukiwania „odtwórcy" tytułowego Dewajtisa, który mógłby na ekranie godnie reprezentować zarówno literacki pierwowzór, jak i drzewo z majątku pisarki w Hruszowej (dziś na terenie Białorusi), obejmowały różne rejony. Nie tylko w kraju. Jednym z poważnych kandydatów był dąb posadzony w 1937 r. przez prezydenta Mościckiego na fundamentach dworu w podwileńskim Zułowie (miejscu narodzin marszałka Piłsudskiego). Ostatecznie filmowcy wybrali okazałe drzewo niedaleko Warszawy.

POD KONARAMI

Okoliczni harcerze opisali je tak: „Nad rzeczką Czarną, na wysokości Kolonii Nowinki, rośnie 400-letni dąb. Dla nas, harcerzy ze Szczepu »Watra« z Zalesia Górnego i okolic, to dąb szczególny. Pod nim odbyła się pierwsza zbiórka, dająca początek już prawie 20-letniemu szczepowi".

Dąb nazwany Harcerskim, być może teraz, gdy tak wspaniale prezentuje się w oku kamery, zyska nowy, zaczerpnięty z powieści Rodziewiczówny przydomek. W końcu to pod jego konarami rozgrywa się wiele znaczących scen w powstającym właśnie serialu. I to tu dochodzi do dramatycznych wydarzeń, gdy w obronie prastarego drzewa stają zgodnie Irena i Marek – bohaterowie pochodzący z bardzo różnych światów.

PODWÓJNE ZDERZENIE

– Przyjeżdżamy z Ameryki na Żmudź. Irena jest spadkobierczynią, dostaje ziemię z pałacem, ja towarzyszę jej jako przyjaciel, ale – jak się później okaże – także człowiek w niej zakochany – opowiada Jakub Gąsowski, serialowy Marwitz. Wspomniana ekranowa panna Orwid urodziła się za oceanem (jej ojcu, wywiezionemu na Syberię, udało się zbiec z katorgi i przez Alaskę przedostać do Skonfederowanych Stanów Ameryki).

– Irena wychowała się w USA i to widać – podkreśla Michalina Olszańska. – Jest inną dziewczyną niż panny, które zna Marek, opiekujący się majątkiem Orwidów. Spotkanie z nią to dla Żmudzina wyzwanie. Irena musi się odnaleźć w nowym dla siebie świecie, ale też ten świat musi ją zaakceptować.

Z kolei Karol Dziuba tak przedstawia swojego bohatera: – Życie cały czas rzuca mu kłody pod nogi, a on wszystkie te obciążenia bierze na swoje barki.

O relacji z Ireną mówi: – Marek sam ma trudny dostęp do swoich emocji, a tu pojawia się kobieta dosłownie z innego świata i innej kultury. To podwójne zderzenie. Będzie ciekawie.

Aktor, dla którego Czertwan jest pierwszą tak dużą i do tego główną rolą, dodaje, że „Dewajtis" to opowieść o danym słowie. Słowie, które ciąży bohaterowi, komplikuje mu życie, ale z którego honor i poczucie obowiązku nie pozwalają mu się wycofać.

LATO NA ŻMUDZI

Marka poznajemy, gdy na łożu śmierci ojciec przekazuje mu obowiązek opieki nad majątkiem Poświcie. Młody Czertwan – co podkreśla czuwająca nad scenariuszem Ilona Łepkowska – jest głównym bohaterem serialu. To wokół niego budowana jest ekranowa historia, stąd stała obecność Karola Dziuby na planie. Tegoroczne letnie miesiące aktor spędza na serialowej Żmudzi,

eprasa.pl 7f2490a7a5

w realiach sprzed wielu lat. – Mam w tej historii wiele ciekawych aktorskich wyzwań i dużo akcji – zapewnia. I dodaje: – To coś fascynującego: zostawić świat telefonów komórkowych, tabletów, tysięcy informacji, nieustających bodźców i skupić się na wypełnianiu danego przez bohatera słowa.

Wyjątkowe znaczenie dla Czertwana ma prastary Dewajtis. Marek zrobi wiele, by drzewu nie stała się krzywda. Tymczasem poważnym zagrożeniem dla dębu okazuje się niejaki Gierasimow. Występujący w tej roli Marek Bukowski, który obok aktorstwa uprawia reżyserię i ma na koncie doświadczenia pisarskie, dzięki czemu szerzej spogląda na projekt, w którym uczestniczy. – Nie ma to jak solidna powieściowa baza, dobrze napisane, przemyślane sceny i pogłębione postaci – mówi. Na temat swojej postaci dodaje, że jest charakterystyczna oraz mocno zarysowana i w negatywnym sensie miesza w życiu bohaterów.

CO ZASTAJE IRENA

Ilonę Łepkowską – pełniącą funkcję artystycznego opiekuna scenariusza (napisanego przez Ariadnę Lewańską, Monikę Franczak i Pawła Jurka) – cieszy, że Maria Rodziewiczówna wreszcie doczekała się ekranizacji swojej najpopularniejszej powieści. Adaptacja na potrzeby serialu nie była jednak łatwa – książka nie zawiera zbyt wielu dialogów, a jednocześnie jest w niej dużo akcji i kilka planów. Scenarzyści zdecydowali, że do wspomnień cofną wydarzenia z okresu powstania listopadowego i styczniowego oraz wątek konsekwencji narodowych zrywów, czyli odbierania majątków i zsyłki. Plan „współczesny" to koniec XIX w., ok. 30 lat po powstaniu styczniowym.

Krótkie retrospekcje pozwolą widzom zorientować się, jakie były przyczyny sytuacji, którą zastaje Irena; dlaczego Marek Czertwan zajmuje się majątkiem zesłanego na Sybir Piotra Orwida...

PONADCZASOWE EMOCJE

Zdjęcia do serialu rozpoczęły się tuż przed wakacjami. Pierwszy klaps padł 27 czerwca w Suwalskim Parku Krajobrazowym, ale klimat XIX-wiecznej Żmudzi pozwoliły też stworzyć inne lokalizacje: w Muzeum Wsi Radomskiej, na terenie Skansenu Kurpiowskiego w Nowogrodzie i Parku Etnograficznego w Tokarni oraz w Pałacu Glinków w Szczawinie.

Poza odtwórcami głównych ról w siedmioodcinkowym serialu, którego emisję TVP zaplanowała na jesień, zobaczymy m.in. Małgorzatę Pieczyńską, Marię Pakulnis, Grażynę Barszczewską, Mirosława Bakę, Tomasza Sapryka i Stefana Pawłowskiego. Serial reżyseruje Filip Zylber. Autorem zdjęć jest Piotr Śliskowski, scenografii – Jacek Mocny, kostiumów – Elżbieta Radke, muzyki – Antoni Wojnar.

Serialowa adaptacja powieści „Dewajtis" to piąte przeniesienie na ekran prozy Rodziewiczówny (w 1938 r. powstały filmy: „Florian" i „Wrzos", w 1984 r. serial „Lato leśnych ludzi", a trzy lata później film „Między ustami a brzegiem pucharu"). Ekranowy Marek tak mówi o serialu: – Inny świat, inne realia, ale młodzi bohaterowie i ponadczasowe emocje oraz uczucia, a nad całością panuje i czuwa doświadczony reżyser.

Fot. mat. prasowe

3 MIŁOŚCI

Katolicki New Age

ROBERT TEKIELI

Zamęt towarzyszący współczesnemu, zachodniemu myśleniu o duchowości ma dwa główne źródła. Jednym jest obniżenie autorytetu nauki zanieczyszczonej postmarksistowskimi ideologiami, drugim – inwazja wierzeń w przestrzeń wiary. Niemiecka filozofia i kalifornijski New Age skutecznie pozbawiają współczesnego człowieka Zachodu twardych fundamentów racjonalności i duchowej pewności płynącej z Objawienia.

Nowe idee i przetworzone przez popkulturę wschodnie wierzenia paradoksalnie przychodzą do Polski głównie z Zachodu, wprost ze Wschodu czerpie je zaś Kościół katolicki.

Oddziaływanie idei orientalnych na Kościół jest konsekwencją, w dużej mierze, choć oczywiście nie tylko, działalności zakonu jezuitów, niektórych klasztorów benedyktyńskich i ruchu tak zwanej medytacji chrześcijańskiej. Przenikanie praktyk i wierzeń związanych z sufizmem, buddyzmem zen czy hinduizmem jest również konsekwencją uznania przez część katolickich elit za wartościowe idei niesionych przez tak różne postaci jak Carl Gustav Jung, Laurence Freeman czy Anthony de Mello.

W seminariach katolickich Jung długo traktowany był jako neutralny badacz, religioznawca, choć wprowadził do psychologicznego dyskursu całkowicie arbitralne pojęcia pochodzące z religijnych tradycji Wschodu. Promował na przykład bardzo modne, związane z praktyką enneagramu, a wywiedzione ponoć z bliskowschodniej tradycji sufizmu, całkowicie nienaukowe przekonanie o istnieniu dziewięciu typów osobowości człowieka. Mający doświadczenia spirytystyczne Gustav Jung uczynił ze swej psychologii świecką religię, zamazując granice pomiędzy chrześcijaństwem a religiami naturalistycznymi, co umknęło wielu intelektualistom, nie tylko katolickim.

Podobnie jest z Freemanowskim nurtem „medytacji chrześcijańskiej". Obecna w nim koncentracja na mantrze oraz zachęcanie do bezmyślenia pozwala dość łatwo pokazać orientalne korzenie tych technik. Co więcej, gdy głębiej sięgnąć w teksty źródłowe stron www propagujących tę odmianę „chrześcijańskiej" medytacji, szybko można znaleźć teksty guru hinduistycznych przekonujących, że chrześcijanin w modlitwie musi „sublimować energię seksualną" oraz że bez poznania mocy energii kundalini chrześcijanie nie są w stanie wejść na wyższy poziom duchowy.

Podobnie dzieje się w relacji katolicyzm–buddyzm zen. W latach 60. XX w. na Zachód zaczęli przyjeżdżać zafascynowani Japonią kapłani, przekonani, że ćwiczenia zen mogą istotnie wzbogacić duchowość chrześcijańską, nie naruszając w niczym jej integralności. A przecież wystarczy zapytać, czy jako chrześcijanin mogę medytować bez wyprostowanego kręgosłupa. Okazuje się, że nie. Co oznacza, że pozycja ciała decyduje o jakości modlitwy. Czyli mamy do czynienia z techniką, nie modlitwą; a technika nie może być przydatna w modlitwie, czyli pokornym zwróceniu się do wszechmocnej Boskiej Osoby. Podobnie jest z koniecznością opróżniania umysłu, wywoływania w nim pustki. Dla modlącego się człowieka usunięcie z umysłu obrazu Boga, do którego się on zwraca, jest czynnością oczywiście absurdalną. Oczekiwanie to jest natomiast zrozumiałe na drodze medytacji orientalnych, których celem jest rozpłynięcie się osoby medytującego w kosmicznej próżni.

I wreszcie popularny do dziś Anthony de Mello. Bóg, według niego, powinien być widziany jako rzeczywistość kosmiczna, nieokreślona i wszechobecna. Ignoruje się tu charakter osobowy Boga, a praktycznie się mu zaprzecza. De Mello zwodzi też chrześcijan nieprawdziwym poglądem, że w tradycji chrześcijańskiej medytacja jest czystą modlitwą bez myśli o Bogu i bez wyobrażeń Boga. W rzeczywistości zaś medytacja chrześcijańska jest refleksyjną formą modlitwy, a zatem implikuje myślenie o Bogu i treściach wiary. Teorie de Mello są nie do pogodzenia z wiarą katolicką, a w środowiskach katolickich, szczególnie jezuickim, dalej się je promuje.

Upraszczając, można zarysowaną wyżej pokusę współczesnego katolicyzmu nazwać psychologizowaniem duchowości, które – łącząc się z zacieraniem granicy pomiędzy stworzonym światem duchowym a transcendentnym Duchem – rozmywa przekaz Dobrej Nowiny skierowanej do tych, którzy przyjmują ją w prostocie, jak dzieci. Mądrość to nie inteligencja. Mądrość jest darem, który człowiek potrafi przyjąć tylko dzięki pokorze.

eprasa.pl 7f2490a7a5

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Ewentualnie Wakacje to też czas nadrabiania zaległości. Obejrzałem kilka filmów, których wcześniej zobaczyć mi się nie udało, i dalej nie wiem, czy nie popełniłem błędu, chcąc mieć własne zdanie na temat tytułów, o których pisano tak dużo. ***„Irlandczyk”*** Martina Scorsese – rzecz całkowicie zbędna. Ani to historia epicka, ani pozwalająca coś więcej ze świata zrozumieć. Rozumiem sentymenty i melancholię twórców, ale to o wiele za mało. I o wiele za długo. A patrzeć na twarz odmłodzonego De Niro, który wygląda jak figura z Muzeum Figur Woskowych Madame Tussaud, to naprawdę zbyt wiele. Zmarnować taką ekipę: Robert De Niro, Al Pacino, Joe Pesci, Harvey Keitel? Film jedynie dla fanów.

POPKULTURA

Być może Bez rozmachu i zadęcia, więc dużo bardziej strawny jest film ***„Nikt”*** z Bobem Odenkirkiem w roli głównej. Prosta, absurdalna historia. Mordobicie przerywane chwilami „refleksji” i mniej lub bardziej wysilonego humoru. Komiks. Każdy dręczony w szkole dzieciak chciałby tak jak główny bohater móc przejść w tryb „regular everyday normal motherfucker”. Wszystko poza sekwencjami z przemocą jest jedynie zarysowane. Ale – uwaga! – zarysowane doskonale. I tak samo zagrane. Na czele z doskonałą Connie Nielsen („Adwokat diabła”, „Gladiator”). Do pewnego momentu nawet przemoc jest tu realistyczna, by stać się już jedynie stylizacją. Tak samo fabuła. Zadbał o to scenarzysta „Johna Wicka” Derek Kolstad. Jeśli miałeś zły dzień, jeśli miał on swojego czarnego bohatera – te 90 minut jest dla ciebie.

POPKULTURA

Ewentualnie W 2015 r. Cixin Liu zdobył laur Hugo dla najlepszej powieści za prozę SF „Problem trzech ciał”. Była to pierwsza nagroda w historii przyznana autorowi nieanglojęzycznemu. Biorąc więc do ręki powstałą dekadę wcześniej ***„Erę supernowej”***, spodziewałem się czegoś świeżego. Niestety estetyką i swoistą poprawnością może się mierzyć z powieściami socrealistycznymi.

Harcerskie science fiction – mówiąc najkrócej. Wspominam o tej książce z jednego powodu. Zza jej narracji wyziera interesujący sposób myślenia o świecie, w którym nie ma miejsca na uniwersalizm. Z chińskiej perspektywy świat naprawdę wygląda inaczej. Podobnie jak dobrze się bawię, odczytując w wielu filmach i książkach imperialne angielskie oraz francuskie tęsknoty, tak samo perspektywa, z której opowiedziana jest historia przejęcia władzy nad Ziemią przez 13-latków, budzi uśmiech. Nie wiem, czy chodzi tylko o to, że śmieszni sami w sobie są czujący pogardę do wszystkich narodów na świecie mieszkańcy Państwa Środka, którymi prawie 300 lat rządziła garstka Mandżurów ze stepu, a potem pomiatali Japończycy i Anglicy. Projekcja, którą jest „Era supernowej”, znajduje swe zwieńczenie w finalnym koncepcie wymiany ludności jeden do jeden przez USA i ChRL. Tylko tyle.

Warte I wreszcie rzecz godna polecenia: fantasy Naomi Novik ***„Moc srebra”***. Klarowna opowieść, piękna, czysta symbolika, nieoczywista mitologia. O wpływ na swój los walczą trzy bohaterki głęboko osadzone w swoich rolach społecznych, spętane ograniczeniami biorącymi się czy to z nędzy, czy to z wysokiej pozycji społecznej. Wszystko to w średniowiecznym, niby rusińskim uniwersum – kraina, w której toczy się ta opowieść, zwie się Lithvas. Egzystencjalne wątki plotą się z motywami nadprzyrodzonymi, zupełnie niekolizyjnie wpleciony też został motyw żydowskiego pochodzenia jednej z bohaterek. Akcja nie jest tu jednak elementem dominującym; siłą tej opowieści jest jej nieoczywistość i bezinteresowność. Warto poświęcić bohaterkom Naomi Novik kilka leniwych wieczorów.

POPKULTURA

Robert Tekieli, *Polskie Radio*

W felietonie pt. „Popkulturowe uniwersum AI” z 31 VII 2023 r. pod oznaczonym przeze mnie cytatem z tekstu prof. Andrzeja Kisielewicza zabrakło informacji, że pochodzi on z miesięcznika opinii „Wszystko Co Najważniejsze”.

eprasa.pl 7f2490a7a5

Chorwacja po sezonie

To ciekawa próba wyzwolenia współczesnych Chorwatów z niezgrabnego kostiumu, uszytego z kredowych prospektów agencji turystycznych i kilku rozmytych zdjęć

Wojciech Stanisławski

„Fjaka" to dokładne przeciwieństwo tego, czego spodziewalibyśmy się po „książce o Chorwacji wypuszczonej na rynek w lipcu" – i szanuję taką niezależność wydawnictwa. Turyści polscy bowiem, jadący w lecie do Dalmacji (nawet mimo obaw przed cenami w euro), zwykle biorą ze sobą nieskomplikowane przewodniki: Split – pałac Dioklecjana i Riva, Sinj – turniej rycerski, Zadar – kościół św. Donata. Adresy kilkunastu pensjonatów, „najgorętsza atmosfera w piątkowe i sobotnie wieczory panuje w klubie GlaZZba" (wszystkie takie informacje, nawet, jeśli prawdziwe w chwili pisania, są już nieaktualne w chwili publikacji), „warto zagadnąć rybaków w miejscowym porcie" i spróbować, oprócz ćevapu, pieczonej dorady i lokalnego winnego szczepu plavac. Do tego „historia w pigułce" (średniowiecze, Turcy, Austria, ustaše, „rozpad Jugosławii"), „kultura w pigułce" (Držić, Bošković, Meštrović, Ugrešić – ewentualnie, dla przełamania rymu wewnętrznego, Krleža) i garść najbardziej użytecznych zwrotów: *molim, hvala, dobro jutro, za dom spremni*.

Książka Aleksandry Wojtaszek najdalsza jest od podobnego układu treści, choć oczywiście smacznych lokalnych zwrotów znajdziemy tam sporo, od tytułowej *fjaki* (będącej skrzyżowaniem włoskiego *dolce far niente* i serbskiego *baš me briga*; ogólnie rzecz biorąc, chodzi o *mañanę*) po wspaniały serbochorwacki termin oznaczający głębokie pustkowie sprzyjające zachowaniu zagrożonych gatunków, czyli *vukojebinę*. I mimo że gęsto w niej od historii i sporów o nią, nie jest w niczym podobna ani do autorskiej, zdyscyplinowanej prezentacji tysiącletnich dziejów ziem chorwackich (jak w świetnej pracy Macieja Czerwińskiego, recenzowanej na tych łamach przed trzema laty), ani do któregoś z wysmakowanych, pachnących mitem, mirtem i myrrą esejów ukazujących Dalmację jako cząstkę kultury i historii Śródziemnomorza, w stylu Hamvasa, Jezernika czy Joanny Rapackiej.

Nie: „Fjaka" to rzetelna, choć pisana trochę na kontrze wobec dominujących stylów opowiadania o Chorwacji, próba zaprezentowania tego państwa w pokolenie po zakończeniu wojen lat 90., pisana w oparciu o relacje trzydziestolatków, dla których weterani „domovinskog rata" są ojcami lub wujkami. Dziesiątki reporterskich wrażeń, obrazków i rozmów podbudowane zostały rzetelną wiedzą o historii najnowszej, polityce i gospodarce kraju – tyle że każdorazowo służą przedstawieniu wycinka współczesności: przemysłu turystycznego widzianego „od zaplecza", zapaści gospodarczej i społecznej miasteczek położonych w interiorze, od Drniša po Benkovac, kokietowaniu „wielokulturowością" tam, gdzie można raczej mówić o zderzeniu kilku silnych nacjonalizmów. Wysoki poziom „Fjaki" wyznaczają już pierwsze teksty, choćby „Kraina wiecznego lata", traktująca o kulisach „turystyki apartamentowej" i jej fatalnych skutkach, które znamy z Krakowa czy z Gdańska: drenowania miast z mieszkańców aż staną się wydmuszką, obsypaną w dodatku śmieciem gastronomicznych sieciówek i salonów tatuażu. Dla zainteresowanych historią szczególnie cenne będą szkice z środkowej części tomu, poświęcone (re)konstrukcji tożsamości narodowej: „Ślusarz, doktor i król" (czyli rzecz o trzech niejednoznacznych chorwackich figurach wodzowskich: Matiji Gubcu, Ticie i Franjo Tudjmanie) czy „Śpiewa rock and roll cała Jugosławia", próba zrozumienia fenomenu jugonostalgii. Pisane z wyraźnym dystansem do wszelkich zbiorowych wzruszeń, dowodzą jed-

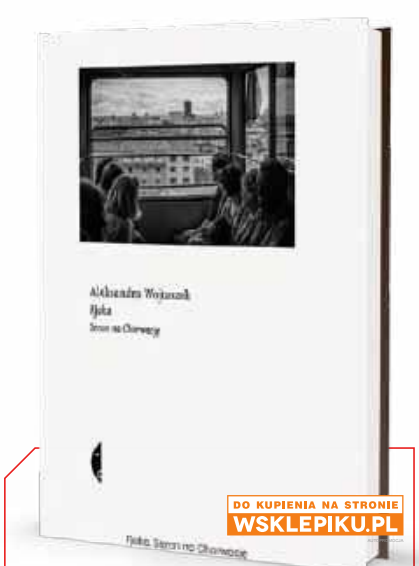

Aleksandra Wojtaszek, „Fjaka. Sezon na Chorwację", wyd. Czarne, seria Sulina, 2023

eprasa.pl 7f2490a7a5

nak kompetencji autorki, bałkanistki i tłumaczki chorwackiej prozy.

Inna rzecz że, jak to nieraz bywa, książka Aleksandry Wojtaszek mówi przy okazji sporo o autorce: trochę w trybie deklaracji, trochę mimochodem. „Fjaka" bardzo wyraźnie napisana jest z perspektywy rówieśniczki niepodległej Chorwacji, innymi słowy – kogoś z pokolenia milenialsów. Czytelnika powyżej trzydziestki zastanowić może podsumowanie kiczowatej dyskotekowej dekoracji (zielona ośmiornica w cylindrze, *quelle horreur!*) zdaniem „W blasku słońca przypomina kwasowy sen na bardzo złej fazie", sam bowiem skłonny byłby przypisać podobne doznanie zbyt hojnej dawce travaricy. Opinia o młodych, którzy pobrali się w latach II wojny światowej na Istrii („ich wiara w sens kultywowania życia bez względu na okoliczności wywołuje u mnie ciarki"), jest równie typowa dla milenialsów, co zdumiewająca dla innych roczników, podobnie jak łatwość zamiennego posługiwania się określeniami „prawicowy", „konserwatywny" i „nacjonalistyczny" jakby w przekonaniu, że znaczą to samo: każdą próbę afirmowania tożsamości zbiorowej. Lekki ton zblazowania („kilka miesięcy spędzonych na chorwackim wybrzeżu powoli impregnuje mnie na zachwyt nad zlewającymi się błękitami") jest za to bez wątpienia osobisty, a zarazem ponadczasowy do tego stopnia, że wzrusza: który debiutant potrafił się przed nim uchronić?!

Z tym wszystkim „Fjaka" stanowi świetne poszerzenie (mocno podszyte goryczą) wiedzy o bliskim, a często bardzo powierzchownie znanym kraju, próbę wyzwolenia jego dzisiejszych obywateli z niezgrabnego kostiumu, uszytego z kredowych prospektów agencji turystycznych i kilku rozmytych zdjęć. To wręcz idealna lektura na deszczową jesień, spędzoną w oczekiwaniu na kolejną podróż do miejsc, gdzie będzie już tylko plavac i biel, oliwka, Dioklecjan i barok (oraz ewentualnie ośmiornica).

Coraz ostrzejszy harpun

Dobry obyczaj każe publikować listy i dzienniki w pewien czas po śmierci ich autorów, nie ma więc nic niezwykłego w tym, że w podobnym trybie ukazuje się również „Najwyższy człowiek świata": zbiór pięciu esejów poświęconych przez Adama Zagajewskiego osobie i twórczości Józefa Czapskiego, dwudziestu kilku wymienionych przez nich listów oraz tuzina wierszy poety, w których – w dedykacji, w odniesieniu, w migawkowej scenie – pojawia się Czapski. A jednak w przypadku tej książki wyjątkowo wyraźnie widać, jak odejście obu stworzyło niezbędny dystans, jak przywraca czystość zapisanym słowom, które wcześniej mogłyby się wydać egzaltacją.

Cztery eseje Zagajewskiego publikowane były już wcześniej, i żeby oddać im sprawiedliwość, trzeba by je cytować w całości: wróciły do mnie, z całą zapierającą dech urodą łączenia i zderzania przez autora przeciwieństw: granitu i tlenu, kamienia i kotwicy, abstrakcji i konkretu, polityki i wieczności. To cztery portrety Czapskiego w różnych „przekrojach": malarza i myśliciela, malarza i majora, czytelnika Norwida i Rozanowa, Czapskiego i Józia („Czapski to ktoś, kogo można poznać z jego dzieł, książek i obrazów, a także z historii jego życia [...], natomiast człowieczeństwo Józia zniknęło z powierzchni ziemi raz na zawsze"). Odwołują się do pewnej matrycy faktów, nieobcych pewnie tym, których raz zafascynował Czapski (Pryłuki, Hering, Weil, Giedroyc, Bonnard; motorower, metro i samotna kobieta na jego peronie) – Zagajewski jednak wyprowadza z tej matrycy zachwycający, napowietrzny ciąg, grający w powietrzu jak stalowy most, prowadzący nas do zrozumienia, kim naprawdę był bohater tych tekstów. Piąty esej, niedokończony za sprawą śmierci autora, to wyjątkowo wnikliwe odczytanie zgromadzonych na dwóch wystawach obrazów Czapskiego: ukazanie jego dzieł jako „świata niedokończonego", podkreślenie szczelin, nieciągłości, świadomej rezygnacji malarza z „doskonałości profesjonalizmu".

Ale nawet nie te eseje są najdonioślejsze, lecz zapis spotkania w połowie lat 80. dwóch tak różnych osób: Czapskiego, z jego dziecięcością pokroju Myszkina i aleksandryjskiego Zagajewskiego. Garść listów i tuzin wierszy, których, jak pisze Andrzej Franaszek, redaktor tomu, Czapski był jednym z najczęstszych bohaterów. Emocje w kolejnych listach Czapskiego, dyskretny spór, jaki prowadzi z nim w kolejnych utworach Zagajewski („spoza mgieł wyszło białe słońce / i przeszył mnie ostry harpun zachwytu") i świadectwo dogasania w kolejnych wierszach – to wszystko byłoby nieznośnie ostentacyjne, gdyby opublikowane zostało wcześniej. A teraz, w ponad dwa lata po śmierci drugiego z autorów, wszystko stało się pomnikiem, delikatnym, tak różnym od tych materialnych, o których Zagajewski pisze z despektem „mosiężne przyciski do papieru".

W czasach świetności „Zeszytów Literackich" nieraz komentowano z rozbawieniem, często z nutą złośliwości to, co odczytywane było jako wzajemne zachwycenie sobą członków i współpracowników redakcji, rodzaj ksobności. Czas wprowadza korektę: owszem, była tam pewnie szczypta samozachwytu (gdzie jej nie ma?), ale drukowanie z atencją kolejnych zapisków i listów Czapskiego było też po prostu oszczędną próbą dzielenia się opowieścią o tym, którego poznali.

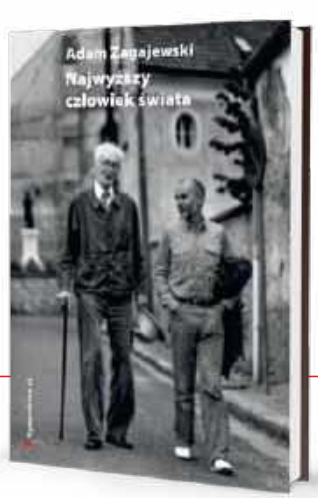

Adam Zagajewski, „Najwyższy człowiek świata", wyd. a5, 2023

eprasa.pl 7f2490a7a5

ZAREMBA SŁUCHA RADIA

Całkiem inny Baczyński

Radio dla Ciebie pod batutą Tadeusza Deszkiewicza konsekwentnie odkrywa dla nas nieznanego Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Jesienią 2021 r. dostaliśmy w formie słuchowiska jego dramat „Pora gniewu". Dramat niedokończony i znany jedynie filologom. Do formy teatru radiowego dostroiła go Aleksandra Głogowska, kierowniczka literacka RdC.

Tamten tekst był posępnym traktatem o ludzkich wyborach w obliczu wojennego zagrożenia. To był Baczyński, którego kojarzymy – uginający się pod brzemieniem katastroficznych wizji, kiedy świat dwudziestolatków runął, kiedy borykali się z ostatecznymi wyzwaniami, z perspektywą własnej śmierci.

Za to „Cudowne przygody pana Pinzla rudego" to opowiadanko napisane przez Baczyńskiego, jeszcze ucznia liceum im. Batorego w Warszawie, przed wojną. Odkryła go Małgorzata Wichowska z Muzeum Literatury, adaptowała i wyreżyserowała znów Głogowska. To nie tylko kolejny utwór nieznany. To utwór w całkiem innym stylu od tego, co nam się z Baczyńskim kojarzy. Groteskowa w tonie humoreska o przygodach nauczyciela geografii w powiatowym miasteczku Kulkowie i jego jamnika nazwanego Hazdrubal (imię kartagińskiego wodza).

Wszystko tu się spiętrza w scenach bez mała surrealistycznych. Z motywem szkoły, będącej żywiołem absurdu i zniszczenia, jako czymś przewodnim. Zarazem opowiadanie się urywa. To pulsujący soczystym językiem, ale jednak okruszek. Zestawiany z powieścią „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, którą Baczyński cenił, ale bez myśli tego utworu. Spiętrzenie absurdalnych sytuacji nie prowadzi nigdzie. Gdyby to dokończył, co by było na końcu?

Ale warto było się tym zająć. Dla walorów literackich „okruszka". Ale i po to, aby spytać o autora. O jego wyobraźnię, o literackie umiejętności. Gdzie by z nimi zawędrował, gdyby przeżył wojnę?

Jakie światy próbowałby nam kreować? Czy miałby okazję do kreowania czegokolwiek, jako człowiek z formacji AK-owskiej, potencjalnie niewygodny? Wiadomo, że już zabitego w powstaniu warszawskim nowa władza próbowała aresztować. Z drugiej strony, czy szedłby drogą poety bez mała neoklasycznego? Czy ujawniłby pazur drugiego Gombrowicza pomnożonego przez Sławomira Mrożka? A może jedno i drugie? Czy by mu pozwolili?

RdC nadało słuchowisko dokładnie 1 sierpnia, w 79. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. Więc ciążył nad tym Baczyński bardziej znany. Ten od „Jeno wyjmij mi z mych oczu szkło bolesne, obraz dni", co tak pięknie jeszcze w PRL spopularyzowała Ewa Demarczyk. Ale może zderzenie tych wojennych fraz z panem Pinzlem rudym i jamnikiem Hazdrubalem lepiej nam uświadamia wielkość pokoleniowej straty, ale i komplikację świata.

To byli żywi ludzie, nie pomniki. Dowcipni, bawiący się słowem, ale i łowiący nowoczesne trendy kulturowe. Swojscy w czerpaniu z polskiego „tu i teraz". Ale też umiejący z tej swojskości dworować, co się w „Pinzlu" czuje. Możemy być z nich dumni. Ale możemy ich też polubić.

Nie byłoby tej humoreski bez wyobraźni reżyserki wzmacnianej mocno „odjechaną" muzyką Marcina Nierubca. I bez głosów: poważnego i statecznego Andrzeja Seweryna w roli jamnika, trudnego do rozpoznania Adama Woronowicza, jako pana Pinzla wygłaszającego odrealniony wykład o bohaterskim kangurze, i całkiem nie do poznania Piotra Adamczyka jako namolnego fryzjera. Nawet epizody Konrada Żygadły w roli ucznia Cybuszka, Marii Maj i Magdaleny Kuty w rolach żony i sąsiadki, wreszcie Krzysztofa Szczepaniaka jako narratora, warte są zapamiętania. Księdza katechetę zagrał... bp Michał Janocha, cudowny humanista, siostrzeniec Jana Olszewskiego. Wszystko tu musiało nas zaskakiwać. I zaskoczyło...

Piotr Zaremba

Fot. Radio dla Ciebie

eprasa.pl 7f2490a7a5

„Stop manipulacji!”

PGE startuje z kampanią informacyjną dotyczącą cen energii

PGE Polska Grupa Energetyczna startuje z kampanią informacyjną pt. „Stop manipulacji!”, której celem jest zwiększenie wiedzy Polaków na temat kształtowania cen energii. Jest to reakcja na działania dezinformacyjne, kwestionujące realnie niskie koszty energii elektrycznej w Polsce. Obecnie Polacy korzystają z jednych z najniższych cen prądu w Europie. Przed wysokimi cenami prądu najsilniej chronione są polskie gospodarstwa domowe, które dzięki wprowadzeniu rządowej Tarczy Solidarnościowej, płacą rachunki za energię na poziomie z ubiegłego roku

Najliczniejszą grupę odbiorców na polskim rynku energii elektrycznej stanowią gospodarstwa domowe, których jest ponad 15 mln. To one są największym beneficjentem rządowej Tarczy Solidarnościowej, dzięki której każda polska rodzina oszczędza rocznie na wydatkach za prąd średnio od 2 tys. do nawet 3 tys. zł. Nowelizacja ustawy o ochronie odbiorców energii elektrycznej w 2023 r. dodatkowo zwiększy te limity, a jej wprowadzenie oznaczać będzie kolejny tysiąc zł więcej w portfelach Polaków.

– Dzięki wsparciu rządu i polskich firm energetycznych, rachunki za prąd w Polsce należą do jednych z najniższych w Europie. Polacy płacą za energię znacząco poniżej średniej dla całego kontynentu, a w porównaniu z niektórymi państwami ceny w Polsce są niższe nawet kilkakrotnie. Tymczasem coraz częściej rozpowszechniane są wprowadzające w błąd przekazy o rzekomo wysokich cenach energii w Polsce. Kampania edukacyjna PGE „Stop manipulacji!” ma za cel zapewnić powszechny dostęp do rzetelnych informacji, opartych na danych i źródłach z oficjalnych europejskich analiz, zweryfikowanych przez ekspertów Agencji Rynku Energii. Jest to nasza reakcja na zmanipulowane informacje. Podkreślam, że rachunki odbiorców są i pozostaną niskie dzięki rządowej Tarczy Solidarnościowej, wspieranej przez polskich sprzedawców energii – wyjaśnia Wojciech Dąbrowski, prezes zarządu PGE Polskiej Grupy Energetycznej, która do końca roku przeznaczy na obniżenie rachunków Polaków aż 10 mld zł.

Z chwilą wprowadzenia przez rząd tzw. Tarczy Solidarnościowej wszystkie gospodarstwa domowe w Polsce zostały objęte ochroną przed wzrostem cen energii w formie limitów zużycia, przysługujących odbiorcom indywidualnym korzystającym z taryf G11 i G12. Energia w limitach od 2 tys. do 3 tys. kWh jest sprzedawana po cenach zamrożonych na poziomie z 2022 r. W efekcie wszyscy odbiorcy z tych grup taryfowych płacą za rachunki mniej niż połowę realnej ceny wytworzenia energii. Tarcza Solidarnościowa obejmuje również samorządy, instytucje publiczne oraz sektor MŚP, które zostały objęte ochroną w postaci ceny maksymalnej. Obecnie w parlamencie jest procedowana nowelizacja ustawy, która zwiększy zakres ochrony poszczególnych grup odbiorców przed wzrostem cen energii.

Kampania PGE pt. „Stop manipulacji!” rozpoczęła się 8 sierpnia br. i będzie trwała do 28 sierpnia br., wykorzystując formaty digital. W projekcie wykorzystano analizę Agencji Rynku Energii, która przeanalizowała maksymalne limity cen energii dla gospodarstw domowych, obowiązujące w kilkunastu europejskich krajach na dzień 30 czerwca 2023 roku.

Artykuł sponsorowany | 1/0823/F

eprasa.pl 7f2490a7a5

HANNA RYBKA*

Bitki z węgierską papryką

Urodziłam się w Zakopanem, teraz mieszkam w Poroninie, czyli można powiedzieć – rzut góralskim kapeluszem od stolicy Tatr. Wychowałam się w góralskiej kulturze, której nieodłącznym, spajającym wszystko elementem była i jest muzyka, a także tradycja rodzinnych oraz wspólnotowych spotkań. Również przy stole.

Mama była świetną gospodynią. Mistrzynią m.in. bitek cielęcych, które robiła w pysznym sosie doprawionym węgierską papryką. Tą ostrą i tą łagodniejszą, ale zawsze znakomicie podkreślającą walory mięsa.

Z Węgrami połączył nas Łuk Karpat. Podobnie jak dziś, także w przeszłości Węgrzy często przyjeżdżali do Zakopanego. Wraz z nimi docierały do nas mocniejsze, wyrazistsze przyprawy. W bitkach, które przyrządzała moja mama, zawsze czułam węgierską paprykę. To smak mojego dzieciństwa.

Intensywne życie zawodowe sprawia, że nie zawsze znajduję czas na gotowanie, ale w święta i z okazji rodzinnych wydarzeń nie może zabraknąć na stole domowych potraw oraz tradycyjnych smaków. Czasami dodaję do nich nowe przepisy. Bardzo lubię orientalną kuchnię. Za jej warzywną lekkość, owocową świeżość i pikantne doprawienie. Ale – gdy mnie pani o to zapytała – uświadomiłam sobie, że dla mojej córki smakiem dzieciństwa mogą być – jak w moim przypadku – wspomniane już bitki. Często je w domu robię.

Kluczowa jest w nich znakomitej jakości „domowa" cielęcina. Z umiarem przyprawiona (by nie stłumić smaku delikatnego mięsa) papryką, czosnkiem i dosłownie szczyptą soli. Mnie to danie najbardziej smakuje z kaszą gryczaną.

Lato kojarzy mi się z koncertami, Międzynarodowym Festiwalem Folkloru Ziem Górskich i z... malinami. Gdy tylko znajdę chwilę, w sezonie robię z tych owoców sok. Któregoś roku wyszło mi 80 litrów. Chociaż zapas skończył się już w styczniu, to jesień i kawałek zimy pachniał nam cudownie malinami.

Sierpniowy festiwal w Zakopanem to nie tylko muzyczne spotkania. W programie są tzw. dni narodowe, w czasie których wybrane zagraniczne zespoły prezentują rodzimą kuchnię i związane z nią tradycje. W tym roku będą to grupy z Węgier, Rumunii i Chorwacji.

Wcześniejsze edycje festiwalu pozwoliły mi poobserwować, jak goście spoza Polski reagują na nasze regionalne dania. Okazuje się, że chętnie sięgają po kwaśnicę i oscypka – ten oryginalny, z lokalnego sprawdzonego źródła, zbiera wiele pochwał. Ciekawią ich moskole. Chwalą naszą wersję baraniny, zarówno tej dobrze wypieczonej, jak i duszonej w sosie własnym z warzywami. Ale najważniejsze – podobnie, jak dla nas – jest to, że zarówno przy stole, jak i przy wspólnym muzykowaniu, można się lepiej poznać.

Notowała ***Jolanta Gajda-Zadworna***

** wokalistka z Podhala, dyrektor artystyczna Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem*

Moskole

Ugotowane i rozgniecione ziemniaki, do tego sól, trochę mąki, kwaśne mleko lub maślanka. Wszystko razem wymieszać, uformować niewielkie placki i smażyć. Dawniej robiło się moskole na blasze pieca, dziś można na patelni. Takie ziemniaczane „podpłomyki" z powodzeniem zastąpią chleb. Świetnie smakują z dodatkiem masła z czosnkiem.

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl 7f2490a7a5

SŁODKO-SŁONY

Na gulasz i roladki

ANNA MONICKA

Kiedy zaczyna się czas cukinii, u mnie w domu rusza sezon na warzywne gulasze, wszelkiej maści zapiekanki, własnoręcznie robione czipsy i nadziewane serami roladki. Warzywo to jest absolutnie wszechstronne, nadaje się na każdą porę dnia – od śniadania po kolację, nawet taką bardzo późną, bo jest lekkie i nie zmusza nocą żołądka ani wątroby do ciężkiej pracy. Pod warunkiem, że będzie daniem głównym, a nie dodatkiem do tłustego kotleta.

Gulasz warzywny to oczywiście klasyka – moja córka tak go lubi, że nawet jest skłonna obrać i pokroić wszystkie warzywa. Najpierw na oliwie podsmażamy pokrojoną w piórka cebulę – jedną lub dwie. Dorzucamy do niej czosnek, posiekanego pora, a gdy trochę odparują i siądą – paprykę i cukinię. Smażymy, od czasu do czasu mieszając, przez mniej więcej pół godziny, żeby warzywa nie były za miękkie. Doprawiamy albo sosem pomidorowym, albo kaparami i oliwkami, podajemy z ryżem lub makaronem, posypane pachnącym parmezanem i listkami bazylii. Oczywiście można dodawać także inne warzywa, na przykład młodą kukurydzę, pomidorki koktajlowe, seler naciowy. Przyrządzamy to danie na największej i najgłębszej patelni (mniej więcej pięciolitrowej), a i tak znika błyskawicznie. W tym roku przygotowałam już kilkanaście słojów, żeby zawekować te pyszności na zimę, bo zrobione ze świeżo zerwanych warzyw są znacznie smaczniejsze niż z takich, które przeleżały w chłodni.

Wybitnie obiadowym daniem są roladki. Cukinię trzeba pokroić wzdłuż w plastry, a następnie zgrillować posmarowane oliwą i delikatnie oprószone solą jęzory, by zrobiły się miękkie, ale nie straciły jędrności. Układamy na nich mozzarellę z oliwką (lub plastrem szynki) i zwijamy, a potem zapiekamy jeszcze przez kilka minut na blasze posypane ziołami: tymiankiem, oregano, pieprzem. Podajemy skropione octem balsamicznym.

Jeśli mocniej podgrillujemy posolone plastry, a wraz z nimi ząbki czosnku, można same zawijasy z czosnkiem zalać oliwą, zapasteryzować i mieć na zimę na śniadanie; są pyszne z tostami.

Na koniec sałatka. Surową cukinię szatkujemy i solimy, by puściła sok. Szatkujemy też cebulę i zalewamy na chwilę wrzątkiem, a potem mieszamy warzywa i doprawiamy sokiem z cytryny, oliwą, solą i pieprzem. Pasują również kwaskowate kapary. Podajemy do obiadu albo kolacji.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Brzana, brzanka i...

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż pod względem liczby i różnorodności gatunków ryb polskie rzeki nie mogą się równać np. z Amazonką czy Kongiem, to jednak nie możemy narzekać na brak ciekawostek i zagadek ichtiologicznych. Przyjrzyjmy się rodzajowi *Barbus*, czyli brzanie, należącemu do rodziny ryb karpiowatych.

Pierwszą i najbardziej znaną jego przedstawicielką jest brzana pospolita *Barbus barbus* (na fot.). Dorasta do kilku kilogramów masy ciała i 90 cm długości. Jej zasięg obejmuje Europę Środkową, zachodząc na zachodnią i wschodnią część kontynentu – w Skandynawii, we Włoszech czy w Hiszpanii brzany już nie spotkamy.

To ryba silna, o walcowatym ciele pokrytym łuską w kolorze mosiądzu, zamieszkująca rzeki. Skierowany ku dołowi pysk i wąsiki świadczą o pobieraniu pokarmu z dna – trzymając się silnego nurtu i unikając stojącej wody, brzany wyszukują larwy wodnych owadów na kamieniach i pod nimi. Od tej pięknej ryby pochodzi nazwa jednej z rybnych krain – kraina brzany – obejmującej górne odcinki rzek, już nie o górskim charakterze, jak w krainie pstrąga i lipienia, lecz wciąż o wartkim nurcie i dnie nie mulistym, tylko pokrytym gładkimi otoczakami.

Innym przedstawicielem rodzaju w polskich rzekach jest brzanka *Barbus carpathicus*. Zamieszkuje podobne, górne odcinki rzek w dorzeczu Wisły i prowadzi podobny tryb życia. Znacznie mniejsza od brzany, jest jakby jej miniaturą. Zamiast złocisto ubarwiona jest srebrzyście i delikatnie kropkowana. I tu dochodzimy do rzeczy najciekawszej – samice brzany i samce brzanki niekiedy się krzyżują. Potomstwo dwóch różnych gatunków (do takiego połączenia rzadko dochodzi w naturze) uznawane jest za osobny gatunek nazywany brzaną karpacką *Barbus waleckii* (zwróćmy uwagę na skrzyżowanie nie tylko gatunków, lecz i nazw: brzanka zawiera odniesienie do Karpat w nazwie łacińskiej, natomiast brzana karpacka w nazwie polskiej).

Istnienie brzany karpackiej, będącej endemitem – rzadkim w polskiej przyrodzie pozbawionej raczej barier sprzyjających specjacji – spotykanym tylko w dorzeczu Górnej Wisły i Dniestru, uwidacznia jeden z wielu aspektów zróżnicowania przyrody, a także pokazuje potrzebę badań pogłębiających jej znajomość, która jest niezbędna do skutecznej jej ochrony.

eprasa.pl 7f2490a7a5

A to Polska właśnie

Alina Czerniakowska

Sierpniowe rocznice dają nam, Polakom, wiele powodów do dumy i siłę na dzisiejsze trudne czasy po półwiekowej sowieckiej dominacji. Cud nad Wisłą – Polska zatrzymuje bolszewików, ocala Europę i świat przed złem, myślę, niewyobrażalnym do dzisiaj dla Zachodu. Lord Edgar D'Abernon zaliczył Bitwę Warszawską do decydujących bitew świata i jednocześnie dodał, że nie ma chyba wydarzenia bardziej doniosłego, a jednocześnie tak bardzo niedocenianego. Nasze wielkie dokonania często bywają przypisywane innym albo są umniejszane, niedoceniane nawet przez swoich.

„Niczym Sybir – niczym knuty i cielesnych tortur król! Lecz narodu duch otruty – To dopiero bólów ból!" (Zygmunt Krasiński). Jest jednak wielka siła w narodzie polskim oparta na korzeniach chrześcijańskich.

Sierpień to również świadectwo Polski wierzącej w Boga. Wydawałoby się, że miesiące wakacyjne to leniuchowanie, plażowanie i biesiadowanie, tymczasem właśnie teraz z najdalszych zakątków kraju, wszystkimi drogami, idą pielgrzymi na Jasną Górę do Królowej Polski. Młodzi, często z małymi dziećmi, uśmiechnięci, promienni mimo zmęczenia i trudów. I tak nieprzerwanie od wieków. „Tradycja chrześcijańska nie jest w Polsce tylko zewnętrznym kolorytem, celebracją, jak piszą niektórzy, ale potrzebą serca, głęboko zakorzenioną w wierze, w szczerym umiłowaniu Matki Jezusa, naszego Zbawiciela, Królowej Polski. To jest w sercach moich rodaków zapisane na wieki – nie poddać się, nie oddać wiary i ziemi ojczystej" – napisała w swoich pamiętnikach wielka patriotka i pisarka Zofia Kossak-Szczucka.

Zmienił się świat – nowoczesność, technika, XXI wiek, liberalizm, moda na życie, jakby Boga nie było – a my idziemy, śpiewamy o Bogu, modlimy się, bo pragnienia ludzkich serc pozostały w głębi niezmienne. Polskie drogi pełne są pielgrzymów, idą pieszo, jadą na rowerach, różnymi środkami komunikacji. Coraz więcej młodych ludzi wybiera pielgrzymowanie, ale też rekolekcje klasztorne, jako sposób na wakacje, czas na zamyślenie, poznanie Ewangelii. Często nie mają takich tradycji w rodzinie, sami poszukują czegoś więcej niż zwykła egzystencja, chcą żyć inaczej, odnaleźć sens i prawdziwą radość. Opisują swoje przeżycia na różnych blogach, stronach internetowych i gdy się to czyta, można lepiej zrozumieć innych, szczególnie młodych, ich potrzeby, oczekiwania wobec świata dorosłych, rodziców, wychowawców.

„Gdy stanęłam przed obrazem Matki Bożej, widziałam, że patrzy na mnie tak, jakby czekała, że kiedyś do Niej przyjdę. Poczułam tyle siły i radości w sobie, że zmęczenie szybko odeszło. To było coś pięknego! Bóg naprawdę jest, Jezus żyje!". Ktoś inny napisał krótko: „Przyszedłem, zobaczyłem, Bóg zwyciężył". Pielgrzymując, odnajdują swoje miejsce na ziemi, odkrywają, że z Bogiem można pokonać wszystkie trudności.

Prof. Józef Garliński z Londynu napisał w swojej książce „Walczący Oświęcim": „Żeby przeżyć to piekło, trzeba było mieć dwie rzeczy – silną wiarę w Boga i miłość kogoś bliskiego, oczekującego naszego powrotu". Myślę, że dzisiaj też trzeba mieć te dwie rzeczy, „by być silniejszym od warunków, by iść pod prąd, nie załamać się, by się przedwcześnie nie wycofać" – jak mówił nasz wielki rodak Jan Paweł II.

14 sierpnia zawsze myślę o niezwykłym duchownym, jedynym takim w historii, Maksymilianie Kolbe, który w piekle na ziemi, jakim był niemiecki obóz śmierci w Oświęcimiu, dobrowolnie oddał życie za nieznajomego skazańca. O. Maksymilian szedł w więziennym pasiaku jak człowiek świadomy wielkiej misji, stanął przed oficerami niemieckimi. „Czego chce ta polska świnia?". „Ich will sterben für ihnen" („Chcę umrzeć za niego"). I wskazał lewą ręką na stojącego obok Gajowniczka. „Jestem polskim księdzem katolickim". O. Maksymilian, mimo że wiedział, jak Niemcy traktują polskich duchownych, nie bał się przyznać do swojego kapłaństwa. Panowała wtedy nieznośna cisza. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zawsze odzywał się do więźniów bardzo wulgarnie, zwrócił się do o. Maksymiliana per „pan": „Warum wollen Sie für ihn sterben?" („Dlaczego pan chce umrzeć za niego?").

Maksymilian Kolbe skazany na śmierć głodową w zamkniętym bunkrze umierał ponad 2 tygodnie (od 29 lipca do 14 sierpnia 1941 r.). Oprawcy niemieccy nie mogli pojąć, dlaczego tak długo wytrzymuje, aż w końcu dobili go zastrzykiem z fenolu.

Miał 46 lat, niezwykle uzdolniony w wielu dziedzinach, dziennikarz, twórca nowoczesnej techniki medialnej, założyciel zakonów na wzór Niepokalanowa w wielu krajach świata, głównie zasłużony i znany w Japonii.

14 sierpnia, ale w 1920 r., zginął ks. Ignacy Skorupka. Warto odwiedzić jego grób na warszawskich Starych Powązkach. Napisy, zdjęcia na zmurszałym piaskowcu, a obok krzyża biało-czerwona flaga, na czołowej płycie tekst podpisany przez rodziców bohaterskiego księdza: „Kawaler Krzyża Virtuti Militari, obrońca Warszawy, prefekt szkół, opiekun sierot, młodzieży i wygnańców, harcerz, kapelan 236 p.p., prowadząc pułk do boju w obronie stolicy, zabity na polu bitwy przez bolszewików w Ossowie pod Radzyminem 14 sierpnia 1920 roku, przeżywszy lat 27. Pokój Jego czystej duszy. Najdroższemu Ignasiowi rodzice". A na bocznej płycie informacja o spoczywającym również w tym grobie bracie ks. Ignacego, Kazimierzu, żołnierzu AK zamordowanym w wieku 42 lat na Majdanku. Druga tablica na grobowcu poświęcona jest ich ojcu, pochowanemu we wspólnym grobie – pracowali dla Polski, a kiedy Ojczyzna była w potrzebie, szli walczyć.

Miłość do Boga i do Ojczyzny była wartością nadrzędną, przekazywaną potomnym jak pacierz. Polska narodowa sztafeta pokoleń trwa i nikt jej nie zatrzyma.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 7f2490a7a5

PRZEZ ŚWIETLIK

Lincz po polsku

Ech, dzisiejsze lincze to już nie to samo, co kiedyś – musieli w drugiej połowie XX w. wzdychać podstarzali działacze Ku Klux Klanu. I to samo muszą chyba stwierdzać pracownicy pionów szczucia z mediów reklamujących się jako ostoje liberalizmu. Weźmy takiego Roberta Bąkiewicza. Kiedyś Czerska mogłaby go wdeptać w ziemię. Dziś próbuje, a facet ma się dobrze.

Wiktor Świetlik

Przyznam, że Bąkiewiczem zainteresowałem się właśnie głównie pod wpływem zainteresowania nim miłosiernego towarzystwa z tzw. liberalnych mediów. Zauważyłem, że jeśli kogoś próbuje się tak konsekwentnie wdeptać w ziemię, zaszczuć, zniszczyć rodzinę, jak robiono w przypadku Bąkiewcza, to nieraz świadczy o tym, że jest to przyzwoity człowiek. W związku z tym trochę sobie z panem Robertem porozmawiałem. I tu uwaga – ani mi on nie płaci, ani nie jest moją rodziną, nasze poglądy na wiele spraw się różnią. Z reguły nie piszę peanów na cześć polityków, ale nagonka, w której wzięły udział nawet Muzeum Powstania Warszawskiego i jeden z tygodników prawicowych, przekracza moje granice akceptacji.

No więc na mój gust Bąkiewicz jest, po pierwsze, politykiem inteligentnym, inteligentniejszym od sejmowej większości, nie mówiąc już o jakichś Jachirach i Szczerbach. Po drugie, nie jest żadnym radykałem. Rozmaici pracownicy wydziału zwalczania podziemia reakcyjnego i odchyleń od linii gazety matki z ulicy Czerskiej, piszący o nim per „nazista", powinni dostać pośmiertny medal od brata swojego naczelnego za próby fundowania cywilnej śmierci człowiekowi. Nieudolne zresztą.

Bąkiewicz inaczej niż część Konfederacji i niestety prawicowej publicystyki nie uderza w tony antyukraińskie, rozumie działanie gospodarki i nie bełkocze o likwidacji podatków. Ba, nawet w wątku osławionej pani Mariki, krytykując wyrok, przyznał, że jej zachowanie było naganne. W dodatku prowadził firmę, ma piątkę dzieci, nie jest nadętym moralizatorem. Chodzi do kościoła i dziękuje Panu Bogu, że mu pomógł, gdy było w jego życiu źle. To chyba ten najbardziej faszystowski element, który tak wkurza naszych poststaliniaków.

Nie wiem, czy pan Bąkiewicz sprawdzi się w polityce, bo różne rzeczy wszyscy widzieliśmy. Dziś trochę wciąż szuka, zdarzało mu się błądzić, w ten sposób zawędrował nieszczęśliwie niegdyś do ONR. Ale całkiem nieźle rokuje, a laurkę wystawiają mu przede wszystkim jego wrogowie.

Granica

Zarówno zwierzęta, jak i ludzie oznaczają swe terytorium. I bronią go – mamy to wpisane w genach. Dany teren jest w stanie wyżywić określoną liczbę osobników. Wiedzą o tym wszystkie drapieżniki, stąd odwieczna walka o przejęcie życiodajnej enklawy, niezbędnej do przetrwania gatunku.

Lech Makowiecki

U ludzi – stojących na wyższym stopniu rozwoju – utrzymanie kontroli nad zajmowanym obszarem daje również prawo do życia zgodnego z przyjętymi, wypracowanymi normami, określanymi mianem wolności. Z tym, że biblijne: „Czyńcie sobie ziemię poddaną" nie musi oznaczać rabunkowej gospodarki planety, raczej mądre zarządzanie jej zasobami. Jedne państwa, bazując na swym sprawdzonym systemie wartości (np. Dekalogu), wyrzeczeniami i ciężką pracą budują harmonijny błogostan wspólnoty. Inne postawiły na kolonizację, wyzysk i rabunek; historia świata pełna jest najazdów i hekatomb dla pozyskania *Lebensraum* (życiowej przestrzeni). Dlatego tak ważna była, jest i będzie skuteczna obrona granic.

Ewolucyjne mieszanie się różnych narodowości jest dopuszczalne i często obopólnie korzystne (vide: Rzeczpospolita Obojga Narodów czy kontrolowana migracja zarobkowa). Warunkiem sukcesu jest porozumienie się obu stron i stworzenie możliwości szybkiej asymilacji przyjezdnych. Inaczej wpuszczamy do kurnika przysłowiowego lisa, co przy znacznej różnicy kultur skutkuje bezwarunkowym podporządkowaniem się nachodźcom. I przejęciem kraju, z wszelkimi tego konsekwencjami.

Dziwne, że tak skłonne dziś do otwierania granic feministki czy tęskniący za seksualnym ubogaceniem genderyści nie dostrzegają zagrożeń wynikających ze zderzenia cywilizacji rozpasanej „wolności od wszystkiego" ze światem radykalnego islamu. I to mimo płonących ulic Paryża czy Göteborga. Dekadę temu ostrzegałem: „[...] Feministki czy damy – w ojczyźnie Polaków / W gustownych burkach będą wyglądać jednako / Znikną tęczowe igrce – chłosta je wypleni / Multi-kulti skutecznie orientacje zmieni...".

eprasa.pl 7f2490a7a5

Sztajnbaszek w spodniach

Piotr Cywiński

„Zawsze tym będziesz, czymeś jest. Wsadzaj peruki z tysiącznymi kudły, nogi podwyższaj łokciowymi szczudły, wciąż pozostaniesz, czymeś jest" – mentorował Goethe ustami Mefistofelesa w literackim arcydziele pt. „Faust". Co ma wspólnego z dramatem wybitnego niemieckiego poety, a i polityka, niejaki Martin Weber? Ano to, że też jest politykiem. Wprawdzie nie tej miary i talentu, co Goethe, ale jest. Pełni nawet funkcję wiceprzewodniczącego chadeckiej partii CSU oraz szefa frakcji Europejskiej Partii Ludowej w europarlamencie. I też mentoruje. Ostatnio wyjawił, kto jest przeciwnikiem Europy, przed kim buduje zaporę ogniową, aby Polskę „poprowadzić z powrotem do Europy".

Niemcy już nie raz prowadzili nasz nieokrzesany i krnąbrny naród do Europy. Najpierw po kawałku, rozparcelowując wespół z Austrią i Rosją nasz kraj, począwszy od 1772 r. – czyli w czasie, gdy Goethe pisał swe wiekopomne dzieło. Potem były bismarckowskie rugi i próby germanizacji – na modłę rasy, co wiadomo, doskonałej. A gdy i to nie wyszło, było ostateczne rozwiązanie, podjęte w 1939 r. – zajęcie całej Polski i prowadzenie nas do Europy przez kominy Auschwitz; była i Wola, i Ochota... Żyją jeszcze ci, którzy to pamiętają.

Pan Weber też jest nam przyjazny. I przyjaźnie chce uwolnić nas, nieświadomych i błądzących, od pisowskiego jarzma. „My jesteśmy jedyną siłą, która może zastąpić PiS w Polsce" – zapewnił serdecznie. Konkretnie użył sformułowania „ablösen", co znaczy także: zmienić, odkleić, oderwać, zeskrobać. Przy czym mówiąc „my" – jak klaruje telewizja państwowa ARD po burzliwej reakcji polskiego rządu – pan Weber nie miał na myśli „my, Niemcy", lecz „my, europejscy ludowcy", którym pan Weber przewodniczy i z którymi realizuje „wielki europejski projekt". Tylko ten rząd PiS ma Niemców za wrogów – dorzucił korespondent ARD.

Jak można brać pana Webera za jakiegoś sztajnbaszka w spodniach, za masculin Eriki Steinbach – dziś w AfD, wcześniej posłanki CDU i członkini zarządu frakcji tej partii w Bundestagu, tudzież byłej szefowej Związku Wypędzonych, która w ramach „europeizacji" Polski głosowała przeciw uznaniu przez zjednoczone Niemcy granicy na Odrze i Nysie? Wbijmy sobie raz na zawsze w nasze zakute pały, że wszystko, co robią Niemcy, wynika z ich przyjaźni i życzliwości. Wszak granic już nie ma...

A skoro od cytatu z „Fausta" zacząłem, to i na nim skończę: „Myślisz, że sam popychasz, a to ciebie popychają". Tylko kto dziś zważa na klasyków?

Joni Mitchell: cudowny powrót

Adam Ciesielski

Świat muzyczny entuzjastycznie wita powrót Joni Mitchell. Po udarze mózgu w 2015 r. wielka gwiazda rocka nie mówiła ani nie chodziła. Wysiłkiem woli, z pomocą lekarzy i imponującym wsparciem przyjaciół muzyków nie tylko stanęła na nogi, lecz także jest już zdolna śpiewać swoje legendarne piosenki

Właśnie wyszedł album, dokumentujący koncert na zeszłorocznym festiwalu folkowym w Newport, którego sensacją był właśnie niezapowiedziany wcześniej recital 78-letniej Joni, wprowadzonej na scenę przez swoją fankę, 42-letnią popularną piosenkarkę amerykańską Brandi Carlile. To właśnie Brandi ze swoim zespołem była najwierniejszą uczestniczką jam sessions w Bel Air – rezydencji Mitchell w Los Angeles, podczas których wracająca do zdrowia gospodyni stopniowo przypominała sobie swój repertuar i jego interpretacje.

Postępom artystki kibicowali ponoć odwiedzający ją starzy przyjaciele, tacy jak Herbie Hancock, Elton John, Chaka Khan czy Paul McCartney, ale to Brandi Carlile stała za wytypowaniem Newport jako miejsca powrotu gwiazdy. Trudno o lepszy wybór, wszak to na tym festiwalu dwukrotnie – w 1967 i 1969 r. – znacząco zaistniała młoda rewelacyjna Kanadyjka.

Joni Mitchell
„Joni Mitchell at Newport"
Wyd. Rhino/Warner

Wracająca na tę sama scenę po ponad półwieczu wokalistka, kompozytorka, autorka poetyckich tekstów pojawiła się uśmiechnięta, w fantazyjnym niebieskim berecie, stylowych okularach słonecznych i z kucykami na głowie. Wybrała repertuar głównie z początków swojej kariery. Jest więc „Big Yellow Taxi", „The Circle Game", a także sumujący doświadczenie życiowe wykonawczyni „Both Sides Now", hit podejmowany przez zastępy interpretatorów – od Franka Sinatry, Neila Diamonda, Paula Anki po Helenę Vondračkovą.

Spośród 10 klasyków bohaterki większość z nich wraz z nią wykonują towarzyszący jej na scenie artyści młodszego pokolenia z kręgu wspólnego domowego śpiewania. Sama Mitchell, której głos po przejściach ostatnich lat nieco się obniżył, nader wiarygodnie brzmi w standardzie „Summertime", ale imponuje oczywiście i we własnych przebojach. W piosence „Just Like This Train" zadziwia gitarową solówką, choć po powrocie ze szpitala gry na gitarze musiała się uczyć od podstaw. Pociąga ją nowa przygoda. Brawo, Joni, trzymaj się!

eprasa.pl 7f2490a7a5

Michał Korsun prezentuje:
Czy prapradziadek Manfreda Webera był w Zakonie Krzyżackim?

ref. Shutterstock

Wycinki z przeszłości

KOBIETA-INŻYNIER

Marja Kubaszewska-Rogowska, inżynier dróg i mostów, wychowanka Politechniki Warszawskiej, była wśród reprezentantów 33-ch państw świata jedyną kobietą, biorącą udział w obradach Międzynarodowego Kongresu Budowy Mostów i Budowli naziemnych, który odbył się w dniach 19—25 maja r. b. w Paryżu.

Radykalne feministki i skrajna lewica próbują wmawiać Polkom, że potrzeba nowej rewolucji, by wreszcie mogły się zawodowo, społecznie i politycznie realizować. Być może w krajach o innej kulturze był z tym problem. W Polsce pozycja kobiety zawsze była silna. Wystarczy zajrzeć do dawnej prasy, by znaleźć notatki takie jak powyżej. Podobnie jest z innymi sprawami: Zachód próbuje nas obarczyć swoimi wyrzutami sumienia z powodu okrutnej kolonizacji Afryki, prześladowania Żydów czy penalizacji homoseksualizmu. Warto znać historię, by rozumieć, że w Polsce sprawy wyglądały inaczej.

(mk)

Odlatują bociany...

Leszek Długosz

O Nieba, w jakie dale!
W jakie ogromy świata
W niebezpieczeństwa i trudy podróży
Ponad górami, morzami na południe
W afrykańskie kraje
– I nic na drogę?
Ani pół kęska, żadnego napitku
Jakiejkolwiek stąd pamiąteczki
Odrobiny dobytku?

Nieznanym podniebnym szlakiem
Bez podpowiedzi kompasu
A tylko co tam gps z natury
Skrzydłami zwietrzy, okiem wypatrzy
O losie, tak lecieć
I trafić?

Gromadami
Rodzice z dziećmi, samotnicy
Weterani i debiutanci
– Śmiałki tegoroczne
W niestraszne im Somosierry nieba
Voyagery podążające
Stadami
– Aż taka potrzeba?

O moiście wy, boćki
Z rodzimych gniazd
Na słupach, drzewach bliskich
Z nami mieszkające
Macieje, Bartki, Kleofasy
Tekle, Marianny, jakim tam imieniem
Sąsiad z podwórka was nie uraczył
Z wiosną na gody tu zlatujące
I na matczyność i na ojcostwo
Czemu wam dłużej z nami źle zostać?

– Ciemna zasłona losu
Podpowiadają sierpnia cienie:
– Ląd pora zmienić!
Czemu wam – tu i tam?
Nam tylko tu... pisane?

Weźcie na drogę
– Od łąk, od stawów i mokradeł
I ode mnie
Pospołu wierne pamiętanie...
– Polonez Ogińskiego
Niech za wami płynie
– Grany na okarynie...
Gdy wam się tam w Afryce przypomni owa
Nuta rzewna
Reszta się w myślach sama dobędzie:
Do kraju tego tęskno nam Panie
– To rzecz pewna...
– Marzec za pasem, wracamy!

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIECI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 7f2490a7a5

OD A DO ZYBERTOWICZ

Techno-trucizna z drugiej ręki

Otacza nas mnóstwo urządzeń ułatwiających życie, ale nieprzynoszących szczęścia. Bez niektórych z nich nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie zwykłego funkcjonowania

Że z ludzkim światem dzieje się coś niedobrego, widać gołym okiem. Środowisko zatrute; wody za mało (a gdy już pada deszcz, to woda spływa nie tam, gdzie trzeba); korki samochodowe w miastach; życie w hałasie i pośpiechu; choroby cywilizacyjne mają się świetnie. Dzieci rodzi się za mało; młodzież taka jakaś bez entuzjazmu; ze starymi ludźmi kłopoty coraz większe, coraz częściej nie ma komu się nimi opiekować. Pracodawcy narzekają na brak pracowników, a z drugiej strony brakuje dobrych wzorów polityki zatrudniania i integracji imigrantów z obcych kultur. Klęska zachodniego multi-kulti nie pozostawia złudzeń. Szkoły coraz słabiej radzą sobie z wychowywaniem. Instytucje, które powinny być ostoją demokracji, wciągane w politykę, wpadają w wir chaosu informacyjnego i nastroju niepewności.

A technologia rozwija się bez oglądania się za siebie.

TECHNO-UŁATWIACZE

Otacza nas mnóstwo urządzeń ułatwiających życie, ale nieprzynoszących szczęścia. Bez niektórych z nich nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić sobie zwykłego funkcjonowania. Bo czy można żyć bez lodówki, ekspresu do kawy albo komórki? Tylko że te „zwykłe" sprzęty coraz częściej podłączone są do sieci, coraz częściej trudno – lub nie sposób – uruchomić je bez podpięcia do internetu. Coraz częściej są pomyślane tak, by funkcjonować w ramach inteligentnej sieci internetu rzeczy i bez wytchnienia zbierać informacje na nasz temat.

I ludzie, chcąc nie chcąc, do internetu podpięci są non stop. W sieci toczy się większość konwersacji. Sieć pośredniczy w zakupach, współtworzy obszar zainteresowań, wręcz wyznacza horyzonty. Sieć dostarcza rozrywki. Wielu z nas jest uzależnionych od cyfrowych bodźców. Nieważne, czy chodzi o lajki zbierane po opublikowaniu zdjęcia z kotkiem, czy o obsesyjne zerkanie na pocztę pracowniczą. Ktoś powie: na szczęście te przypadłości nie dotyczą każdego. Co z tego? Konsekwencje ponosimy wszyscy.

W OPARACH INTERNETU

Któż dzisiaj nie słyszał o biernym paleniu? Jesteśmy świadomi, że osoby niepalące, ale przebywające w otoczeniu osób palących, narażone są na dym tytoniowy i skutki związane z efektami jego wdychania. Pora na krok kolejny. Spojrzenie przez pryzmat biernego palenia na to, jak uzależnienie cyfrowe osób przypiętych do smartfonów wpływa na ich bliskich. Opary internetu docierają też do nich. Korporacje, gadżety, lojalności konsumenckie albo polityczne, pokusy materialne zamiast głębokich, trwałych więzi ludzkich. A może to dziś podstawowa miara degradacji naszego świata?

Od dość dawna dobrze już wiemy, ile kosztuje – oraz kogo – bierne palenie. Nie tylko palaczy – także osoby z nimi często przebywające, zwłaszcza członków ich rodzin. Nieco słabiej widzimy, co z rodzinami robi uzależnienie od cyfrowych technologii. Trąbi się o kryzysie rodziny, o tym, że coraz więcej dzieci cierpi na depresję i ma myśli samobójcze. Ile alarmujących tekstów na ten temat!

A ile win zrzuca się na „opresyjną" rodzinę. Bo kto wtłacza w niechciane role społeczne, w niechciane płcie, niechciane obowiązki?

A podpięcie do sieci? Przecież tam są grupy wsparcia choćby dla genderowo zagubionych; są też odstresowujące filmiki; a ile gier! Wcale nie prymitywne strzelanki, tylko wyrafinowane, kreatywne. Wtedy to dopiero można odpłynąć od problemów... i zapomnieć o bliskich.

UNWIRED

Pozwala to lepiej zrozumieć książka, którą jak najszybciej trzeba wydać po polsku. Jej angielski tytuł to „Unwired: Gaining Control over Addictive Technologies". W naszym języku powiemy chyba: „Nieokablowani: przejęcie kontroli nad technologiami uzależniającymi". Pierwsze słowo słabo brzmi po polsku, ale chodzi o coś superważnego: o odłączenie naszych umysłów od sprzętu wymuszającego ciągłe przebywanie w sieci (nie na łamach naszego tygodnika, ale w internecie). Autorką jest profesor prawa Gaia Bernstein, a rzecz wydało renomowane Cambridge University Press w roku 2022.

Pora uświadomić sobie, co tak naprawdę jest stawką w wyścigu cyfrowych, mających nam uławiać życie technologii.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl 7f2490a7a5

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ

SIECI | wSIECI HISTORII

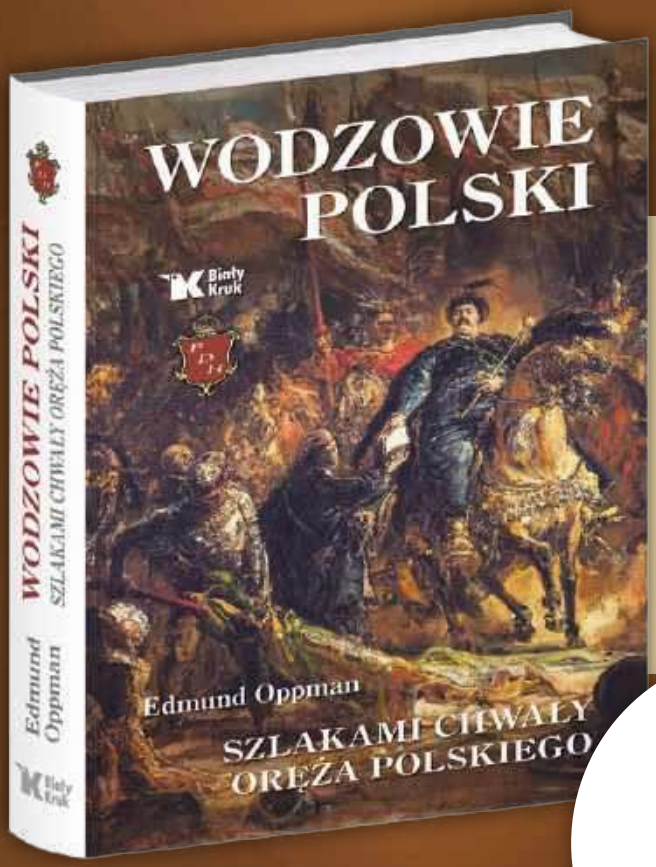

Edmund Oppman przedstawia historię Polski poprzez dokonania wielkich wodzów, bohaterów, patriotów.

Pasjonujące opowieści o wielkich Polakach splatają się z historiami orężnych zwycięstw Rzeczypospolitej i dniami chwały Ojczyzny.

PATRIOTYCZNY BESTSELLER | 360 STR. | TWARDA OPRAWA | PIĘKNE ILUSTRACJE I MAPY

75 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Wodzowie Polski. Szlakami chwały oręża polskiego”** otrzymasz **GRATIS**, zamawiając roczną prenumeratę pakietu: tygodnik SIECI i magazyn wSIECI HISTORII za **295 zł**.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Przed zamówieniem prenumeraty upewnij się, że książka jest nadal dostępna:
prenumerata@fratria.pl | tel. 22 616 36 00 w godz. 9-16

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 7f2490a7a5

E-prenumerata SIECI 50% taniej

Wakacyjny e-book w prezencie

18 pasjonujących opowieści, dzięki którym dowiecie się:

- Jak obserwować przyrodę na wakacyjnym szlaku?
- Jak ratować pisklęta i ranne ptaki?
- Co potrafią pająki?
- Jak korzystać z alpakoterapii?
- Czy walenie to szpiedzy Rosji?
- Gdzie mieszkają nietoperze?
- Które góry są nadal dzikie?

112 stron

Zamów już dziś na www.siecprzyjaciol.pl

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 7f2490a7a5